

"ZAKRECONA, DOWCIPNA,
ZABÓJCZA ROZKOSZ"
Karen M. McManus

SKRZYNNIA W LESIE

NOWA POWIEŚĆ AUTORKI TRYLOGII
„NIEODGADNIONY” („TRULY DEVIUS”)

MAUREEN
JOHNSON

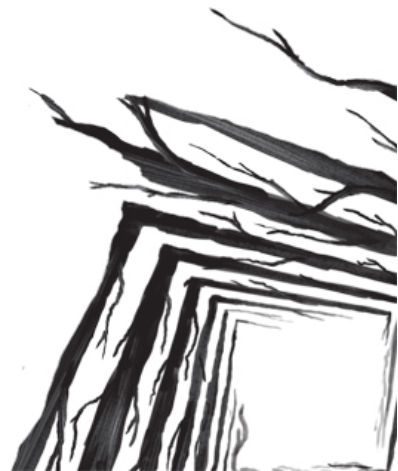


SKRZYŃNIA W LESIE

MAUREEN
JOHNSON

Przełożył Paweł Łopatka

 **Poradnia K**



Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Wstęp

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

XXIV

XXV

XXVI

XXVII

XXVIII

XXIX

XXX

Słowo od autorki

Podziękowania

Przypisy

Tytuł oryginału: *The Box in the Woods*
Copyright © 2021 by HarperCollins Publishers
Published by arrangement with HarperCollins Publishers
Translation © by Paweł Łopatka
Copyright © for the Polish edition by Poradnia K, 2021

Redaktor prowadząca: MAŁGORZATA WRÓBLEWSKA
Redakcja: JOANNA TARGOŃ
Korekta: MAGDALENA GERAGA
Adaptacja okładki dla polskiej edycji: GRZEGORZ ARASZEWSKI / garasz.pl
Projekt typograficzny serii: JOANNA RENIGER
Łamanie: MONIKA ŚWITALSKA / Good Mood Studio
Ilustracja na okładce: LEO NICKOLLS
Projekt okładki: KATIE FITCH
Mapa: CHARLOTTE TEGEN

Wydanie I
ISBN 978-83-66555-74-7

Wydawnictwo Poradnia K Sp. z o.o.
Prezes: Joanna Bażyńska
00-544 Warszawa, ul. Wilcza 25 lok. 6
e-mail: poradniak@poradniak.pl



Poradnia K

Poznaj nasze inne książki.
Zapraszamy do księgarni:
www.poradniak.pl
facebook.com/poradniak
linkedin.com/company/poradniak
instagram.com/poradnia_k_wydawnictwo

Konwersja: eLitera s.c.

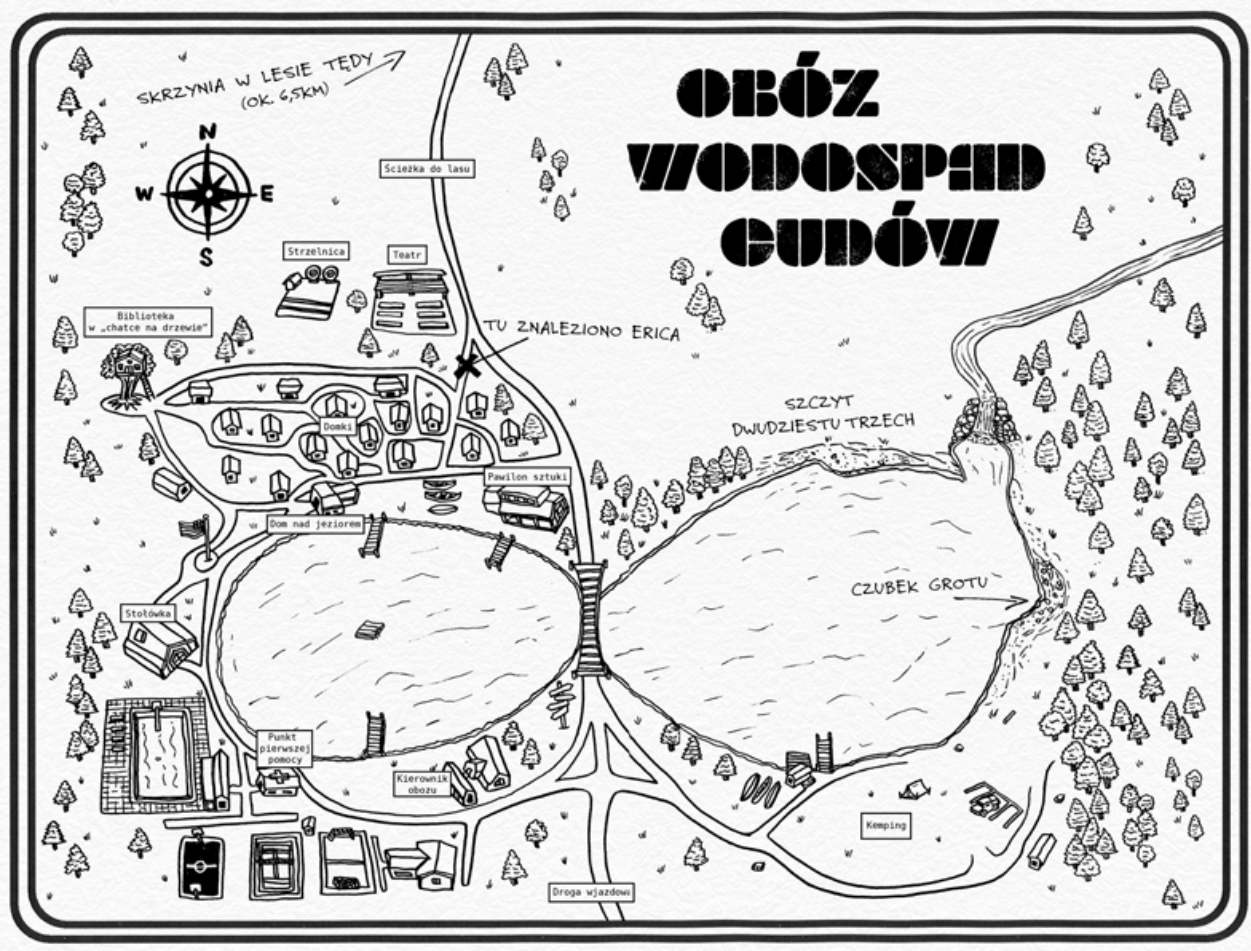
DLA BILLY'EGO JENSENA,
KTÓRY ROZWIĄZUJE ZAGADKI PRAWDZIWYCH ZBRODNI



„Śledczy musi pamiętać, że jego obowiązek jest dwojaki – uwolnić niewinnego od podejrzeń i ujawnić winnego. Dochodzi on jedynie faktów – prawdy w pigułce”.

Frances Glessner Lee

OBÓZ WODOSPAD CUDÓW





6 lipca 1978, 23.45

Sabrina Abbott postępowała niezgodnie z prawem.

Niewiarygodne.

Sabrina nie postąpiła tak jeszcze nigdy. W Barlow Corners uchodziła za wzór cnót. Uczyła się celująco. Jako wolontariuszka w bibliotece czytała dzieciom bajki. Raz, gdy niechcący opuściła zajęcia, zbyt pochłonięta kwerendą w szkolnym zbiorze książek – przez dziesięć minut nie mogła z nerwów złapać tchu. Rodzice przykazywali dzieciom: „Jak pójdziesz do liceum, bierz przykład z Sabriny”.

Ciekawe, co by powiedzieli w tym momencie, gdyby ją zobaczyli w osławionym brązowym jeepie Todda Coopera – który, mknąc pełną dziur, wyboistą drogą przez las co rusz podskakiwał i trząsł się jak szalony. Zwisające z lusterka mechate zielone kostki tłukły się o siebie w rytm buchającej z głośników ballady Led Zeppelin. Mrok między drzewami a niebem ze skrawkiem księżyca przecinało tylko światło przednich reflektorów. Todd, kapitan drużyny futbolowej i syn burmistrza, nie cieszył się sympatią ani zaufaniem Sabriny. Był dupkiem. Ale dziś dupkiem przydatnym, ponieważ miał samochód.

Łamiąc regulamin obozu i wypuszczając się do lasu, Sabrina już naruszyła dwa zakazy. Lecz to drobnostka wobec tego, co mieli robić, gdy dotrą na miejsce.

Przywarła do swojego towarzysza. Eric Wilde był jej nowym... „Czy to mój nowy chłopak? W rozmowach aż tak daleko nie zaszliśmy”. Nie miała wątpliwości, że Eric pretenduje do tego miana, a że dopiero co wyrwała się z trzyletniego związku, niezbyt spieszyło się jej do kolejnego. „Nadeszła pora na odmianę; czas pożyć, podzielać i zbytnio się nie martwić”.

Przyzwoita Sabrina potrzebowała wytchnienia. Utwierdziło ją w tym kilka ostatnich tygodni.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Eric, przekrzykując muzykę.

– Tak – odparła. Do ust wleciał jej owad, więc go wyciągnęła.

„Czy się dobrze czuję?”. Obawy dręczyły ją nadal, nie dawały spokoju. Usiłowała je tłumić. Temu służył dzisiejszy wieczór. Odczarowywaniu lęku.

– Na pewno?

– Tyle że mi zimno – odpowiedziała.

Zgodnie z prawdą. Było chłodno – zwłaszcza że jechali z odsłoniętym dachem. Miała na sobie tylko szorty i zielony tiszert z logo Obozu Wodospad Cudów. Zwyczajna Sabrina przygotowałaby się lepiej i wzięła na drogę bluzę, Sabrina nowa stwierdziła jednak, że nie zmarznie. Eric objął ją i przyciągnął do siebie. Kiedy się oparła na ramieniu chłopca, jego jasne loki załaskotały ją w nos.

Jeep zjechał z drogi i zatrzymał się z boku, pod osłoną kępy drzew. Muzyka umilkła i z pojazdu wysiadły cztery osoby.

– To tu? – spytała Sabrina.

– Nie – odrzekła dziewczyna z tylnego siedzenia. – Ale już niedaleko. Teraz trzeba iść na piechotę.

Dziewczyna nazywała się Diane McClure i była świeżo upieczoną absolwentką liceum Liberty. Wysoka, rudowłosa Diane miała ciało usiane piegami. W szkole ona i Sabrina bytowały w dwu różnych sferach. Sabrina była prymuską, a Diane spędzała większość czasu opierając się o szafki i przesiadując w palarni. Należała do osób, jakich rodzice kazali Sabrinie unikać. Ale zła nie była. Sabrina polubiła jej towarzystwo. „Diane jest lojalna i na swój sposób pracowita, no a przecież nie każdy musi lubić naukę”. Diane była dziewczyną Todda i pewnie jedynym jego pozytywnym aspektem.

Sabrina wygramoliła się z jeepa – co wymagało pewnego wysiłku, bo tylne siedzenia załadowali torbami z prowiantem, z których trzy zastawiały jej drogę.

– Tędy – rzekł Eric, biorąc ją za rękę. – Poprowadzę cię, moja miła. Bez obaw, bez obaw. Zapuszczamy się w las!

Diane i Eric mieli mocne latarki, ale ich promienie ledwie przenikały ciemność między drzewami. Sabrina mieszkała w Barlow Corners od urodzenia, więc siłą rzeczy często spędzała czas w lesie, nigdy jednak tak daleko i nigdy po zmroku. Nikt tego nie robił. Las był gęsty i mroczny, pełen rozmaitych stworzeń.

– Daleko? – zapytała, starając się, by zabrzmiało to swobodnie.

– Jesteśmy prawie na miejscu. Zaufaj mi. Przyjeżdżam tu co tydzień. Znam drogę – odpowiedział Eric.

– Ufam ci – odparła.

– Na pewno nic ci nie jest? – dopytywał Eric.

– Na pewno. Czemu pytasz?

– Bo miażdżysz mi rękę.

– Ojoj! – Zwolniła uścisk. – Przepraszam.

– Nie ma za co. Mam dwie. Właściwie to trzy, bo eksperyment się nie udał...

Sabrina roześmiała się. „To jest w nim cudowne. Sprawia, że troski ulatują”. Eric wiedział coś o życiu – coś, czego chciała się nauczyć.

– Nie zdradzę cię – obiecała.

– Super. Nie dam zamknąć laboratorium, gdy jestem tak blisko zakończenia. Moje dzieło wkrótce ożyje!

Ostatnie słowo wykrzyknął, aż coś zerwało się z gałęzi w górze, wystraszone.

– Eric, ty świrze – powiedziała ze śmiechem Diane.

– Chyba nie masz mi tego za złe – odparł. – Iii... jesteśmy na miejscu!

Snopy światła latarek wydobyły z mroku niewielką polanę. Leżało tam kilka kłód drewna – szorstkie siedzisko wokół kręgu z kamieni.

– Okej – rzekł Eric, stawiając torbę na ziemi. – Wy rozbijacie obóz, my pójdziemy po mleko. Tędy, moja miła. Jeszcze parę kroków, o tam.

Znów wziął ją za rękę i poprowadził przez czerń. Weszli do lasu – po drugiej stronie polany.

– Jak się za nią płaci? – zapytała Sabrina, ostrożnie stąpając po płątaniu korzeni. – Jak to właściwie wygląda?

– Dowiesz się wszystkiego, jeśli mnie nie opuścisz w magicznej wędrówce, mały Bilbo.

– Nazwałeś mnie Bilbo?

– To z *Hobbita*.

– Wiem, kretynku. – Sabrina wybuchnęła śmiechem.

– Nigdy nie sprawdzaj dziewczyny pracującej w bibliotece – powiedział Eric i skłonił się przed nią nisko. – Błagam o wybaczenie.

Nieopodal coś zachrząściło i Sabrina mimowolnie jęknęła.

– Nic się nie dzieje. – Eric poświecił wkoło. – Pełno tu odgłosów. Na początku zaskakują.

Sabrina nagle zapragnęła być gdzie indziej. Zalała ją fala lęku. Eric wyczuł to chyba i przystanął.

– Wszystko gra – zapewnił.

– Tam coś jest.

– Pewnie tak. Szop. Opos. Skunks. Ale one nie podejną do polany ani do ognia.

– Jesteś pewien? – zapytała.

– Bywam tu co tydzień. Zawsze coś słyszę. To przecież las. Naprawdę nie chcą się zbliżać do ludzi. Trzymają się z daleka.

– Wiem. Muszę się rozluźnić. Usiłuję.

– Posłuchaj... Usiłujesz się rozluźnić. Wręcz się wysilasz. Wysilasz się za bardzo.

– No wiem. Wiem.

Świat pomału wrócił do pionu. Sabrina wzięła głęboki oddech i się wyprostowała.

– Nie zatrzymuj się – rzekła. – Nic mi nie jest.

Uszli jeszcze kilkadziesiąt kroków, gdy w świetle latarki ukazała się niewielka budowla. Budka w lesie, długości około dwóch i pół metra, wysoka na nieco ponad metr dwadzieścia.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Eric, podchodząc do budki.

– Co to takiego? – zapytała Sabrina.

– Resztki dawnej ambony myśliwskiej – odparł; podał jej latarkę i oburącz podniósł sporą klapę. – Kryli się tu myśliwi, gdy polowali na jelenie. Z boku ma otworki, przez które mogli z niej wyglądać.

– Koszmar. Ale już samo polowanie jest koszmarne. Człowiek zachodzi zwierzę od tyłu, żeby je zabić.

– Racja. W każdym razie tej ambony się od dawna nie używa.

Wszystko na to wskazywało. Nie całkiem jeszcze przegniła budka konsekwentnie zmierzała ku destrukcji. Udręczone wiatrem i deszczami deski powyginały się, a niektóre odpadły. Najprawdopodobniej była schronieniem pajaków i węży oraz wszelkich innych stworów, więc Sabina lekko się wzdrygnęła, gdy Eric wlaźł do środka i zaczął grzebać w stercie drewna.

Zanotowała w pamięci, by po powrocie do obozu dokładnie sprawdzić, czy nie złapała kleszcza.

– Gdzie ona jest, gdzie jest... Otóż i ona!

Eric wstał z kolan i dumnie uniósł zmiętą torbę z McDonalda.

– To wszystko? – zdumiała się Sabrina.

Eric wylazł z budki i zamknął klapę.

– Przyświeć – poprosił.

Położył torbę na ziemi, otworzył i wyjął pudełko po big macu, dwa papierki po hamburgerach i zużyty kubek – jeszcze ze słomką.

– Widzę, że nie jesteś zachwycona – powiedział. – Ale sięgnij wzrokiem...

Otworzył pudełko po big macu. Było wypełnione wonnymi pąkami marihuany. Podobnie papierki po hamburgerach i kubek. Sabrina widziała już marihuanę – niewielkie ilości, zwykle w formie jointów – ale nigdy dotąd nie widziała jej aż tyle. „Ta ilość marihuany jest strasznie nielegalna. Równa się usunięciu ze szkoły. Oznacza areszt, rejestr karny. Na sto procent”.

– Nikt nie zwraca uwagi na śmieci – stwierdził Eric z uśmiechem. – Zwłaszcza śmieci w środku lasu, w czymś, co samo wygląda jak śmieć. Całkiem sprytnie, nieprawdaż?

– Chyba.

– Chyba? Muszę się bardziej starać. No dalej! Czas się wziąć do roboty.

Na polanie było znacznie weselej i przyjemniej. Płonęło ognisko i świeciła postawiona na jednej z kłód latarnia obozowa. Rozpięli i rozłożyli jak koce dwa śpiwory, do góry lewą stroną – flanelą w szkocką kratę. W aksamitny mrok płynęły z przenośnego kaseciaka jedna po drugiej kolejne pieśni Led Zeppelin. (Ulubionego zespołu Diane. Sabrina go nie znosiła, ale spędzając czas z Diane i Toddem, musiała do niego przywyknąć). Todd z Diane, wyciągnęci na jednym śpiworze, pałaszowali chipsy i wpatrywali się w niebo.

– Uwaga! – zawołał Eric, wymachując torbą. – Nadchodzi mleczarz!

Wolną dłoń przyłożył do ust i triumfalnie zatrąbił. On i Sabrina usiedli na przygotowanym dla nich drugim śpiworze. Eric podał torbę Diane, która ją postawiła na tacy zwędzonej z jadalni. Przysunąwszy sobie trochę latarnię, Diane wysypała zawartość pudełka po big macu i przejrzała ją ze znawstwem.

– No to skręcamy – rzekł Eric, biorąc garść chipsów – bo skręcanie to element planu. Pierwsze zawsze są dla nas. Diane nikt nie pobije. Jest jak maszyna.

Diane wprawnie pokruszyła pąki. W zaledwie kilka chwil skręciła pierwszego jointa, którego podała Ericowi. I skręcała dalej, hipnotycznymi ruchami. Eric wsunął jointa w usta i zapalił, po czym zaciągnął się głęboko i podał go Toddowi. Todd tak samo się zaciągnął i przekazał jointa Diane, która biorąc macha, nawet nie podniosła głowy, zajęta skręcaniem. Gdy na koniec joint trafił do Sabriny, zaczęła go obracać w palcach. Bibułka cicho trzeszczała.

– Nie musisz – powiedział Eric. – Twój wybór.

Sabrina dopraszała się, by ją tutaj zabrali. Chciała spróbować czegoś nowego, a gdyby choć raz w życiu nie zapaliła jointa, na pierwszym roku Columbii czułaby się jak odmieniec. „To idealne miejsce na próbę. Wkoło ani żywej duszy, no i jestem wśród swoich”. Wsunęła jointa w usta i zaciągnęła się. W odruchu wymiotnym z miejsca wszystko wykaszła. Sądziła, że ją wyśmieją, ale tak się nie stało.

– Każdy tak ma na początku – rzekł Eric. – Spróbuj jeszcze raz. Powoli. Przytrzymaj, ile dasz radę.

Zaciągnęła się znowu. Dym był gryzący i troszkę ją parzył, ale wytrzymała kilka sekund – i znów go wykaszła, tyle że już nie tak spazmatycznie jak poprzednio. Po chwili odczuła lekką zmianę. Zmniejszenie napięcia. Całą uwagę skupiła na muzyce – nagle zapragnęła czegoś innego.

– Możemy zmienić taśmę? – spytała.

– Jasne – odparł Eric. – Czego chcesz posłuchać?

– Fleetwood Mac.

– Możecie to zmienić? – poprosił Eric. – Włączcie *Rumours*^[1].

Druga para wydała cichy pomruk niezadowolenia.

– Dajcie spokój – rzekł Eric z uśmiechem. – To jej pierwszy raz. Niech sobie sama wybierze muzykę.

Diane niechętnie pogmerła w plecaku i wyjęła kasetę. Zatrzymała tę, która grała, i wymieniła na *Rumours*. Wśród drzew rozbrzmiały i zmieszały się z trzaskiem ognia przesywający jęk gitary i ciężki, wolny rytm perkusji. Sabina oparła się o kłodę i poddała muzyce. Był to jej ulubiony album. Słuchała go z tysiąc razy. Teksty, które znała na wylot, dziś odbierała wyraźnie jak nigdy dotąd.

Biegiem przez mrok, chrzań miłość, chrzań kłamstwa.

– Eric – szepnęła.

Pochylił się i spojrzał na nią. „Ma ładną, dobrą twarz. Wisi nade mną jak księżyc”, pomyślała.

– Jak leci? – zapytał.

– Chrzań kłamstwa...

– Masz to jak w banku.

Za nimi, dalej, gdzie nie docierał blask ognia... „Co się tam rusza między drzewami? Sowa? Szop? Wiedźma, co brzęczy jak dzwon tej nocy, duch czy może... Nie. Tylko strzęp torebki po chipsach, który się zapalił i szybuje sobie w górę”.

– Wybaczcie. – Todd i Diane odlepili się od ziemi i zabrali swój śpiwór. Poszli w stronę drzew i rozplynęli się w ciemnościach.

Sabrina z trudem obróciła się i spojrzała za nimi, po czym skierowała wzrok z powrotem na Erica.

– Spokojnie – powiedział Eric. – Nie ma co się spinać. Posiedzimy, zjemy chipsy, posłuchamy muzyki.

Sabrina odprężyła się i umościła pod ramieniem chłopca, oparła głowę na jego barku.

– Mam sucho w gardle – wyznała.

Odchyliwszy się, Eric wyciągnął puszkę coca-coli, otworzył i podał Sabrinie. Cola – ciepła, ale pożądana, spłynęła jej do gardła, lepka i słodka, rozkleiła wargi. Była bardzo smaczna. Sabrina wypila jednym haustem pół puszki.

– Jak wrażenia? – spytał Eric.

W odpowiedzi beknęła i zaniosała się śmiechem.

– O to chodzi – rzekł. – Właśnie to lubię słyszeć. Widzisz? Świat nie jest taki zły.

„Świat nie jest taki zły; jest niepojęcie komiczny”.

Czując rozluźnienie mięśni, Sabrina usadowiła się wygodnie na obłoczkach śpiwora.

– To... zjaranie? – spytała.

– Tak – odparł Eric. – Zrelaksuj się, posłuchaj muzyki. Nikt cię nie woła, nie ma nic do roboty. Idę się odlać. Wrócę za chwilę.

Poderwał się z ziemi i skierował ku drzewom. Odchodząc, potknął się teatralnie o kłodę, zachwiał i omal nie upadł – rzecz jasna udawał, aby ją rozbawić, więc znów wybuchnęła śmiechem. Później wkroczył między drzewa.

Sabrina odchyliła się do tyłu, opierając głowę o kłodę. Otaczały ją długie cienie, welon dymu płynął wraz z muzyką jak miód. Wiedziała, że gdy zamknie oczy, wszystko zawiruje i świat straci sens. I tak miał go ledwie, ledwie.

„Basowe bębny w tej piosence przypominają bicie serca”.

Łup. Łup. Łup.

Przerwij milczenie, chrzań ciemność, chrzań światło.

„Należć do Fleetwood Mac to poważna sprawa”. Ubóstwiała ich. „Ta płyta dała mi w tym roku tyle ukojenia, pomagała przetrwać wszystkie koszmary. Koszmary, o których – upomniała się – nie zamierzam już myśleć. Próbowала coś wypatrzyć poza aureolą ogniska. Gdzieś za nią Todd i Diane robili straszliwy hałas, oddani bez reszty swojemu zajęciu...”

Łup. Łup. Łup.

Patrzyła na tacę, pokrytą plamkami z liści i pączków, oraz torebkę chipsów, ognisko i księżyc jak hak. Życie ostatnio nie oszczędzało Sabrinie. „Czemu tak się

dają ponosić stresom?” – pomyślała. „To Barlow Corners, a sens Barlow Corners polega na tym, że nic się tu nie dzieje”

Dotarło do niej, że piosenka się zmieniała. „Zaraz, przecież to *Gold Dust Woman!*. Już piąty numer ze strony B płyty”. Nawet się nie zorientowała, kiedy wybrzmiały cztery piosenki. Jak szybko minął czas. Ile to już minut? Pewnie ponad dziesięć? Gdzie on się podział?”

– Eric? – zawołała.

Cisza.

– Eric! – powtórzyła, tym razem głośniej.

Obok była tylko Stevie Nicks – śpiewająca o czarnej wdowie, bladym cieniu i smoku. Stevie Nicks. Muzyka przybrała na sile. Ciało Sabriny było ciężkie, cienie się wydłużały, a kiedy chciała się poruszyć, świat zwalniał, przelewał się jak syrop. Jakoś dobrnęła do kaseciaka i ściszyła go.

Zapanowała głucha cisza.

– Diane! Todd! Eric!

Nikt nie odpowiedział.

Wewnętrzny głos przekonywał ją, że wszystko jest w porządku. „Eric pewnie wrócił do ambony, a Diane i Todd zajmują się sobą”. Lecz drugi głos, bardziej natarczywy, szeptał: „Coś tutaj nie gra, nie gra, nie gra”.

Sabrina postanowiła posłuchać drugiego głosu.

Dźwignęła się na nogi. Ziemia była za blisko i jednocześnie za daleko, a od wpatrywania się to w ogień, to znów w ciemność Sabrinie wirowało przed oczami.

Zamrugła, by odzyskać ostrość widzenia, po czym sięgnęła po latarnię. Czując, że nie powinna przeszkadzać Toddowi i Diane, stwierdziła jednak, że to właśnie robi. Uniosła światło, rozejrzała się i niepewnie postąpiła kilka kroków tam, dokąd się według niej udali. Dopiero po chwili macania ręką w mroku, potykania się o korzenie drzew i własne nogi zobaczyła ich na ziemi, splecionych uściskiem.

– Ej! – Znow się potknęła. – Słuchajcie, Eric zni...

Na jej słowa nie poderwali się. Nawet nie drgnęli. W ich ułożeniu było coś nienormalnego. Jakby nagle zepsute, serce Sabriny zaczęło bić tak mocno, że

niemal straciła dech i poczuła gulę w gardle.

Z tyłu rozległy się kroki.

Odwróciła się.

Jak przeczuwała – nie był to Eric.

Germaine Batt

DETEKTYW Z AKADEMII ELLIGHAMA

Większość uczniów szkół średnich ma hobby. Jedni grają na instrumentach. Inni uprawiają sporty. Jeszcze inni piszą, rysują albo coś tworzą.

Stephanie „Stevie” Bell rozwiązuje zagadki kryminalne.

Stevie uczęszcza do położonej nieopodal Burlington ekskluzywnej Akademii Ellinghama, legendarnej szkoły założonej przez potentata Alberta Ellinghama jako miejsce twórczej, radosnej nauki. Akademia nie pobiera czesnego i nie prowadzi rekrutacji – kryterium przyjęcia stanowi autoprezentacja chętnych, sposób, w jaki mówią o swoich pasjach, zainteresowaniach i zdolnościach. Akademia przyjmuje młodych ludzi, którzy pragną się zajmować czymś szczególnym, a następnie umożliwia im osiągnięcie tego celu. Taka była misja szkoły, gdy ją otwarto w 1936 roku. Wtedy też w szkole doszło do jednej z najhulaniejszych zbrodni dwudziestego wieku, gdy Iris, żonę Alberta Ellinghama, i jego córkę Alice uprowadzono przy jednej z miejscowych dróg. Ze szkoły zniknęła także uczennica, Dolores „Dottie” Epstein. W kolejnych tygodniach znaleziono ciała Iris i Dottie. Alice Ellingham zaginęła bez śladu. Sprawę upodobali sobie miłośnicy zagadkowych zbrodni. Stała się ona tematem licznych artykułów, książek i filmów dokumentalnych.

Stevie Bell złożyła wniosek o przyjęcie do Akademii, jako cel wyznaczając sobie rozwiązanie sprawy Ellinghamów. Mimo że cel był śmiały i właściwie nieosiągalny, szkoła przyjęła Stevie i pozwoliła jej spróbować. Kilka tygodni po przyjeździe Stevie Bell do Akademii zginął jakoby w wypadku jej kolega z klasy, gwiazda Internetu, Hayes Major. Akademia znów stała się miejscem tragedii.

Stevie Bell, szkolna detektyw, uznała, że śmierć Hayesa nie była przypadkowa. W ciągu kolejnych tygodni zginęły jeszcze dwie osoby związane

ze szkołą.

Mimo tylu wypadków i zgonów Stevie nie zniechęciła się, nawet kiedy pewnej nocy morderca wyświetlił na ścianie jej pokoju groźbę. Z pomocą przyjaciół, między innymi autorki tych słów, kontynuowała śledztwo i wykryła winnego. Sprawca [zaloguj się, by czytać dalej]...



I

Morderstwo, rzecz jasna, to zło. Ten pewnik zdecydował o przyszłości Stevie. Chciała wyjaśniać zbrodnie, a nie zbrodnie popełniać. Aby rozwikłać taką sprawę, trzeba się wczuć w psychikę zabójcy, dojść jak on do punktu, z którego nie ma odwrotu. To musi być silny impuls.

– Wezmę... pół kilo... Czy to jest... Macie... szynkę o niskiej zawartości sodu?

– Tak – odparła Stevie, patrząc na kobietę po drugiej stronie lady.

– Która to?

– Ta z oznaczeniem „Szynka o niskiej zawartości sodu”.

– Gdzie?

Stevie wskazała sześcian z zaokrąglonymi brzegami, z kartką z napisem „Szynka o niskiej zawartości sodu”.

– Aha, dobrze. Wezmę... może... Poproszę ćwierć kilo... i kilo... Macie niskotłuszczowy ser szwajcarski?

– Tak.

– Który to?

Stevie wskazała ser oznaczony podobnie jak szynka.

– Hmm. – Szwajcarski ser niskotłuszczowy chyba zawiódł oczekiwania kobiety, bo zagryzając wargę, poradziła się komórki. – W przepisie jest

szwajcarski niskotłuszczowy, ale... macie niskotłuszczowy provolone?

– Nie – odpowiedziała Stevie.

– Aha. Yyy... Hmmm.

„Jak pensylwańskie prawo definiuje morderstwo? Na pewno mówi o klientkach, które podchodzą do lady, sterczą i wypytyują o to, co jest wyraźnie opisane, zmuszając do czekania dziesięć osób za sobą. Jest popołudniowa piątkowa zmiana; bierze się wędlinę i coś słodkiego, żeby jak najszybciej znów być w domu. A tu taka baba, zagubiona w gabinecie osobliwości serów, zimnych mięs i gotowych sałatek...”

– Macie... – zaczęła kobieta.

„Za kontuarem jest pełno narzędzi zbrodni. Roi się od noży. Najbardziej niebezpieczna jest krajalnica do mięsa, ale nią zamordować byłoby trudno. Za dużo waży, no i ma blokadę. Choć, gdybym się postarała...”

– Może... – Kobieta zerknęła pod szybę. – Ostatecznie chyba wezmę szwajcarski. Szwajcarski niskotłuszczowy. Z piętnaście deko, nie... zaraz. To chyba za dużo, więc... yyy... piętnaście starczy. A może...

„Trzeba by siłą wpychać delikwentkę do podajnika. Mocno przytrzymując. Dałoby się obciąć palce...”

– Proszę pani?

Stevie odburknęła. Zapatrzona w krajalnicę, wyobraziła sobie, jak wpycha palce baby do otworu.

– Piętnaście deko szwajcarskiego niskotłuszczowego – powtórzyła kobieta.

Wypowiedziała to z lekką irytacją, dając wyraz oburzeniu, że przez Stevie musi czekać kilka sekund. Dziwnym trafem umknęło jej zupełnie, że medytowała nad mięsem tyle czasu. Stevie zaś nie umknęło, jak rzuca komuś w kolejce porozumiewawcze spojrzenie: „Niebawale, kogo tu zatrudniają!”. Stevie zacisnęła usta i wyciągnęła ciężką bryłę sera.

– Cienko! – wrzasnęła kobieta.

Stevie znów omiotła wzrokiem krajalnicę. „Nie najelegantsze narzędzie, ale podola”.



Sława – rzecz ulotna. Stevie w jednej chwili była detektywem, opiewanym w sieci za schwytanie mordercy w ekskluzywnej szkole z internatem. Pisano o niej artykuły. Widywała siebie na pierwszych stronach gazet, z rozczochanymi, samodzielnie ściętymi, krótkimi blond włosami, o twarzy zbyt okrągłej do zdjęć, ale w życiu normalnej, w czerwonym winylowym płaszczu vintage, który świetnie się prezentował. Rok szkolny zakończyła jako celebrytka. Bezpieczna dzięki niej szkoła wznowiła działalność. I chociaż świat o tym chyba już zapomniał, rozwiązała najśłynniejszą zagadkę zbrodni minionego wieku.

Po czym zajęła się nową, niecierpiącą zwłoki sprawą.

Jej nazwisko nadal pojawiało się w mediach, ale znacznie rzadziej – i wreszcie z nich zniknęło. Wyjechała do domu na przedmieściach Pittsburgha. Do domów wrócili też jej szkolni koledzy z różnych stron kraju. W galerii handlowej ktoś już ją zastąpił, więc była szczęśliwa, gdy dostała pracę w spożywczym. Cztery dni w tygodniu, od szesnastej do dwudziestej trzeciej.

W zasadzie nie miała nic przeciwko tej pracy. Najgorsze były pierwsze cztery godziny zmiany za ladą. Lubiła układać towar, wypełniać pojemniki, kroić, pakować. Cały czar pryskał, gdy musiała sobie radzić z ludźmi. Pracując z klientami, Stevie wiele się nauczyła. Rozpoznawała, kto będzie z nią non stop gawędził, kto zechce zawłaszczyć jej myśli, bo raz podała mu szynkę. Widziała, jak ludzie z napięciem liczą w głowie, na co ich stać. Przekonała się, że uwielbiają ser amerykański – i że do końca nie wie, co to właściwie za ser.

Drugą połowę zmiany spędzała, ogarniając bar sałatkowy. Był to z pewnością gwóźdź wieczoru. Wtedy już nie musiała rozmawiać z klientami. Choć przy klientach nie mogła nosić słuchawek, nikt się o to zbyt nie czepiał, zwłaszcza że praca przy sałatkach nie wymaga kontaktu z ludźmi. Wyciągając więc bemary, opróżniając miski z resztek jarzyn i owoców, ścierając lepkie gluty z wielkich butli dressingu, Stevie miała pełne półtorej godziny na słuchanie podkastów. Gdy właśnie zgarniała z tacy krwawe strzępy marynowanych buraczków, zadzwonił telefon.

– Hej – rzekła cicho.

– Co u mojej księżniczki? – przywitał się David.

– Jeszcze żyję. A ty?

– Jestem w... yyy... Nie pamiętam nazwy miasta. Zjedliśmy kolację w Cracker Barrel^[2]. A teraz siedzę w miejscowej remizie i pomagam prowadzić loterię dla grupy kandydatów z okolicy. Jak dobrze rozegrasz sprawę, możesz liczyć na zestaw lawendowych kosmetyków do kąpieli. A ty co masz dla mnie?

– Lubisz niedojedzoną sałatkę ziemniaczaną?

Stevie spostrzegła, że przygląda jej się zciekawiony menadżer.

– Muszę kończyć – szepnęła. – Chyba się zorientowali, że rozmawiam.

– Pogadamy później. I jeszcze jedno: jeśli te podkładki pod kubki nie kłamią, zawsze jest dobra pora, żeby się napić wina. Pomyśl o tym chwilę.



O dwudziestej trzeciej Stevie Bell, szkolna detektyw i niszczytelka barów sałatkowych, odbiła kartę zegarową i wkroczyła w parną noc. Pod sklepem czekał kasztanowy minivan mamy. Stevie nie miała samochodu, bo nabycie go mocno nadwątliloby budżet Bellów. Co wieczór więc przyjeżdżało po nią któreś z rodziców.

– Jak było? – zapytała mama, kiedy Stevie wsiadła.

– Okej. Wzięłam ten ser, o który prosiłaś.

Rzecz jasna amerykański.

– Rozmawiałaś dziś z Davidem? – spytała mama, gdy wyjeżdżały z parkingu.

– Mhm.

– Jak się miewa?

– Świetnie – odrzekła Stevie.

– To dobry chłopak.

Stevie przez lata nie dogadywała się z rodzicami. Jako córka nie spełniała ich oczekiwań. Chcieli, by jak inne dziewczęta lubiła balowe suknie, fryzjera i zakupy. Nie uważając tych wszystkich rzeczy za coś złego, Stevie nie rozumiała ich – a przynajmniej nie tak, jak powinna. Nigdy w życiu nie miała potrzeby się stroić, układać włosów, malować paznokci, dobierać dodatków. Na instagramowe reklamy nowych palet cieni patrzyła obojętnie, bo wydawały jej się takie same jak inne. Jedynym jej strojem, który naprawdę uwielbiała, był czerwony winylowy płaszcz z lat siedemdziesiątych. Ubierała się głównie na

czarno, bo w czerni było jej do twarzy, a poza tym ten kolor zwykle pasował do nastroju. Czasem nachodziła ją myśl, że nie ma chipa albo genu elegancji, ale też nie zaprzętała sobie tym szczególnie głowy.

Przed wyjazdem Stevie do Akademii Ellinghama to wszystko nadal irytowało rodziców, lecz od kilku już miesięcy w domu panował cudowny spokój – i to nie dlatego, że Stevie rozwiązała zagadkę zbrodni.

Powodem był fakt, że Stevie miała chłopaka – i to nie byle jakiego. Tak się złożyło, że ten chłopak – David Eastman – był synem senatora Edwarda Kinga. Rodzice Stevie ubóstwiali Edwarda Kinga. Nawet gdy niedawno wywołał wielki skandal i musiał się wycofać z walki o fotel prezydenta, uczucia Bellów wobec niego nie ostygły. Jak to bywa z zagorzałymi zwolennikami, uważali, że im więcej mu się zarzuca, tym bardziej musi być pewne, że zawinił kto inny.

Rodzice nie wiedzieli, że to David przyskrzypił ojca. Nie mieli bladego pojęcia o tym, że Stevie widziała na własne oczy dowód przeciwko senatorowi Kingowi.

David został wypisany ze szkoły, gdy King dowiedział się, co ten zrobił. Rok ukończył zdalnie, a później wyjechał z domu, by pracować przy spisie wyborców. Jeździł w tym celu po całym kraju – dlatego dziś nie wiedział, w jakim jest mieście i czemu kręci się po Cracker Barrel z koszami lawendowych soli kąpielowych i podkładek pod szklanki.

Rodzice Stevie nie znali większości szczegółów. Wiedzieli tylko, że David skończył ogólniak poza kampusem i odbywa jakiś staż czy praktykę. Liczyło się tylko to, że Stevie ma chłopaka – w ich oczach wymarzonego – więc wykonała zadanie.

Jak jeszcze nic dotąd Stevie doprowadzało to do szewskiej pasji, ale też zależało jej na utrzymaniu ustanowionego w domu rozejmu, bo chciała jesienią wrócić do Akademii, a później zdawać na studia.

„No i co dalej?” Stevie dostała się do Akademii w konkretnym celu – by rozwiązać sprawę Ellinghamów. I rozwiązała. Było to niemożliwe, lecz osiągnęła cel.

„Czego można dokonać po tak wielkim wyczynie? Jakie to mają być studia? Co będę robiła potem?”

To osobliwe poczucie pustki dopadało ją co noc, gdy – wciąż w obłoku spożywczych woni – odpinała pas bezpieczeństwa i wysiadając z samochodu, gryzła się w język, by nie warknąć na mamę, całą w skowronkach, jakiego to ma chłopca.

Kładąc się, Stevie przeglądała e-maile. Tuż po rozszyfrowaniu wiadomej tajemnicy dostawała ich wiele – zapytania z mediów, dziwne oferty influencingu („Sądzymy, że świetnie wypromuje Pani nasze posiłki paleo”), listy od świrów, a także osób, którym miałyby pomóc w poszukiwaniu zaginionych krewnych albo psów. Zapytania z mediów były w porządku, ale się wyczerpały. Dziwne oferty influencingu się skończyły. Stevie współczuła tęskniącym za krewnymi lub psami, jednak na odległość nie mogła niczego zdziałać. Więc właściwie zostali już tylko szaleńcy. Ci byli jej wierni.

Dziś przyszły: wiadomość o zaginionym kocie i dwie ze słowem „cześć” oraz przypadkowe zdjęcie misia z sercem w ramionach. Była jeszcze jedna, której temat zwrócił jej uwagę: „Obóz Wodospad”.

„Obóz Wodospad Cudów jest tylko jeden” – pomyślała. „Choć niekoniecznie. Miejsc o tej nazwie może być wiele. Ale tylko na jednym Obozie Wodospad Cudów doszło do zbrodni”.

Otworzyła wiadomość.

Stevie,

nazywam się Carson Buchwald, jestem założycielem i właścicielem serwisu Zapakuj (pewnie o nim słyszałaś). Niedawno nabyłem obóz letni w zachodnim Massachusetts pod nazwą Słoneczne Sosny. Dawniej nazywał się Wodospad Cudów. Tak. To ten, o którym myślisz.

Robię dokument o morderstwach w skrzyni w lesie. Czytałem, czego dokonałaś w Akademii Ellinghama. Lubię wychodzić poza schemat (co brzmi trochę przewrotnie, bo przecież pakowanie to porządek)...

(Stevie zmarszczyła brwi)

...więc od razu pomyślałem o Tobie. Miałabyś ochotę przyjechać latem i zająć się ze mną tą sprawą? Na obozie mogłabyś być opiekunką, ale głównie

robić to, co uznasz za stosowne dla śledztwa. Pokryję koszty podróży i zapłacę za czas. W ramach premii możesz zabrać przyjaciół. W obozie miejsca nie brakuje.

Jeśli jesteś zainteresowana, skontaktuj się ze mną. Mam nadzieję, że się odezwiesz.

Carson Buchwald

Prezes i założyciel

ZAPAKUJ

„Liczy się to, co jest w środku!”

„No, to jest jakaś zmiana” – pomyślała Stevie Bell.



7 lipca 1978, 7.30

Z głośników buchnął poranny komunikat, poniósł się wśród drzew, strasząc ptaki:

– *Dzień dobry na Obozie Wodospad Cudów! Witajcie w piękny nowy dzionek!*

Brandy Clark wcisnęła twarz w poduszkę i naciągnęła ją na uszy, by uchronić się przed obwieszczeniem, światłem, ptakami oraz krokami i śmiechami dziesięciorga dzieci. „Za wcześnie. Za dużo tego świtu. Jeszcze tylko chwila snu. Błaaagam”.

W nocy Brandy wstawiała z Claire Parsons pięć razy. Ośmioletnia Claire bała się chodzić do toalety sama. Toaleta była na zewnątrz, piętnaście metrów od domku, a Claire musiała robić siku częściej od innych dzieci. Brandy próbowała wszystkiego – zabraniała Claire pić soczek po kolacji, przed zgaszeniem światła zabierała ją do toalety trzy razy, a nawet dawała Claire naczynia, żeby się wysikiwała na werandzie domku zamiast w toalecie. Słyszając, że ma iść sama, Claire stawiała przy łóżku i do wiadomego skutku szturchała Brandy mokrym palcem. („Ciekawe, jakim cudem zawsze jest mokry”).

Brandy zwykle dzieliła się tym obowiązkiem z koleżanką, też opiekunką, Diane McClure, ale Diane jeszcze nie wróciła z nocnej randki z chłopakiem.

– Jedziemy na piwo i fajki – powiedziała jej poprzedniego wieczoru. – Wrócę przed drugą. Przymierzam.

„Jasne” – pomyślała Brandy.

– *Dzisiaj jemy naleśniki, no i mamy dzień snowballu, więc czas najwyższy wstawać i się zbierać!*

– Zamknij się zamknij się zamknij się zamknij – mamrotała Brandy w poduszkę.

– Zamknij się i niech cię diabli wezmą!

– Co?

Obróciwszy się, Brandy podniosła głowę i zobaczyła przy łóżku jeszcze jedną ze swych podopiecznych, Bridget Lorde. Obozowiczki sypiały w głównej części domków, a opiekunki dzieliły od nich, dając namiastkę intymności, przepierzenia z dykty. Obozowiczkom było wolno przekraczać tę granicę tylko wtedy, gdy czegoś potrzebowały. Stosowała się do tego większość – ale nie Bridget. Jak urodzona policjantka z wydziału antynarkotykowego, Bridget zawsze czuła pismo nosem, więc dosłownie włożyła człowiekowi na głowę, żeby się dowiedzieć, co jest grane.

– Gdzie jest Diane? – spytała Bridget.

– Nie wiem – odparła Brandy, przecierając oczy.

– Całą noc przebywała poza domem?

Mimo całej wściekłości na Diane, Brandy pamiętała o tutejszym niepisanym prawie niekablowania na koleżanki. Ilekroć szło się do lasu na nocne igraszki bądź dawało dyla przed inspekcją domku, gdy naruszało się zasady – zawsze można było liczyć na dyskrecję pozostałych opiekunek.

– Nie – odrzekła Brandy, podnosząc się z łóżka. – Pewnie wcześniej wyszła wziąć prysznic.

– Dlaczego?

– Żeby mieć ciepłą wodę. Nie wiem.

– Nie słyszałam, jak wstaje. – Bridget nie dawała za wygraną.

– No i? Słyszysz wszystko?

– Prawie. Raz słyszałam, jak moja siostra pali. W garażu. A byłam w swoim pokoju.

Brandy uwierzyła. „Bridget jest straszna”.

– Więc nie słyszałaś. Bierz swoje rzeczy. Prędkiej. Pora na prysznic.

Bridget zmrużyła oczy. Czowała, że Brandy kryje Diane, ale nie mogła nic z tym zrobić, bo miała osiem lat, a bycie ośmiolatką to porażka. Nie ma się władzy. Postanowiła, że kiedyś się zemści. Świat pozna jej gniew.

Brandy porzuciła nadzieję na choć jeszcze kilka chwil błogostanu i, nawet nie wkładając japonki, powłokła się do głównej części domku. Obozowiczki wypełzały z łóżek. Dopilnowała, by wzięły przybory do kąpieli i kierowały się do łazienki.

– Gdzie jest Diane? – zapytała znowu Bridget, dołączając do Brandy, gdy wszystkie dziewczynki ustawiły się w kolejce.

– Już ci mówiłam. Wcześniej wstała.

– I gdzie poszła? Pod prysznicem jej nie ma. Szukałam jej rzeczy.

– Bridget, możesz się uspokoić?

„Zamorduję Todda i Diane; te głupki zepsują wszystkim pobyt” – pomyślała Bridget.

Mała Claire była pierwsza w kolejce do łazienki. Wprawdzie sikała w nocy, ale na szczęście prysznic brała żwawo. (Na pewno się nie myła, tylko odkręcała i zakręcała wodę. Brandy wiedziała o tym, ale się nie przejmowała. „Małe dzieci to brudasy. Człowiek godzi się z tym i robi swoje”). Claire wybiegła radośnie we frotowym szlafrocisku. Za dnia zawsze była cała w skowronkach. Podśpiewując, pobiegła w podskokach na skraj lasu. Pokazała się chwilę później i ruszyła z powrotem do Brandy.

– Ktoś śpi na ścieżce – oznajmiła.

„Tylko tego mi brakuje – któreś ze znajomych leży na ścieżce, bo padło”.

– I cały się lepi – dodała Claire.

„Bomba. Nie dość, że pracuję dzisiaj sama i nie do końca się zbudziłam, czeka mnie jeszcze zmywanie rzygowin. Rewelacja!”

– Gdzie? – zapytała Bridget, błyskawicznie obracając się ku Claire.

Claire wyciągnęła rękę w stronę ścieżki. Bridget ruszyła tam biegiem, całą swą postawą krzyżując: *J'accuse!*^[3] Brandy powłokła się za nią – z myślą „Co za okropny poranek”.

Za domkami i łazienkami las rozdzielała kręta ścieżka prowadząca do toru łuczniczego i budynku, który szumnie nazywano teatrem na wolnym powietrzu. Na ścieżce, kilka metrów w głąb lasu, ktoś mocno spał, ułożony twarzą do ziemi.

– To nie Diane – stwierdziła Bridget głosem ociekającym goryczą.

Nie myliła się. Na ziemi nie leżała Diane. Był to chłopak, chłopak o kręconych jasnych włosach. Po nich i czerwonym tiszercie z dzianiny Brandy poznała, że to Eric Wilde.

– Co mu się stało? – zapytała Bridget.

– Bridget, idź umyj zęby – nakazała Brandy.

– Chcę popatrzeć.

– Bridget.

Bridget zmrużyła oczy, lecz usłuchała Brandy i się wycofała.

Brandy ruszyła ścieżką. Zorientowała się, skąd słowa Claire, że Eric się lepi – coś wokół niego przyciemniało ziemię, jak po eksplozji płynów ustrojowych. „Zapowiada się koszmarny dzień. Tyle dobrego, że to Eric” – pomyślała. „Będę musiała kryć Diane, pomóc jej wziąć prysznic”. Tak robiły koleżanki. „A w przypadku Erica nie trzeba się zbytnio trudzić: obudzę go, pogonię i niech już sobie radzi sam”.

– Eric, debilu! – zawołała, potykając się na ścieżce. – Co u diabła?

Eric nawet nie drgnął.

Przybliżywszy się do niego trochę, Brandy spostrzegła, że leży w niezwyklej pozycji – upadł twarzą w dół, a ręce i nogi miał rozpostarte jak Superman. „Jakoś dziwnie się przewrócił”. Wymiociny – „jeśli to wymiociny” – tworzyły na ścieżce wokół niego sadzawkę. Jego skóra przybrała jasnofioletowy odcień, a włosy... wyraźnie ściemniały.

– Obudź się. – Brandy podeszła do nieprzytomnego i przyklękła. – Eric, dajże spokój...

Nienaturalnie nieruchomy Eric się nie odzywał. Słysząc było tylko cichy świergot ptaków, szum drzew i gwar budzącego się obozu.

– Eric?! – powtórzyła Brandy.

Obróciła go.

Ktoś krzychał. Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że to ona.



Nazajutrz rano Stevie usadowiła się przy stole w kuchni, z miską płatków zbożowych i książką z biblioteki Ellinghamów, którą pozwolono jej wziąć do domu na lato. Był to jeden z wielu uroków Akademii – i dobrych relacji z Kyoko, bibliotekarką, która zamówiła książkę specjalnie z myślą o Stevie.

– Co czytasz? – spytała mama, przechodząc za jej plecami. Zatrzymała się i pochyliła, by zajrzeć do książki, zgodnie z przeczuciem Stevie. – To domek dla lalek?

– Tak jakby – odrzekła Stevie, przewracając kartkę.

Matka wydała dźwięk delikatnie, acz wytrwale rozplaszczanego na ziemi chomika.

Ilustracja przedstawiała wnętrze zbudowanej z wielką precyzją miniaturowej kuchni. Ściany były pokryte wesołą tapetą w jelenie i kwiaty. Na małej desce leżało prasowanie, w zlewozmywaku garnek, a na ociekaczu dwa ziemniaki, każdy nie większy od paznokcia małego palca dziecka. Od zasłon przez sznur za oknem, gdzie schły staniki i pończochy, po schludny stosik pościeli – wszystko wykonano z pietyzmem. Tak jak leżącą na podłodze przy kuchence, niewątpliwie martwą, małą kobietę z tacą u boku.

– Nosi tytuł *Badania niewyjaśnionych śmierci w pigułce* – rzekła Stevie. – To powstało w latach trzydziestych i czterdziestych dioramy do uczenia śledczych,

jak powinni oglądać miejsca zbrodni. Ta się nazywa „Kuchnia”. Spójrz na to niesamowite bogactwo szczegółów. Widzisz te puszcзки na półkach? Naklejki są wiernymi kopiami prawdziwych. Widzisz zatykające szpary w drzwiach kawałki starannie wydrukowanych gazet? A wszystkie drzwi mają maleńkie, działające klucze. Wszystko tutaj zrobiono i powstawiano na potrzeby śledztwa. Każdy drobiazg coś znaczy. Czy ta kobieta pozatykała szpary w drzwiach papierem, żeby się zagazować? Można stwierdzić z pewnością, że chodzi tu o gaz... Dysze kuchenki są otwarte, a wargi i skóra kobiety zaczerwienione, jak po zatruciu tlenkiem węgla. Tylko czy zrobiła to sama, czy ktoś ją ogłuszył, a później zatkał szpary w drzwiach papierem i tak ją tu zostawił? Patrz, wyjmowała coś z piecyka...

Mama spojrzała na Stevie ponuro.

– Autorka tych makiet nazywa się Frances Glessner Lee – ciągnęła Stevie. – W tamtych czasach, gdy ktoś padł ofiarą mordercy, nie było utartej metody badania zwłok i miejsca zbrodni. Przysyłano różnych ludzi bez żadnej wiedzy fachowej, którzy przestawiali meble albo zgadywali, co się stało, no i też często gęsto zanieczyszczali miejsca zbrodni. Czasem kogoś oskarżano, podczas gdy był to wypadek, no i na odwrót. Otóż autorka...

Stevie przekartkowała książkę i pokazała mamie zdjęcie wiekowej matrony w staroświeckich okularach, ze starannie zaczesanym kokiem.

– ...była dziedziczką traktorowej fortuny i przyjaźniła się z naczelnym lekarzem sądowym Bostonu. Lekarz ten opowiadał jej o swoich problemach związanych z tym, jak traktowano ciała i miejsca zbrodni, i o wszystkim, czego można dowiedzieć się o śmierci na podstawie miejsca i zwłok. Glessner Lee była właściwie matką kryminalistyki w Stanach Zjednoczonych. No więc tworzyła te miniatury ilustrujące niewyjaśnione śmierci. Każda z nich to odrębna zagadka. Nadal się ich używa do szkolenia detektywów.

Matka odeszła do kuchennej lady, kręcąc głową. Stevie obserwowała ją ukradkiem.

– Wolałabym, żebyś miała inne hobby, ale...

Niedokończone zdanie zawisło w powietrzu.

Stevie wróciła do śmierci w kuchni, chwilę odczekując, aż mama znów się odezwie.

- Co planujesz po południu?
- Chciałam poczytać – odrzekła Stevie.
- Dzień jest taki piękny. Mogłabyś wyjść na słońce.

Stevie niedbale przytaknęła i pochyliła się nad zdjęciem kuchni śmierci.

– Dostałam wiadomość – rzekła od niechcienia – od pewnego właściciela letniego obozu. Czytał o mnie, o moich dokonaniach w Akademii. Pyta, czy bym nie chciała tam popracować jako opiekunka. Pewnie uznał, że byłaby to dodatkowa atrakcja, wiesz, coś ekstra dla obozowiczów.

- Letni obóz? – mama zdziwiła się. – Ty?
- No właśnie – zgodziła się Stevie. – Prawda?

Stevie prawie nigdy nie spędzała czasu na powietrzu. Raz była na biwaku z rodzicami, gdy miała dwanaście lat. Sąsiedzi zaprosili ich na tygodniową wycieczkę do stanowego parku krajobrazowego. Prawie cały tydzień przesiadła pod markizą kampera, próbując czytać, gdy rodzice z drugą rodziną pili mrożoną herbatę lub piwo. Rozmawiali o telewizyjnych show i „wadach Ameryki”. Pływać w jeziorze nie było wolno, bo opanowała je ameba powodująca zapalenie mózgu. Czasem ktoś namawiał Stevie na spacer po lesie albo przejażdżkę rowerem górskim, ale ona traktowała te propozycje bardzo podejrzliwie i odmawiała. Nie mogła niczego słuchać ani z nikim pogadać, bo rodzice zabrali jej komórkę, by „zaznała życia offline” – którego zaznawiała i tak, bo byli na zadupiu bez zasięgu ani Wi-Fi.

„Biwakowanie jest beznadziejne”.

Stevie wolno przeszła do innej części książki, do jeszcze drastyczniejszej ilustracji.

– To najbardziej skomplikowane z „badań w pigułce” – powiedziała. – Nazywa się „Trzypokojowe mieszkanie”. Trzy pokoje, trzy ciała. Kluczowa tutaj jest rozbryźnięta krew...

- Gdzie jest ten obóz?
- Gdzieś w Massachusetts. Wygląda całkiem ładnie. Napisał jeszcze, że mogę wziąć przyjaciół. Popatrz na krew, tu na kocu...
- Jak się nazywa?
- Co? – spytała Stevie.

– Ten obóz. Jak się nazywa?

– Aha. Yyy... Słoneczne coś tam. Słoneczne... Dęby. Jakiś gatunek drzewa. Czekaj. Wiadomość znalazłam w komórce wczoraj wieczór.

To była przemyślana kalkulacja. Rodzice pewnie nigdy nie słyszeli o morderstwach w Obozie Wodospad Cudów, a strona Słonecznych Sosen z pewnością się nimi nie reklamowała, ale Stevie nie mogła ryzykować, że je sobie wygooglują. Przygotowała wszystko dokładnie.

Mama spojrzała na komórkę, gdy Stevie nadal podziwiała krew rozbryzniętą na podłodze maleńkiej kuchni.

– Zapowiada się miło – rzekła mama.

Tak się zapowiadało. Stevie drobiazgowo zbadła teren obozu. Na niezliczonych zdjęciach widniały drzewa, dzieci skaczące z pomostu do jeziora, dzieci grające na instrumentach i robiące wycinanki, dzieci przy ognisku i grillu, próbujące opiekanych marshmallows.

– Pozwalają wziąć przyjaciół? – zapytała mama.

– Mhm.

Stevie odszukała w książce scenę na strychu, z powieszeniem.

– Więc to poważna oferta? – spytała mama, zerkając na zdjęcia. – Od prawdziwego właściciela?

– No tak.

– Niech ją zobaczę.

Stevie zamrugnęła, jakby zdumiona tą prośbą.

– A – odrzekła. – Dobra. Jasne.

Sięgnęła po komórkę i stworzyła wiadomość, po czym oddała komórkę mamie.

Stevie,

nazywam się Carson Buchwald, jestem założycielem i właścicielem serwisu Zapakuj (pewnie o nim słyszałaś). Mam też obóz letni w zachodnim Massachusetts, o nazwie Słoneczne Sosny.

Przeczytałem artykuł o twoich osiągnięciach w Akademii Ellinghama i pomyślałem, że są niesamowite. Może byś zechciała przyjechać tu latem

i popracować? Jako opiekunka. Byłoby cudownie mieć w kadrze osobę taką jak ty! Nasz obóz jest położony w przepięknym lesie. Mamy jezioro, wodospad i niedaleko śliczne miasteczko, gdzie sprzedają jedne z najlepszych lodów w Ameryce. To fantastyczne miejsce ze wspaniałymi dzieciakami!

W ramach premii zapraszam też Twoich przyjaciół.

Jeśli jesteś zainteresowana, skontaktuj się ze mną. Mam nadzieję, że się odezwiesz.

Carson Buchwald

Prezes i założyciel

ZAPAKUJ

„Liczy się to, co jest w środku!”

– Brzmi rewelacyjnie – powiedziała mama. – Nie wolałabyś tego od pracy w sklepie spożywczym i czytania o morderczych domkach dla lalek?

– Trzeba by często przebywać na powietrzu – odparła Stevie.

– Powietrze jest zdrowe. Przydałoby ci się trochę słońca.

– Rak skóry – zachnęła się Stevie. – Poza tym w lecie muszę przeczytać masę rzeczy, a za tydzień zaczyna się darmowy kurs patologii sądowej online...

– Stevie – zachęcała mama. – Przecież chcesz być towarzyska. Nie wolisz być z przyjaciółmi?

Stevie rozważała to teatralnie.

– Chyba – odrzekła po długiej chwili. – Muszę się zastanowić.

Tę magiczną sztuczkę wykonała bez większego trudu.

Ostatnio czytała o Charlesie Mansonie, który – by założyć morderczą sektę – korzystał z wielu technik perswazji. Ze znanego samouczka zaczerpnął poradę: „Spraw, by przeciwnik uznał, że wpadł na to sam”. Stevie nie chciała mieć nic wspólnego z metodami Charlesa Mansona, lecz ta sugestia była bardzo przydatna i, jak się okazuje, skuteczna. (Gorzej od stwierdzenia „Chcę pracować w obozie zbrodni” zabrzmiałoby tylko: „Zgłębiam techniki perswazji Charlesa Mansona”. Zachowała je więc dla siebie).

Ten nowy e-mail od Casona był prawdziwy. Na pierwszy odpisała mu natychmiast minionego wieczoru.

Carsonie,

jestem bardzo zainteresowana. Ale wiedz jedno – rodzice nie pozwolą mi wyjechać, jeśli pomyślą, że chodzi o śledztwo w sprawie morderstwa.

Mógłbyś więc napisać drugą wiadomość, akcentując pracę w obozie, walory zdrowotne zajęć na powietrzu?

Stevie

Nie miała pojęcia, czy Carson się zgodzi, ale jak widać, nie miał obiekcji. Czyściutki e-mail nadszedł zaskakująco szybko. Rano musiała tylko zaopatrzyć się w rekwizyt w postaci książki o zbrodniach w domku dla lalek – i czekać. Późnym popołudniem sprawa była załatwiona.

Stevie Bell miała zostać opiekunką na najnieślawniejszym obozie w Ameryce.

I, co ważniejsze, znów miała poprowadzić śledztwo.



7 lipca 1978, 7.30

Susan Marks była dumna ze swej ściany clipboardów.

Dwadzieścia sześć clipboardów wisiało na haczykach, które własnoręcznie wkręciła w ścianę pięć lat temu, kiedy zaczęła prowadzić obóz. W tym to centrum dowodzenia zmieniała chaos w porządek, kierowała setkami malców i dziesiątkami nastolatków. Wszystko miała poukładane w odrębnych działach.

Clipboardy ze spisami miejsc na łóżkach, listami obozowiczów, opiekunek, kontaktów, rozpoznanych alergii. Później clipboardy z wykazem zajęć na każdy tydzień obozu, wreszcie clipboardy z rozpiską zajęć na każdy dzień.

Przez większość roku Susan Marks zarządzała studium wychowania fizycznego i zdrowia liceum Liberty. Latem prowadziła obóz, co bardzo jej odpowiadało. Wstawała wczesnym rankiem, gdy wszyscy jeszcze spali, i szybko przebiegała jedenaście kilometrów. Zaczynała po stronie obozu i obiegała jezioro, a potem przecinała drogę gruntową oddzielającą obóz Wodospad Cudów od publicznego kempingu po drugiej stronie. Następnie biegła nad jeziorem przy kempingu, gdzie się robi stromo, a ścieżki są wyboistsze, skaliste. Cicho mijała namioty pełne śpiących turystów i machała do rybaków wypływających łódkami na połów. Później z wysiłkiem wspinała się na wzgórze

na odległym końcu jeziora. Tu ścieżka odbija od brzegu i wije się wśród drzew. Dotarłszy na sam szczyt Czubka Grotu, Susan przystawała na chwilę, żeby odetchnąć. Wzgórze nazwano tak, ponieważ przypomina wystający z jeziora stumetrowy grot strzały z ciemnego kamienia.

„Najwspanialszy pejzaż, jaki sobie można wyobrazić”. Rozległe jezioro Wodospad Cudów odbijało poranne promienie słońca. „Nie ma to jak oglądać z tej góry świt”.

Po chwili zadumy Susan dziarsko zbiegała do obozu i wracała do domku, by wziąć szybki (zimny) prysznic. Dokładnie o wpół do ósmej brała clipboard z zajęciami i włączała głośnik.

– Dzień dobry na Obozie Wodospad Cudów! – rzekła tego dnia jak zwykle. – Witajcie w piękny nowy dzionek!

Mówiła szczerze. Po joggingu zawsze była jakiś czas pobudzona.

– Dzisiaj jemy – szybki rzut oka na clipboard z jadłospisami – naleśniki, no i mamy dzień snowballu, więc czas najwyższy wstawać i się zbierać!

Wyłączyła głośnik i na liście codziennych rzeczy do zrobienia odfajkowała „zapowiedź”. Mimo że znała swój porządek dnia na pamięć, uważała, że ta lista to podstawa.

Przeczytała plany na resztę dnia. „Wpadną z miejscowej stajni i przyprowadzą pięć koni do lekcji jazdy. Odbędzie się badanie czystości wody. W domku numer dwanaście przecieka dach”. Jakiś delikwent wypływał kajakiem nocą, musiała się więc dowiedzieć, kto to taki, a inny żartowniś wpuścił węża do dziewczęcej przebieralni basenu dla młodszych dzieci. Już miała dzwonić do stajni...

...kiedy rozległ się krzyk. Krzyk pojedynczy, nieprzerwany.

W obozie krzyki były normą. Obozowicze krzyczeli, kiedy pływali, bawili się, a czasem – by sobie po prostu pokrzyczeć. Ale ten krzyk brzmiał piskliwie i wyraźnie, a umilkł dopiero po dobrych dziesięciu sekundach. Zawisł nad wodą i po chwili zabrzmiał znowu, tym razem głośniejszy, bardziej uporczywy. Krzyku tak upiornego jeszcze nie słyszała, nawet gdy opiekunka Penny Mattis omal nie utonęła w jeziorze, ani kiedy, przed kilku laty, sama spadła z drzewa.

Susan nie zwlekała. Zdjęła z ładowarki krótkofalówkę i wyszła na niewielką werandę domku, żeby ogarnąć wzrokiem obóz. Trudno było stwierdzić, skąd

dokładnie płynęły krzyki, ale uznała, że na pewno od strony domków na drugim końcu jeziora.

Krótkofalówka zatrzeszczała.

– Susan, słyszałaś?

Była to Magda McMurphy, obozowa pielęgniarka.

– Tak. Nie mam pewności, gdzie krzyczano. – Susan pospieszyła w kierunku kładki. – Chyba gdzieś na skraju lasu, w pobliżu strzelnicy.

Rozległ się kolejny krzyk – i zbudził cały obóz.

– Nie podoba mi się to – rzekła Magda. – Widzimy się tam, biorę torbę.

Susan dość szybko zlokalizowała źródło krzyków – wszyscy patrzyli w tamtą stronę, a wielu już tam nawet ruszyło. Po drodze upominała obozowiczów, by wracali do swych zajęć. Dotarłszy na skraj lasu, zobaczyła jedną z młodszych dziewczynek, Claire Parsons, stojącą przed swoim domkiem w samym szlafrocuku. Claire spojrzała na Susan i wskazała jej ścieżkę wiodącą do lasu.

– Poszła tamtędy – powiedziała.

– Kto?

– Brandy.

– Wejść do środka i ubierz się, Claire – nakazała Susan, oddalając się w pośpiechu.

– On śpi.

Susan nie miała czasu, by się zastanawiać, co to znaczy. Przyspieszyła. Za jej plecami zahamował rower. Magda pośliznęła się, zeskakując z siodełka i rzucając rower na trawę. Ścieżka przed nimi skręcała lekko w lewo i wiodła głębiej w las, w stronę teatru i strzelnicy łuczniczej. Natknęły się tam na dziwnie spokojną sytuację. Na ziemi klęczała, patrząc przed siebie, Brandy Clark, jedna z najsolidniejszych opiekunek. Przed nią, około sześciu metrów dalej, ktoś leżał na ścieżce. Susan od razu poznała po czuprynie Erica Wilde'a.

– Jest tam... – powiedziała Brandy sennym, nieobecny głosem. – Poskładałam go do kupy.

„Znów bez sensu. Nie ma czasu na pytania”. Susan i Magda ruszyły dalej.

Eric leżał twarzą do ziemi, jakby ucinał sobie drzemkę. Koszulę miał całą w plamach i poszarpaną. Jego włosy wyglądały osobliwie – normalnie jasne,

miejscami mocno ściemniały.

Co jednak najbardziej znaczące, nad Erikiem roiły się muchy i, bzyząc, co chwila przysiadły na nim w stadkach.

Magda wydała dziwny dźwięk jak uchodzące z opony powietrze i zerwała się do biegu. Padła na ziemię przy Ericu i przytknęła palce do jego nadgarstka.

– Jest zimny – rzekła.

– Wezwę ambulans...

– Nie ma sensu. Nie żyje. – Magda spojrzała na zegarek. – Ustalam czas na siódmą czterdzieści sześć. A ty masz którą?

Susan mrugnęła oczami i zerknęła na zegarek.

– Siódmą czterdzieści cztery.

– Niech będzie siódma czterdzieści pięć.

Magda obróciła lekko Erica, by spojrzeć na jego brzuch. Na jej twarzy odmalował się szok.

– Susan, musisz tutaj podejść.

Susan postąpiła kilka kroków ku temu, co uznała już za zwłoki. Widok, który wtedy ujrziała, miał jej nigdy nie opuścić.

– To rany klute – stwierdziła Magda cicho. – A głowa... O Jezu, Susan...

Susan podniosła krótkofalówkę do zdrętwiałych nagle ust.

– Dom na jeziorze – rzekła. – Odbierz.

– Dom nad jeziorze – odezwał się zaspany głos.

Shawn Greenvale. Był zawsze niezawodny i jako jeden z niewielu w okolicy miał telefon.

– Musisz wezwać policję. Niech przyjadą prosto do obozu, na ścieżkę, która prowadzi do teatru. Powiedz, że miał miejsce poważny wypadek. Ambulans zbędny.

– Co się dzieje?

– Rób, co mówię, Shawn.

Za nimi pomału zbierali się obozowicze. Coraz bardziej hałaśliwi, rozmawiali, płakali, wskazywali palcami Erica. Nie bardzo wiedzieli, co się dzieje, lecz tak jak Susan czuli, że zdarzyło się coś strasznego.

– Zachowajcie spokój – rzekła Susan. – Cofnijcie się.

Nikt nie zachowywał spokoju. Musiała więc przywrócić porządek. Zrobiła to, co jej przychodziło naturalnie – zadęła w gwizdek, który wisiał jej na szyi. Wystraszyli się na tyle, że przestali hałasować.

– Wszyscy do jadalni – nakazała. – I to już.

Podeszła do Brandy i podźwignęła ją z kolan.

– Chodź – szepnęła. – No, pospiesz się. Czas iść.

Brandy pozwoliła się prowadzić, ale, wstrząśnięta, jak odrętwiała potykała się co chwila. Przedzierając się przez mur obozowiczów, którzy niechętnie opuszczali miejsce zdarzenia, nadbiegła Patty Horne, która – w ramach aresztu domowego – musiała kilka ostatnich nocy przespać w domku pielęgniarki.

– Czy to Eric? – zapytała.

– Patty, zwołaj swoją grupę i idźcie do jadalni.

– Co z resztą? – spytała Patty. – Nic im się nie stało?

Susan zamarła.

– Resztą? – powtórzyła.



Przez niezliczone powieści kryminalne przejeżdżają pociągi. Wypycha się z nich ludzi albo ci, którzy wędrują między wagonami, znikają. Gdy pociąg zagłębi się w mrok tunelu, przynajmniej jeden pasażer skończy podróż z siekierą w głowie. Śpiący w przedziale okazuje się trupem, ofiarą wsypanej do herbaty zamorskiej trucizny. Jeśli nie zginiesz z rąk mordercy w pociągu, to pewnie skończysz jako świadek, który spostrzegł za szybą, jak ktoś się czai ze spluwą pod domem albo dusi kogoś w oknie kilkadziesiąt metrów od wagonu. Pociąg zawsze jest istotny. Jasper nie mógł być w pociągu, który wyjeżdża z Londynu o siódmej czternaście, ponieważ w niedzielę ten pociąg nie kursuje!

Stevie jeszcze nigdy nie jechała pociągiem. Rodzice podróżowali wyłącznie samochodem, bo uważali, że pociąg ma w sobie coś europejskiego i podejrzanego. Pociąg okazał się dość cichą i nudną rurą, gdzie ludzie głównie gadają przez telefon i zalatuje kanapkami.

Kilka minionych dni Stevie przeżyła jak w gorączce. Gdy tylko dostała zgodę na wyjazd do Słonecznych Sosen, musiała się zmobilizować i zebrać przyjaciół, a tymczasem Carson pozmieniał grafik i zatrudnił wszystkich zgodnie z ich zdolnościami.

W Akademii Ellinghama Stevie mieszkała w domku o nazwie Minerwa, z trzema uczniami na parterze i trzema na piętrze. Pod koniec roku szkolnego z wielu niefortunnych powodów liczba lokatorów Minerwy skurczyła się do

czterech. Wliczając Stevie i Davida. Zostali też: Janelle Franklin, sąsiadka Stevie zza ściany, i mieszkający na piętrze Nate Fisher.

Stevie zaczęła od Nate'a.

Mając lat czternaście, Nate Fisher napisał epicką powieść fantasy, która zdobyła w sieci tak wielkie powodzenie, że zainteresowało się nią pewne wydawnictwo. Coś, co tworzył, aby oderwać się od ludzi, niespodziewanie dało mu światową popularność. Wydawca chciał, by Nate jeździł po kraju, kręcił wideoklipy, uśmiechał się i lansował, a nade wszystko, żeby napisał kontynuację.

Nate wciąż „pracował” nad książką, co znaczy: nie pracował nad nią wcale. Żeby jej nie pisać, przyjechał aż do Akademii. Żeby jej nie pisać, wybrałby się nawet na Marsa. Stevie nie rozumiała, dlaczego Nate nie chce pisać książki – by napisać cokolwiek, po pierwsze musiał to lubić. Zawsze kiedy próbowała go o to zapytać, kończył dyskusję zdaniem: „To tak nie działa” i wymachując rękami, ulatniał się do swego pokoju. Czowała, że ma to związek z tremą, która była jej nieobca. „A może po prostu nie chce robić tego, czego oczekują od niego inni” – myślała Stevie i to jej też nie dziwiło.

Nate, jako jedyny członek grupy, nie znosił obozów bardziej niż Stevie, ale nie miała wątpliwości, że skorzysta z pierwszej okazji, by się znów spotkać z przyjaciółmi i, rzecz jasna, nie pisać. Nie omyliła się.

Carson znalazł dla Nate'a idealne zajęcie. W obozie była biblioteka w chatce na drzewie, z której nie korzystano zbyt często. Nate mógł zostać obozowym bibliotekarzem, a to nie do końca była posada. Carson nawet kazał tam zbudować z dykty miejsce do spania, żeby Nate mógł spędzać na górze tyle czasu, ile zapragnie.

– Mam mieszkać na drzewie sam i robić byle co dla nikogo? – zapytał Nate, gdy mu Stevie o tym powiedziała. – To moje marzenie, Stevie. To moje marzenie.

Więc Nate przyjechał.

Następna była Janelle. Stevie uważała Janelle za najlepszą przyjaciółkę. W razie napadu paniki mogła do niej przyjść w środku nocy. Janelle dopingowała Stevie do przyznawania się do uczuć. W pierwszym dniu szkoły poznała Vi, swoją partnerkę, z którą się odtąd nie rozstawała. Jako inżynierka, konstruktorka, rzemieślniczka – Janelle czuła się szczęśliwa tylko z przewodami w jednej ręce i pistoletem do klejenia w drugiej. Czy trzeba było zbudować

miniaturowy dron, czy uszyć sukienkę, Janelle niezmiennie była pierwsza do pomocy.

W przeciwieństwie do Nate'a i Stevie Janelle nie miała nic przeciwko obozom, aczkolwiek nie zadowoliliaby się jałową pracą bez obowiązków. Carson pozmieniał to i owo w swoich wcześniejszych planach i zaproponował Janelle genialną fuchę – szefowanie sekcji rzemiosła artystycznego.

– Czeka cię masa rękodzieła – wyjaśniła jej Stevie. – Trzeba będzie załatwiać całe morze materiałów.

Dzięki temu Stevie mogła działać pod przykrywką – została asystentką Janelle. Miały dzielić sypialnię za pawilonem sztuki, normalnie przeznaczoną dla członków kadry kierowniczej.

Nie wszyscy zdołali dotrzeć. Vi, partnerka Janelle, wyjechała na lato do rodziny, do Wietnamu. Stevie uznała, że Janelle przyjedzie, bo bez Vi i jej znajomych czułaby się bardzo samotna.

Pozostawał jeszcze David. Ta rozmowa nie przebiegła zgodnie z oczekiwaniami Stevie. Stevie myślała, że David się zgodzi. Jego posada w kampanii, choć niedobrowolna, była słabo płatna. To takie zajęcie, które potrzebuje człowieka bardziej niż człowiek potrzebuje jego, no i oboje za sobą tęsknili.

– Chcę... – zaczął David. Gdy serce Stevie zabiło mocniej, David złowieszczo zawiesił głos.

– Ale...

– Ale... praca, którą teraz wykonuję, jest dla mnie dość ważna. Jeszcze nie złożyłem podania na uczelnię. Wciągnąłem się w to, tak że...

Stevie ogarnęły rozmaite emocje. Czowała przyływ głębokiego smutku i nagłą potrzebę miłości. Wpadła w lekki popłoch. Przeszył ją gniew i zaraz znów smutek. W gardle wyrosła jej gęła. Wszystko to się stało mniej więcej w pięć sekund.

– Jesteś tam? – zapytał David.

Stevie cicho odchrząknęła.

– No. Tak. Mhm, rozumiem.

– Wierz mi – powiedział. – Bardzo chcę przyjechać i być przy tobie. Tylko że... tą robotą naprawiam jakby szkody wyrządzone przez rodziców. Strasznie

przykro mi odmówić. Odmawianie to lipa.

Choć Stevie odebrała tę odpowiedź jak cios, nie dało się ukryć, że David mówi z serca. Wiedziała, że nie blefuje. Zaczęła gmerać przy dziurce tiszertu.

– Jasne – odrzekła. – Musisz to zrobić.

Zabrzmiało to trochę sucho, bo nie specjalizowała się w trudnych rozmowach.

– Nie smuć się tak – odpowiedział z sarkazmem.

– Nie. Ja... to rozumiem. Naprawdę.

Na moment zapadła cisza.

– Ale... – rzekł David. – Mogę wykroić chwilę na odwiedziny. Przyjadę. Poobozujemy. Poobozujemy, jeszcze jak.

Stevie znalazła się więc w pociągu, który zmierzał w stronę wzgórz Berkshire w Massachusetts. Usytuowany o jakąś godzinę drogi od Springfield, nieopodal Amherst, obóz Wodospad Cudów vel Słoneczne Sosny był otoczony rozległym zielonym terenem usianym jeziorami.

Stevie musiała zabrać różne niezwykle rzeczy. Dwa zestawy pościeli, poduszkę, koc, trzy opatrzone nazwiskiem ręczniki. Klapki, tenisówki, parę grubych skarpet sięgających ponad kostkę, jednoczęściowy kostium lub kąpielówki i koszulkę do pływania, spray na owady, maść na ukąszenia, latarkę o dużej mocy, przynajmniej jedną parę długich spodni dresowych bądź podobnych spodni do ćwiczeń, bluzę sportową z długim rękawem, nakrycie głowy...

Akademia Ellinghama też podawała, co jest niezbędne uczniowi – ale wykaz przygotowany przez pracowników Carsona był tak szczegółowy, że dało się z niego wiele wyczytać. Grube skarpety sięgające nad kostkę oznaczają wycieczki po górach. Spodnie dresowe i bluza z długim rękawem skojarzyły się Stevie nieciekawie – z zajęciami w dzikiej głuszy, gdzie trzeba się zabezpieczyć, albo nocnymi wypadami w celu szturchania szopów.

Przypomniała sobie, że nikt tam jej nie każe szturchać szopów. Teoretycznie miała być zatrudniona w obozie, ale Carson ją zapewnił, że jej posada jest szczególna. „Zaznam obozowego życia bez obozowych wymogów”.

W gorączce przygotowań Stevie miała mało czasu na zapoznanie się ze sprawą skrzyni w lesie. Rzecz jasna, jak każdy fan zbrodni w realu, знаła podstawy – lecz jej wiedza nie była aż tak szczegółowa jak w przypadku sprawy

Ellinghamów. Na research tamtej zagadki poświęciła ponad rok przed wyjazdem do Akademii. Badała wszystko, czytała, co się dało, uczestniczyła we wszelkich forach, słuchała różnych podkastów, by – kiedy przybędzie na miejsce zbrodni – móc działać bez mapy i cytować co drugą książkę.

Teraz wyglądało to inaczej. Mimo utrudnień Stevie przesłuchiwała podkasty, pakując się i czytając nocą, ile tylko zdołała. Gotowy na imprezę, zaczął o sobie przypominać jej stary znajomy – lęk.

Tym razem działo się za dużo, za szybko. „Na pewno mi się nie uda i wyjdę na oferme. Nie rozwiążę już nic innego. Nie zostanę detektywem. Moje życie podąży donikąd”.

Esemes od Nate’a nadszedł w odpowiednim momencie.

„Stevie.

STEVIE

Tutaj jest trapez”.

Zbił ją z tropu wystarczająco, żeby rozładować jej obawy.

Dotarłszy do Springfield (w strachu, że je przegapi, czaiła się w metalicznym przedsiionku wagonu aż dwie stacje), powlokła ciężką walizkę na kółkach po peronie.

Następny esemes – teraz od Carsona, z informacją, gdzie się spotkają.

„Przed dworcem”.

Stevie wyszła i zobaczyła niewiele od niej wyższego mężczyznę, który stał oparty o mur i jak szalony pisał coś w komórce. Najwyraźniej dużo ćwiczył – miał umięśnione ramiona i sześciopak, uwydatnione obcisłym czarnym tiszertem. Dolną część jego ciała zdobiły powłóczyste spodnie do jogi w fioletowo-czarne mandale. Był ogolony na zero. Na jego lewym przedramieniu widniały wytatuowane wielkimi literami słowa „Na węglu”, a na prawym słowo „Oparty”.

– Cześć! – zawołał, machając do niej, jakby od dawna się znali. – Stevie! Stevie!

Zbliżywszy się, Stevie poczuła, że Carson cuchnie paloną szafwią. Nie tak jak studia jogi, lecz jak ocalony z pożaru uprawy tego zioła.

– Moje auto stoi tam. – Wskazał drogę.

Stevie powlokła się za nim z walizką w stronę zielonej tesli, którą otworzył. Wnętrze samochodu miało kolor kremowobeżowy, który pewnie nazywa się

„latte”, „prazono kokos” czy coś w tym stylu. Z lusterka zwisały drewniane koraliki do medytacji, a w uchwycie na kubek stał różowy kryształ. Woń szałwii w samochodzie była jeszcze bardziej gryząca, do tego stopnia, że Stevie zapragnęła powietrza.

– Barlow Corners jest jakąś godzinę drogi stąd – rzekł Carson, wyjeżdżając upiornie cichą teslą z parkingu. – Są tu już twoi przyjaciele.

– Dostałam wiadomość, że... macie trapez?

– Owszem. Czeka ją w Domu Natchnień.

Stevie nie ośmieliła się zapytać, skąd nazwa Dom Natchnień, ale nie miało to znaczenia. Wiedziała, że zaraz się dowie.

– Nazwałem go Domem Natchnień, bo goszczę w nim różnych twórców i wspólnie dyskutujemy. Takie spotkania to Sesje Myśli.

Stevie stłumiła odruch otwarcia drzwi samochodu i nawiania.

– Dziś się zatrzymacie w jego pokojach gościnnych – ciągnął Carson. – Jutro obwiózłbym was po mieście, a potem zabrał do obozu. Dopóki można, warto skorzystać z klimatyzacji i ciepłej wody, no i przespać noc bez węży, prawda, Stevie?

Lęk jest bardzo taktowny. Jeszcze chwilę temu Stevie całą sobą lękała się porażki. Teraz lęk uprzejmie zmienił się w obawę przed Domami Natchnień, brakiem klimatyzacji i ciepłej wody. Był bezwarunkowo gotowy wnieść do zabawy węże. „To duży namiot. Wszelkie problemy są mile widziane”.

– Węży?

– Spotyka się je nad jeziorem, ale w obozie nie.

– Przecież obóz jest nad jeziorem.

– Mhm, ale węże... yyy... Owszem, są, tylko po drugiej stronie. W obozie węży nie ma.

„Węże są w obozie na sto procent. Składa się z nich cały obóz. Jakim cudem dotąd nie pomyślałam o węzach?”

– Dziś wieczór powinniśmy się spotkać i omówić szczegóły sprawy – rzekł Carson. – A na jutro zaplanowałem coś wyjątkowego.

Węże odpełzły na bok mózgu Stevie.

– To znaczy?

– Ważną imprezę sponsorowaną przez Zapakuj. Widzisz, ufundowałem miejskiej bibliotece czytelną dla dzieci, no i w ramach jej otwarcia urządzałem wielki piknik z darmowym jedzeniem i rozrywką. Zaprosiłem dużo ludzi, a wśród nich osoby, które tu przebywały w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku. Będziesz mogła poznać kilku świadków, a nawet niektórych podejrzanych. Zaczniemy działać od razu. Zagadka skrzyni w lesie będzie w końcu rozwiązana!

– O ile da się ją rozwiązać – rzekła Stevie.

– Jasne, że się da. Przy dzisiejszych możliwościach? Nie żartuj! Ktoś tylko musi to pchnąć, uruchomić, zbadać wszystko, co przez kilkadziesiąt lat przeoczono.

– Przecież już się to robi.

– Właściciel obozu jeszcze nie – odpowiedział Carson z uśmiechem.

Musiała przyznać mu rację.

W oddali wyłoniły się lekko pofałdowane, zielone wzgórza. Ubywało domów i ziemia zaczęła się otwierać jak niezapisana stronica książki. Za rogiem Carson wjechał między dwa rozległe pola. Drogi się zwężyły i zagłębiały w otchłań lasu. Stevie skojarzyło się to trochę z jazdą do Akademii, tyle że wtedy autobus pisał się coraz wyżej i wyżej. Tu jechało się dość spokojnie, teren nie był aż tak zróżnicowany. Gdzieś tam pojawiały się atrybuty Ameryki – flagi, stoiska farmerów, oszklone werandy. Poboczem pod gęstym baldachimem zieleni ludzie wyprowadzali psy lub jeździli na rowerach, wytrwale biegali ze słuchawkami w uszach, wypatrując niewidzialnej linii mety.

Pierwszą oznaką, że wjechali do Carsonlandu, był stojący obok zielonej, malowanej w mandale skrzynki na listy kamienny posąg Buddy. Przejechali podjazd, minęli trampolinę, basen i trzy kozy na łączce. Stevie wysiadła – i znalazła się w skrytym pośród drzew spokojnym zakątku, okolonym przez szemrzący strumień. Z płytkiej wody wystawały, opierając się o siebie, sterty kamieni.

– Oto Dom Natchnień – oznajmił Carson, ciągnąc walizkę Stevie do stodoły, a raczej czegoś, co nią było wieki temu. Całe jej wnętrze wyglądało na nowiutkie – od jaskrawobłękitnych ścian po olbrzymie okna z musztardowożółtymi parapetami.

– Ja mieszkam tam. – Wskazał schowany za drzewami duży fioletowy dom z namalowanym tuż pod szczytem dachu okiem, które ospale łypnęło na Stevie.

Drzwi stodoły otworzyły się. Dał się słyszeć przeraźliwy pisk, po czym do Stevie przybiegła jak na skrzydłach i uścisnęła ją Janelle Franklin.

– Włożyłaś cytryny! – zawołała Stevie.

– Wiadomo! Jesteśmy tu wszyscy! Prawie wszyscy!

Janelle ubóstwiała cytryny, więc włożenie sukienki w ten wzór oznaczało, że jest szczęśliwa. Włosy splecione w warkocze owinęła żółtą chustką, uzupełniając całość słonecznym cieniem na powiekach, który wesoło podkreślał jej ciemną karnację. Taka właśnie była Janelle – jej strój musiał robić wrażenie. Wiedziała, co do czego pasuje i jak się nakłada makijaż, jak świetnie dobrać ubrania i czuć się w nich swobodnie. „To chyba na moją cześć”. Janelle dla zabawy rozwiązywała równania różniczkowe.

Zza pleców Janelle wyłonił się Nate, krzywiąc usta w kpiarskim uśmiešku. Nawet kiedy się uśmiechał, miał minę rybaka z dawnych czasów, który patrzy z rezygnacją, jak jego łódź pożera wąż morski. Zawsze miał niedomyte włosy i ciut za duże ubranie. W szkole zwykle nosił sfatygowane bojówki lub sztruksy – a teraz, latem, zmienił je na sfatygowane bojówki do kolan. Chodził w tych samych tiszertach co w szkole; na dzisiejszym widniały słowa „Krewetki gratis”.

– Zostawię was – powiedział Carson – żebyście nadrobili zaległości. Mam wieczorną medytację. Wrócę za godzinę. Wegańska pizza wam pasuje?

Zapadła uprzejma cisza.

– Albo mogę wziąć zwykłą. No to na razie. Rozgość się, Stevie.

– Poczekaj, aż zobaczysz mieszkanie – rzekł cicho Nate, otwierając szerokie drzwi stodoły.

Najbardziej uderzył Stevie pomarańczowy kolor ścian – tak jaskrawy, że dostała oczopląsu.

– Kojący, prawda? – zapytał Nate.

We wnętrzu nie było ani krzeseł, ani stołu. Jak okiem sięgnąć leżały wytworne pufy z pianki rodem (chyba) z NASA, dające oparcie w każdej pozycji. Człowiek czuł się na nich, jakby lewitował. Z sufitu zwisały grube sznury z węzłami, służące do wspinania się lub huśtania. Poza tym były tu piłki do jogi i zwykłe piłki dmuchane oraz, w kącie, nieco sflaczała bumper ball.

– Witaj w domu, który powstał dzięki pakowaniu – rzekła Janelle.

Zgodnie z wcześniejszą informacją w stodole był trapez, przymocowany wysoko do krokwi.

– Jak na nim ćwiczą? – zdumiała się Stevie. – Stanowczo tu za ciasno, by się porządnie rozhuścić. A jak ktoś spadnie, to co?

– Rozkminiamy to od kilku godzin – odrzekła Janelle. – Pewnie za pomocą jakiegoś haka wciągają się z trapezem na strych, a potem bardzo ostrożnie zeskakują i tam jakby zawisają. Spadają, zdaje się, na to.

Wskazała zwiniętą pod ścianą dużą brezentową płachtę.

– Po prostu wiszą u sufitu i spadają na brezent? – zapytała Stevie.

– No. Czyli to nie tyle jest trapez, ile taki jakby... dyndacz.

– On to nazywa Sesjami Myśli – rzekł Nate, zagłębiając się w puf. – Powiedział ci? Sesje Myśli...

– Mnie to nawet nie drażni – zwierzyła się Janelle. – I w związku tym faktem jestem na siebie wściekła.

Na jednej ze ścian głównego pomieszczenia Stevie ujrzała przyklepione taśmą setki dwuipółcentymetrowych kawałków materiału, tworzących siatkowy wzór. „To na pewno nie sztuka” – pomyślała.

– Nie mamy pojęcia, do czego służą – rzekła Janelle. – Może facet się jara patchworkami.

Stevie opadła na wielki puf, który ją opłynął kosmicznymi kulkami albo pianką, albo czymś innym, z czego był zrobiony.

Ciekawe, jak zmienia się świat, gdy jest się pod jednym dachem z przyjaciółmi. Powietrze iskrzy od energii, a światło nabiera blasku. Dwa tygodnie rozłąki uleciały i rozmawiali tak, jakby widzieli się przed chwilą.

– Już się nie mogę doczekać – oznajmił Nate. – Uwielbiam horrory o letnich obozach, więc żeby wejść w klimat, tydzień temu obejrzałem kilka na nowo. Chcecie posłuchać o horrorach z letnimi obozami?

– Nate... – zaczęła Janelle.

– Nie możesz mi tego odbierać – przerwał Nate. – W końcu to kryminał w obozie. Chcę go przeżyć po swojemu. Najbardziej lubię *Uśpiony obóz*^[4]. Jest kompletnie bez sensu. Przede wszystkim obozowicze w tym filmie mają po

osiemnaście lat. Nie opiekunowie. Obozowicze. Wszystko w tym filmie jest straszne. Prawie cały czas usiłują spółkować. Ale oczywiście w kategorii mordercy Jason wciąż jest niezrównany. Mieszka w jeziorze i popełnia zbrodnie w kosmosie.

– Skończyłeś? – Janelle się zniecierpliwiła.

– Też mieszkasz w jeziorze?

– Okej. – Janelle wstała i przyglądała sukienkę. – Muszę zadzwonić do Vi. To nie potrwa długo – musimy się umawiać ze względu na różnicę czasu.

– Co u Vi? – spytała Stevie.

– Dobrze. Da Nang się jej podoba. Ma różne rodzinne sprawy. Dużo pracuje nad wietnamskim i szlifuje mandaryński. Tylko to... no wiesz. Strasznie daleko. Zaraz wracam, dobra? Zaraz będę!

– Wy też musicie prowadzić miłosne rozmówki? – zapytał Nate, gdy Janelle odeszła.

– Nie – odpowiedziała Stevie. – Nie mamy harmonogramu.

– Co u Davida?

– Dobrze – odparła, wzruszając ramionami.

Jednym z czynników, które sprawiały, że Stevie i Nate przyjaźnili się tak blisko, była właściwa obojgu wielka niechęć do dzielenia się emocjami. Łącząca ich więź pogłębiała się dlatego, że starali się nie wykraczać poza to, co namacalne – jakby podczas wspólnego nurkowania po obłędnych rafach koralowych oglądali je i podziwiali, nie zbliżając się, by coś ich raptem nie ukąsiło.

– Więc znów jesteśmy w Miasteczku Zbrodni – rzekł Nate. – Gdzie się żyje.

Spojrzeli na trapez powieszony pod sufitem. Choć wyglądał niewinnie i służył do zabawy, w tej chwili skojarzył się Stevie z innym śledztwem w pigułce. Sprawa ta, o nazwie „Strych”, dotyczyła powieszenia.

– Co myślisz? – zapytał Nate.

Nie musiał niczego dodawać. Stevie wiedziała, o co mu chodzi, bo chodziło o wiele rzeczy. Co to za uczucie – mieć kolejną zagadkę zbrodni? Co sądzi o tej sprawie?

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziała.

– Według mnie będzie super – oznajmił. – Morderczy obóz, życie na drzewie, niewidywanie się z ludźmi. To moje lato. Przejdę samego siebie. Osiągnę szczyt możliwości. Po drugie nie ma tu tuneli, więc pewnie nie utkniesz pod ziemią. Mam dobre przeczucia.

Euforyczne nastawienie Nate'a należało potraktować jako przestrożę, ale znaki rozpoznaje mało kto.



7 lipca 1978, 8.05

Szeryf Elliot Reynolds i jego zastępca Don McGurk skręcili na podjazd Obozu Wodospad Cudów. Don bezwiednie stukał palcem w okno po stronie pasażera.

– Co to może być, jak myślisz? – spytał. – Utonięcie?

– Oby nie – odpowiedział szeryf Reynolds.

– Nie wierzę, że ktoś zginął. O ósmej rano w obozie?

Szeryf Reynolds też uważał to za nedorzeczność. Sądząc po chaotycznym powiadomieniu, które odebrał przez radio, wydarzyło się coś niedobrego. Poważny wypadek, nie trzeba karetki. Ale, jak zauważył Don, wydawało się nieprawdopodobne, by ktoś mógł zginąć w obozie w zwykły słoneczny dzień.

A jednak od śmierci Michaela Penhale'a szeryf Reynolds czuł, że w Barlow Corners coś się psuje. Wypadki, wiadomo, zdarzają się wszędzie. Lecz ta sprawa wiele napsuła, splamiła jego dobre imię. Ów nieskazitelny kiedyś, mały zakątek Ameryki ogarnął ledwie wyczuwalny, acz nieunikniony odór zgnilizny.

„Niech szlag trafi tamtą sprawę” – pomyślał szeryf. – „Niech ją jasny szlag trafi. Wszystko w niej było koszmarnie – ale żeby odebrać życie młodemu człowiekowi i to tak! Na co to komu było?”

Szeryf Reynolds nie wyobrażał sobie w Barlow Corners śmierci jeszcze jednego dzieciaka.

Przy wejściu do obozu czekała na nich Susan Marks ze szlochającą Patty Horne. Wyraz twarzy Susan potwierdził najgorsze. Gdy tylko zatrzymali wóz, Susan otworzyła tylne drzwi i wsadziła Patty do środka, po czym wsiadła z drugiej strony.

– Co się dzieje, Sue? – zapytał szeryf Reynolds.

– Nie żyje jeden z opiekunów. Eric Wilde. Został zamordowany.

– Dalej – powiedział Don.

– Prawie już mi się udało zapanować nad obozem... Eric leży na ścieżce pod lasem. Jedź dalej – ta droga się z nią styka. Dodaj gazu.

Szeryfowi nie trzeba było tego powtarzać. Rozpędził się na drodze jak tylko mógł – nie ryzykując, że potrafi jakiegoś zbłąkanego obozowicza.

– To nie wszystko – ciągnęła Susan. – Mamy jeszcze troje zaginionych. Najwyraźniej wybrali się wczoraj wieczorem do lasu.

– Kto zginął? – spytał szeryf, patrząc na nią we wstecznym lusterku.

– Diane McClure, Todd Cooper i Sabrina Abbott.

– Sabrina Abbott? I Todd Cooper?

– Cholera – zaklął cicho Don.

Szeryf rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Patty – nakazała Susan. – Opowiedz im to, co mnie.

Patty zaniósła się płaczem.

– Uspokój się, Patty – rzekła Susan grzecznie, lecz stanowczo. – Nie możemy tracić czasu. No, opowiadaj.

Roztrzęsiona Patty opanowała się na tyle, że mogła mówić.

– Wyszli około dwudziestej trzeciej... Wyjeżdżają... Eric kupuje...

– Co bierze? – podpowiedział szeryf, lekko skręcając, by wjechać na ścieżkę.

– Nie... Nie mogę...

– Możesz. Po prostu mów.

– On... kupuje trawę. W lesie. Pojechali po trawę.

– Cholera – powtórzył Don, ale teraz półszepem.

– Stań tu – wskazała Susan.

Don został w samochodzie, by koordynować akcję przez radio i pilnować Patty. Susan i szeryf pobiegli ścieżką dalej. Panowała upiorna cisza, obozowicze zebrali się pod stołówką. Ranek był zachwycający: łagodny, uroczy, wkoło śpiewały ptaki. W tej scenerii blade martwe ciało Erica wyglądało jeszcze bardziej groteskowo. Choć stała przy nim Magda McMurphy, obozowa pielęgniarka, było jasne, że nie może zrobić niczego poza odganianiem od niego much.

– Nie żyje od jakiegoś czasu – poinformowała Magda. – Co najmniej od kilku godzin.

Szeryf przykucnął nad zwłokami.

– Obróćmy go – rzekł do Magdy.

Ostrożne obrócenie ciała upewniło ich, że doszło do krwawej zbrodni.

– Co się tu, na Boga, stało? – zapytał cicho szeryf.

– Na moje oko jest sześć ran kłutych – odparła Magda. – Może być więcej. Trudno powiedzieć. Ma też wielką ranę głowy.

Szeryf Reynolds wziął głęboki haust powietrza i poderwał się z ziemi.

– Chodź! – nakazał Susan i rzucił się biegiem do radiowozu. Susan dotrzymała mu kroku. Otworzył tylne drzwi. Patty Horne siedziała z kolanami pod brodą, z twarzą zasłoniętą długimi włosami, jakby się chciała odgrodzić od świata.

– Patty – spytał bez ceregieli szeryf. – Dokąd łazili po tę trawę?

– Do lasu. Dalej drogą.

– Byłaś tam?

– Raz. – Patty przytaknęła ociężale. – Gdzie, nie wiem... pamiętam tylko, że... gdzieś w lesie.

– Chodzicie czy jeździcie?

– Prowadzi Todd. Zabieramy jego jeepa.

– To daleko stąd? Jak długo trzeba jechać?

– Nie wiem – odparła Patty, wciąż płacząc, ale opanowana. – Pięć minut?

– Zostań tutaj z Susan.

Patty wysiadła z wozu z przerażoną miną.

– Przypilnuj dzieciaków, żeby się nie rozeszły – rzekł do Susan. – Nawet do łazienki nie mogą iść same, rozumiałaś?

Susan kiwnęła głową na znak, że może na nią liczyć. Gdy szeryf znów siadł za kółkiem, Don spojrzał na niego zbity z tropu.

– Co się dzieje?

– Mamy martwego chłopca z sześcioma ranami kłutymi klatki piersiowej.

– Cholera – zaklął Don. – Dzwonimy do burmistrza, skoro Todd jest zamieszany?

– Nie – odrzekł szeryf, wciskając pedał gazu. – Drugi raz nie będziemy go włączać. Nie dopuszczamy go do sprawy najdłużej jak się uda. Wzywamy policję stanową i wyruszamy szukać reszty. Dzwon po nich, Don.

Ruszyli słusznym tempem wyboistą drogą przez las. Jeepa Todda znaleźli dość szybko. Patty nie pomyliła się w ocenie odległości: jeep stał lekko ukośnie na poboczu – jakieś pięć minut od punktu ich startu. Szeryf zatrzymał radiowóz tuż za jeepem. Z zamykanego na klucz schowka wydobyl kaburę z rewolwerem. W Barlow Corners prawie nigdy nie musiał korzystać z broni – wyjął rewolwer tylko raz w swej karierze, gdy domniemany rabuś okazał się szopem ukrytym w ścianie.

– Weź z bagażnika strzelbę – rozkazał Donowi.

I, uzbrojeni, zaczęli przeszukiwać teren. Wokół nic nie wskazywało, że może to być miejsce schadzek.

– Todd! – zawołał szeryf. – Diane! Sabrina!

Nikt się nie odzywał.

– Tu są ślady stóp – rzekł Don, badając wzrokiem ścieżkę. – Zdaje się, że poszli w tym kierunku.

Wkroczyli między drzewa, rozgarniając gałęzie, ciągle nawołując. Ptaki pierzchały, ale nikt nie odpowiadał. Natrafiwszy na niewielką polanę, zobaczyli na ziemi koc i pozostałości po ognisku – ledwie tłący się żar pod stertą spalonego drewna. Na jednej z kłód przed dogasającym ogniem stał magnetofon kasetowy. Koc był właściwie rozłożonym rozpiętym śpiworem, na innej kłodzie stała otwarta puszka coli. Nieopodal leżały trzy nieotwarte piwa oraz barowa taca z torebką z McDonalda, kilkoma papierkami i jakąś zieloną substancją.

– Marihuana – powiedział, badając ją, szeryf. – Byli tu. Nie wiem, czemu ją tak zostawili, chyba że wpadli w tarapaty...

Dokładnie szukał między drzewami. „Na takiej polanie człowiek jest całkiem bezbronny. Napastnik może się ukryć wszędzie i może nadejść z każdej strony. Po zmroku byłoby tu łatwo napaść na grupę nastolatków”.

Wyciągnął rewolwer z kabury.

– Todd Cooper to potężny chłopak – rzekł Don, jakby myślał o tym samym. – Postawiłby się. Diane też.

Lecz śladów walki nie znaleźli. Teren był czysty. Tak jakby grupa po prostu dokądś odeszła, porzuciła ognisko, magnetofon i znaczną ilość trawy na tacce.

Szeryf i Don wolno okrążali teren, zaglądając między drzewa, starannie badając grunt.

– Patrz. – Wskazał szeryf. – Coś tędy wleczono.

Ostrożnie stawiali kroki wśród drzew. Don sięgnął po gałąź ze strzępem ciemnozielonej tkaniny z przylegającą do niego kępką białego wypełnienia.

– Wygląda na oddarte od śpiwora – stwierdził Don.

Nie przerywając poszukiwań, chwilę później natrafili na zapadłą amboneę myśliwską. Obok niej leżał schludnie zwinięty śpiwór z rozdarcie z boku. Kiedy się zbliżali do ambony, w lesie panował anielski spokój. Szeryf otworzył ją powoli. Uderzony fetorem, nie od razu zdołał przetrwać ohydne puzzle, które zobaczył.

– O, Boże – wyszeptał Don. – Co u diabła... co tu...

Na wewnętrznej stronie klapy skrzyni widniało nagryzmołone białą farbą słowo „Niespodzianka”.



IV

Okazało się, że Carson właściwie odczytał myśli zebranych w stodole, bo wrócił z pudełkami, które zawierały najrozmaitsze pizze z wędliną i serem. Podróż, radość spotkania i cudowne leśne powietrze pobudziły ich apetyt tak, że z miejsca podzielili pizzę i spałaszowali je. Carson, który dla siebie przyniósł wielki kubek gęstego niebieskiego soku, przyglądał się rzezi pizzy, tak jakby śledził dokument z życia zwierząt.

– A więc dostarczasz pudełka? – spytał niewinnie Nate, sięgając po piątą kawałek. – „Kupuj pudełko co miesiąc” czy coś w tym stylu?

– Zapakuj – odrzekł Carson.

Nate już to wiedział, więc spytał, żeby się pośmiać:

– Ale na czym to polega?

– Co miesiąc dostaje się zestaw wyselekcjonowanych pudełek – odparł Carson.

– Co zawierają pudełka?

– Pudełka. To pudełko pełne pudełek. Nasza tematyka jest szeroka – pudełka do łazienki, pudełka do szafy, pudełka na prezenty, pudełka kuchenne, pudełka ogrodowe. Pudełka są niezbędne każdemu. Za kilka miesięcy wprowadzamy coś nowego. Nazwiemy to Zatorbuj, albo też Zatorb. Klient dostaje torby wielokrotnego użytku. Widzisz te próbki tkanin? Są właśnie na torby. Poświęciłem im Sesje Myśli.

- Po co? – zapytał Nate.
- Co po co?
- Po co komu torba pełna toreb? Albo pudełko pełne pudełek?
- To ekologiczne – wyjaśnił Carson.
- Mianowicie?
- Pudełka się dostaje, więc nie ma potrzeby ich kupować. Tak samo torby.
- Wysyłać ludziom zestawy zbędnych pudełek, wiedząc, że później będą musieli je wyrzucać, to trochę słabe. Zwłaszcza gdy się doliczy koszt pakowania, transportu i reszty.
- Chodzi też o wygodę – rzekł Carson.
- Co to za wygoda – dostać kupę pudełek albo toreb?
- Klienci są zadowoleni – odparł nieco ciszej Carson. – Mamy ponad czterysta tysięcy subskrybentów. Tak czy siak... powinniśmy zaczynać.

Nate radośnie pochłonął pół kawałka pizzy jednym gryzem, gdy Carson wskazał im pufy i sofy pośrodku pokoju. Stevie, Janelle i Nate przenieśli się na nie, Nate z pudełkiem pizzy. Carson podniósł pilota. Światła przygasły i, lekko bucząc, zjechał z sufitu wielki ekran.

Na którym pojawił się po chwili tytuł slajdu:

MORDERSTWA W SKRZYNI W LESIE,
6-7 LIPCA 1978 ROKU

– Trzeba się wczuć w klimat tego miasteczka, obozu w tamtej epoce, bo te morderstwa są mocno wpisane w miejsce i czas...

Stevie z mety się zorientowała, że Carson napisał sobie tę kwestię zawczasu i jest z niej bardzo zadowolony. „Wypróbowuje scenariusz podcastu – to pewne”.

– Życie w latach siedemdziesiątych wyglądało inaczej niż dziś. Na przykład dostęp do informacji był ograniczony, komunikacja również...

– No pewnie – wtrącił Nate. – Dlatego ichniejsze slashery^[5] działają też dziś. Nikt nic nie wie i nie można zadzwonić po pomoc.

– Istotnie – zgodził się Carson. – Zatem brak komunikacji miał wpływ na bezpieczeństwo. Była to epoka bezładu. Nie dawało się ustalić, kto co robi, gdzie przebywa, dokąd się przemieszcza. Wszystko polegało głównie na przekazach ustnych i tym, co kto wiedział. Świat był mniejszy. Obóz stanowił przedłużenie szkoły średniej i miasta – był to obwód zamknięty. Wszyscy się znali. Co nas prowadzi do...

BARLOW CORNERS

Slajd przedstawiał zdjęcie, które Stevie widziała już kilka razy, bo towarzyszyło większości poświęconych sprawie książek, artykułów, dokumentów. Była to barwna fotografia, która z upływem lat przybrała odcień sepii, a kolory albo wypłowywały, albo stały się zbyt jaskrawe. Widniała na niej grupa osób ustawionych przed konnym posągim ustrojonym czerwonymi, białymi i błękitnymi chorągiewkami. Pozujący byli w większości w średnim wieku. Mężczyźni mieli na sobie bermudy ściągnięte paskiem. Kobiety – sukienki albo luźne spodnie.

– Zdjęcie to – wyjaśnił Carson – powstało w dwóchsetlecie powstania Stanów Zjednoczonych, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym, a więc dwa lata przed morderstwami. Władze postawiły pomnik na cześć założyciela miasteczka, Johna Barłowa, pomniejszego bohatera wojny o niepodległość. A miejscowy fotograf wykonał zdjęcie i przekazał je redakcji magazynu „Life”, która opublikowała je w okolicznościowym dodatku specjalnym. Widzimy tutaj kilka osób związanych ze sprawą. Zdjęcie mówi sporo o miasteczku – prowincjonalnym, na wskroś amerykańskim, gdzie każdy zna każdego. A prawie każdy znał...

OFIARY

– Zaczniemy od informacji podstawowych – kontynuował Carson. – Cztery ofiary. Wszyscy to świeżo upieczeni absolwenci liceum Liberty. Wszyscy mieszkali w Barlow Corners. Cała czwórka pracowała w obozie. To Eric Wilde...

Wyświetlił zdjęcie chłopca o niesamowicie kręconych jasnych włosach, z głupkowskim uśmiechem.

– Osiemnaście lat. Syn miejskiego bibliotekarza i nauczyciela Liberty. Powszechnie lubiany, ale nieraz wpadał w tarapaty. Diane McClure...

Na ekranie pojawiła się fałszywie uśmiechnięta twarda dziewczyna, ruda i piegowata.

– Córka właścicieli miejskiego bistra, Mlecznej Księżnej. Przeciętna uczennica. Lubiła rock i zabawę. Typowa nastolatka z lat siedemdziesiątych. Była dziewczyną tego oto Todda Coopera.

„Mody się zmieniają, ale szczęka jest wieczna” – pomyślała Stevie. „Todd Cooper miał niezłą, choć odrobinę za wydatną”. Jego twarz była niemal kwadratowa. Nosił modną w latach siedemdziesiątych plerezę. Na jego wargach igrał cwany uśmieszek. Tryskał samozadowoleniem, a nawet arogancją.

– Syn burmistrza. Kapitan drużyny futbolowej. Często sprawiał kłopoty. Więcej na jego temat później. A to prawdziwa outsiderka w grupie...

Rozbłysło zdjęcie dziewczyny. „Trudno powiedzieć, czym różni się od reszty. Zdjęcie jest identycznej jakości jak poprzednie...” Długie kruczoczarne włosy wywinęła w popularne w latach siedemdziesiątych „skrzydła”. Miała duże piwne oczy i szczery uśmiech. Było w niej coś frapującego. „Patrzy w obiektyw inaczej niż tamci”. Jej wyraz twarzy świadczył o inteligencji. „Wydaje się sensowna”. Stevie poczuła, że mogłyby się zaprzyjaźnić.

– ...Sabrina Abbott, porządna dziewczyna z miasteczka. Córka dentysty. Najlepsza uczennica Liberty. Co tydzień ochotniczo czytała malcom bajki w bibliotece. Oto jedna z niepojętych zagadek tej sprawy – jakim cudem ta przyzwoita dziewczyna wybrała się do lasu po narkotyki z trójką wykolejeńców? Ale przejdźmy do rzeczy...

MORDERSTWA

– Oto niepodważalne fakty. Szóstego lipca około dwudziestej trzeciej Sabrina, Eric, Todd i Diane opuścili obóz jeepem Todda. Udali się do lasu po cotygodniową dostawę marihuany. W obozie dilował Eric Wilde. Todd i Diane byli parą, a Sabrina Abbott towarzyszyła im z nieznanych powodów. Następnego dnia rano jedna z obozowiczek znalazła Erica Wilde’a leżącego twarzą do ziemi na leśnej ścieżce, która wiodła do teatru i strzelnicy. Eric został uderzony

w głowę i zadano mu sześć ran kłutych. Rany, dokładnie pięć z nich, okazały się śmiertelne.

Carson wyświetlił wykonane z bliska czarno-białe zdjęcie miejsca, w którym odnaleziono ciało. Wokół zamordowanego, przykrytego prześcieradłem, stało, rozmawiając, kilku policjantów.

– W obozie szybko się zorientowano, że pozostałych troje zaginęło, więc policja wyruszyła na poszukiwania. Jeep stał na poboczu drogi. Znaleźli obozowisko...

Wyświetlił zdjęcie obozowiska – dogasający ogień, koc, latarnia, plastikowa taca z czymś zielonym, napoje gazowane, plecak.

– Brak śladów walki – oznajmił Carson. – Jakby się po prostu oddalili od obozowiska. Przeszukując teren, policjanci znaleźli dawną ambonę myśliwską. Po jej otwarciu, cóż, wiadomo, co zobaczyli. Zdjęcia ofiar nie są udostępniane publicznie, podaje się tylko opis. Oto rysunek...

Na ekranie pojawił się mrozący krew w żyłach szkic – trzy anonimowe ciała w prostokącie, pokryte kropkami i plamami dla oznaczenia ran i więzów. Stevie już widziała podobne rysunki, ale zawsze wytrącały ją z równowagi.

– Ciała były porządnie ułożone w skrzyni. Diane i Sabrina z twarzami w jedną stronę, a Todd w przeciwną, z głową między stopami dziewcząt. Todd i Diane mieli wielkie rany głowy, tak jak Eric. Każde pchnięto ostrym narzędziem wielokrotnie – Todd miał szesnaście ran kłutych, Diane dziewięć. Sabrina, jako jedyna, nie miała rany głowy. Dźgnięto ją dwadzieścia jeden razy, a rany dłoni wskazują, że się broniła, więc pewnie znalazła się twarzą w twarz z zabójcą. Z dowodów wynika, że zostali zabici przy obozowisku, a potem przeniesieni do skrzyni. Morderca skrępował ich nogi i nadgarstki czerwonym nylonowym sznurkiem. Na wewnętrznej stronie wieka skrzyni widniało, wypisane białą farbą, jedno słowo...

Carson wyjął z pojemnika najbardziej znane zdjęcie ze sprawy, jedno z niewielu zrobionych na miejscu zbrodni, które podano do publicznej wiadomości – z namalowanym byle jak wielkimi literami słowem „Niespodzianka”. Było tak nedorzecznie złowieszcze, że wyglądało jak błaga.

– Istnieją trzy główne hipotezy na temat tego, kto mógł być sprawcą – rzekł Carson. – Przyjrzyjmy się pierwszej, czyli najmniej prawdopodobnej...

TRANSAKCJA NARKOTYKOWA

– Policja z początku podejrzewała, że była to transakcja narkotykowa, w której coś poszło nie tak. Eric Wilde dilował w obozie i tamtej nocy wszyscy czworo pojechali do lasu po cotygodniową dostawę towaru. Więc ludzie myśleli, że morderstwa muszą mieć coś wspólnego z przestępczą działalnością w lesie. Poza tym Erica znaleziono gdzie indziej niż resztę. Zwłoki Sabriny, Todda i Diane odkryto w skrzyni, tymczasem ciało Erica – niemal w obrębie obozu.

– Ale ta teoria jest idiotyczna – wtrąciła Stevie. – Na miejscu zbrodni znaleźli całą trawę, czyli transakcja została sfinalizowana. Nikt nikogo nie zabija dla garstki marihuany – którą tam nota bene zostawiono.

– Zgoda – odpowiedział Carson. – W zasadzie nikt się nie upiera, że dilowanie miało związek z morderstwami, ale to było proste wytłumaczenie, zwłaszcza wtedy. Handelek w lesie, który prowadzi do wielokrotnego morderstwa? Czemu nie, jasne. Ale kolejna teoria przekonuje bardziej, toteż dość długo była najbardziej rozpowszechniona...

DRWAL

– Lata siedemdziesiąte to poniekąd złota era seryjnych morderców. Aż się od nich roiło. W tej okolicy działał wtedy – jak go nazywano – Drwal. Pierwsze morderstwo wykryto w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku w New Hampshire. Potem dwa w Massachusetts: w siedemdziesiątym czwartym i siedemdziesiątym szóstym. Oraz dwa kolejne – w siedemdziesiątym piątym w północnej części stanu Nowy Jork. Były jeszcze dwie sprawy, ponownie w New Hampshire, w siedemdziesiątym dziewiątym i osiemdziesiątym. Drwal dźgał ofiary ostrym narzędziem i zostawiał je w lesie, zasłonięte gałęziami i gruzem, z kończynami skrępowanymi czerwonym sznurkiem. Wszystkim tym zabójstwom towarzyszył napis „Niespodzianka”, znajdujący nieopodal miejsca zbrodni, zazwyczaj na drzewie. Samo się więc nasuwa, że sprawcą był Drwal, chyba się zgodzicie? Warto wiedzieć, że zbrodnie Drwala trafiły do gazet. W siedemdziesiątym szóstym donosił o nich nawet lokalny dziennik.

Carson wyświetlił kserokopię artykułu ze starej gazety, z nagłówkiem *Leśny morderca uderza w pobliżu Hawley*.

– Tę zbrodnię popełniono jakieś trzy kwadranse drogi stąd, więc zasadniczo w okolicy. Historia jest bardzo charakterystyczna dla lat siedemdziesiątych. Dziewiętnastolatka nazwiskiem Becky O’Keefe była wolnym duchem. Spędzała lato, biwakując w górach Berkshire. Znajomi widzieli ją po raz ostatni, gdy pojechała autostopem do kolejnego obozowiska, żeby się spotkać z pewnym chłopakiem. Znalaziono ją dwa dni później. Według tego artykułu z gazety nogi i nadgarstki miała skrępowane czerwonym sznurem, a na jednym z pobliskich drzew widniało słowo „Niespodzianka” – okoliczności były niemal identyczne jak w przypadku ciał odnalezionych w skrzyni. Ale policja ukryła przed prasą pewne szczegóły: ofiary wszystkich zbrodni Drwała były związane kawałkami podartego na strzępy czerwonego jedwabnego materiału, a wiadomości morderca pisał kredą. Więc od początku wydawało się oczywiste, że ktoś bierze wzór z opisów podawanych w gazecie. Ten zabójca posługiwał się białą farbą i sznurkiem z nylonu.

– Czyli był naśladowcą – podsumowała Stevie. – Dowiedzieli się czegoś o farbie albo sznurku?

– Okazało się, że biała farba tego typu jest stosowana powszechnie i można ją kupić w prawie każdym sklepie z narzędziami na północnym wschodzie Stanów. Ze sznurkiem rzecz ma się trochę ciekawiej...

Na ekranie pojawił się w zbliżeniu kawałek czerwonego sznurka na białym tle. Leżąca pod sznurkiem linijka wskazywała jego długość – piętnaście centymetrów.

– Sznurek tego rodzaju sprzedawano w sklepach sportowych i w tej okolicy był on powszechnie używany przez wodniaków. Rybacy zabezpieczali nim łodzie i sprzęt. W obozie wiązano nim kajaki. Policja próbowała ustalić personalia wszystkich ostatnich nabywców sznurka, ale najpewniej ktoś go podprowadził z łodzi albo szopy na narzędzia. Nie było trudno go zdobyć.

– Nie mogą zbadać DNA? – spytała Janelle.

– I tu się zaczyna robić śmiesznie – policja pozbyła się większości ubrań, które miały na sobie ofiary.

– Cooo? – zapytał Nate.

– Niesamowite, ale prawdziwe. Tiszert Erica mają nadal, a co z resztą? Ktoś je po prostu... wyrzucił. Zbadali tiszert i stworzyli profil DNA – który jednak nie pasował do próbek Drwala. To mógł być profil mordercy. Mógł to być profil każdego. Sznurek nie wniósł nic.

– Nawet nie zbadali mieszkańców? – zdziwił się Nate. – Próbki pobiera się przecież od wszystkich...

– To, co znaleźli, nie było dość dobre, żeby badać każdego. Przejdźmy teraz do trzeciej teorii...

ZEMSTA

– Zemsta – wyszeptał Nate. – Zemmmsssta.

Carson wyświetlił zdjęcie roześmianego chłopca.

– W grudniu poprzedniego roku – rzekł – to jest siedemdziesiątego siódmego, został potrącony przez samochód i zginął jedenastoletek nazwiskiem Michael Penhale. Nikogo nie zatrzymano, nikomu nie postawiono zarzutów. Śledztwo zostało umorzone jako wypadek, którego sprawca zbiegł. Ale w miasteczku panowało powszechne przekonanie, że Michaela przejechał Todd Cooper. Brat chłopca, Paul, przyjaźnił się z ofiarami i pracował w obozie. Sąsiedzi zeznali, że w nocy, gdy doszło do morderstw, Penhale'owie byli w domu, więc pewnie Paula ktoś zastępował. Człowiekiem tym był Shawn Greenvale, były chłopak Sabriny Abbott. Sabrina zerwała z nim kilka tygodni wcześniej. Niektórzy spekulowali, że Paul albo Shawn mogli pragnąć śmierci Todda lub Sabriny, byli też widziani przez kierowniczkę obozu, Susan Marks. Ale ze sprawą łączy ich jedynie fakt, że Todd potrącił Michaela Penhale'a, a Sabrina zerwała z Shawnem. I to właściwie wszystko. Sprawę od początku prowadzono tak kiepsko, że utknęła w martwym punkcie.

Carson znów wcisnął guzik pilota i ekran poszybował pod sufit, zwijając się wygodnie do snu. Światła rozblęły, jakby wzeszło słońce.

– Zmierzamy – oznajmił – do poczynienia postępów w sprawie, która od lat leży odłogiem. Choć wydaje się to trudne, mamy mnóstwo atutów. Jestem właścicielem obozu, więc jak zechcemy, możemy go przewrócić do góry nogami. Wiele osób żyje nadal i mieszka w miasteczku. Mamy internet. I oczywiście

mamy Stevie. Jutro zaczynamy wcześniej rano. Przyjdę po was, powiedzmy, o siódmej?

Kiedy Carson się oddalił, trójka przyjaciół siedziała przez chwilę w milczeniu.

– Ten cały morderczy obóz już mnie tak nie bawi – rzekł w końcu Nate.



V

Stevie, która właśnie się obudziła, próbowała skupić wzrok na przedmiocie zwisającym z sufitu. „Na co ja, do cholery, patrzę?” – pomyślała. „Aha, już wiem. Na trapez”.

Stevie przespała noc na stercie pufów na podłodze głównego pokoju. Mimo że w Domu Natchnień było kilka pokoi gościnnych, przysnęła tu, gawędząc z Nate'em, więc postanowiła się nie przenosić. Chętnie zostałaby tu trochę dłużej, unosząc się na piance czy kulkach, dryfując między snem a jawą, ale Janelle wstała już i krzątała się wokół, a hałas wskazywał, że Nate jest pod prysznicem. Stevie podniosła się i zaczęła szykować do wyjścia.

Carson zjawił się kilka minut wcześniej. Wszedł do stodoły bez pukania.

– Mamy dziś mnóstwo do zrobienia – ogłosił. – Najpierw was obwiozę po miasteczku. Później pojedziemy do obozu, abyście się mogli z nim oswoić, wszystko dokładnie wam pokażę.

Jazda z kompleksu Carsona do miasteczka przebiegała w spokojnej atmosferze. Wszystkie domy miały od frontu werandy, w większości oszklone. Gdziekolwiek spojrzeć – flagi, donice z kwiatami, zielone trawniki, zacienione miejsca. „Chyba każdy w miasteczku ma huśtawkę z opony”. Wzięli przeraźliwie ostry zakręt i przejechali zalesiony odcinek szosy, który zawiódł ich pod wielki błękitny billboard z napisem „Liceum Ogólnokształcące Liberty, siedlisko niezwykłych sów”.

– Ton ciszej, billboardzie! – zjeżył się Nate. – Bo pobudzisz te sowy wrzaskiem!

Tablica była niedorzecznych rozmiarów, wysoka niemal jak drzewa wkoło – i postawiona w niewłaściwym miejscu przy drodze. Reklamowana przez nią szkoła mieściła się w średniej wielkości budynku z czerwonej cegły, z lat pięćdziesiątych. W porównaniu z innymi, które Stevie widziała po drodze, dosyć brzydkim. Minąwszy szkołę, przejechali kolejne osiemset metrów lasu i strumieni, po czym dotarli do świateł.

– Oto Barlow Corners – rzekł Carson, skręcając w nieco ruchliwszą ulicę. – Dwa tysiące mieszkańców. A to główna droga, czyli same firmy.

Były tam miejsca, jakie się spotyka w każdym miasteczku. Butik z lokalnym rękodziełem, chustami, bibelotami. Kasa oszczędnościowo-pożyczkowa. Bar z taco na wynos. Studio jogi.

A wśród nich Mleczna Księżna, bistro należące kiedyś do rodziny Diane.

Carson wskazał przytulną kawiarnię pod nazwą Słoneczne Wypieki.

– Najpierw idziemy do niej – poinformował. – Jej właścicielka, Patty Horne, przyjaźniła się z co najmniej trojgiem ofiar.

Wnętrze Słonecznych Wypieków, boleśnie rozkosznego prowincjonalnego lokalu, pomalowano na sześć odcieni żółci, od bladomaślanego, przez cytrynowy, aż po niemal oranżowy, nawiązujący do słońca w nazwie. W kilku serwantkach były wystawione zdumiewające torty – istne dzieła sztuki, delikatne, misterne, nieskazitelne. Przyciągnęły one Janelle jak płomień ćmę.

Za ladą stała popielata blondynka po pięćdziesiątce, w niedbałym koku. Miała na sobie znękaną luźną dzinsy i niebieski fartuszek. Pogrążona w myślach, przeglądała jakiś spis.

– Dzień dobry! – rzekła z lekkim zaskoczeniem. – Wy już na obóz? Sądziłam, że opiekunowie przyjadą jutro.

– Masz przed sobą wyjątkowe osoby – Carson ubiegł wszystkich z odpowiedzią. – Oto Stevie Bell, która na jesieni rozwiązała sprawę tych morderstw w Akademii Ellinghama.

– Mhm – odparła Patty Horne. Stevie zorientowała się, że nie bardzo wie, o co chodzi, tylko z grzeczności udaje, że coś sobie przypomina. – O rety. To imponujące. Więc... będziecie opiekunami?

– Tak! – potwierdził prędko Carson. – Weźmiemy kawę i... yyy.... – Zapatrzył się na wystawione pod szkłem wypieki, tak jakby oglądał zbiór rzadkich pajaków. – ...muffinki? Albo na co macie ochotę. Ja kawy nie piję ani nie jem cukru.

Stevie ogarnęła wzrokiem wewnątrz, oprawione w ramy zdjęcia z historii Barlow Corners i kilka portretów starszego mężczyzny. Janelle drobiazgowo badała zawartość serwantek, między innymi trzy torciki. Pierwszy, pudrowoniebieski z lamówką ozdobioną delikatnym lukrowym wzorem, przywodził na myśl porcelanę Wedgwood. Drugi pokrywały motyle, a trzeci miał kształt buchającego lawą wulkanu.

– Pani torty są piękne – zachwyciła się Janelle. – Dbalność o detale jest niewiarygodna.

– Dziękuję – odrzekła Patty. – To wzory tortów na wesele, upiekłam je w tym tygodniu. Wyszły bardzo dobrze, więc je tutaj wystawiam.

– Jak pani zrobiła te motylki?

– Są z cukru – wyjaśniła Patty. – Ciekawi cię dekorowanie tortów? No to sobie zobacz z bliska. – Wyjęła torty z serwantki i postawiła na ladzie. – Ten tutaj – rzekła, wskazując niebieski – jest repliką talerza Wedgwood, który dostała w prezencie ślubnym babka panny młodej.

– Jak pani uzyskuje te szczegóły?

– Zrobiłam kilka silikonowych odlewów talerza.

Na słowa „silikonowe odlewy” oczy Janelle zapłonęły.

– No nie – mruknął Nate. – Bierze się za nowe rękodzieło.

Jakże by inaczej. Janelle Franklin nie spotkała się z rzemiosłem, które by jej w sobie nie rozkochało.

– Każdego z tych motyli robiłam osobno – ciągnęła Patty. – Ale tę winorośl, prawdę mówiąc, sknociłam, no i w nieudanym miejscu musiałam dołożyć liści. Wiele da się oszukać lukrem. Dekorując tort, cukiernik na ogół zaczyna od środka – wstawia główny element, przechodzi do brzegów, a na koniec ozdabia boki. Dzięki temu oczywiście nie uszkadza krawędzi. Ale ja zawsze wolałam zmierzać od zewnątrz do środka.

– To tak jak z miejscami zbrodni – wyrwało się Stevie.

Patty spojrzała na nią znad tortu.

– Miejsce zbrodni?

– Ona się tym zajmuje – wyjaśnił Nate.

Stevie przemknęła myśl, że jeśli o tym opowie, wyda się Patty dziwaczna, ale jeszcze dziwniejsza, jeżeli to pominie.

– Chodzi o to, że miejsca zbrodni są analizowane od zewnątrz do punktu centralnego – rzekła. – Najpierw zakreśla się szeroką granicę, zamykając cały teren, żeby nie było wątpliwości, gdzie szukać odcisków palców, przedmiotów, śladów opon, czegokolwiek. Później śledczy stopniowo zbliżają się do ofiary albo...

Patty zaczęła obracać tortem bez celu, tak jak zachowałby się każdy, do kogo wpada ni stąd, ni zowąd nastolatka i stwierdza, że jego fantazyjny wypiek przypomina miejsce zbrodni.

– Stevie się tym zajmuje – powtórzył Nate.

– Już nigdy nie spojrzę na swoje torty tak jak dawniej – odparła Patty.



– Coś mi się zdaje, że cię zapamięta – rzekł Nate, gdy wyszli z kawami i muffinkami. – Niezła z ciebie aparatka.

– Wypsnęło mi się – odpowiedziała Stevie.

– Te torty są niewiarygodne – stwierdziła Janelle, która nie mogła oderwać myśli od piekarenki. – Strasznie bym chciała odlewać z silikonu. Może by się dało w pawilonie sztuki? Urządzilibyśmy sesję dekorowania babeczek. Dzieciaki byłyby zachwycone, no nie?

Wyciągnęła komórkę i zaczęła notować.

– Jest taka czysta. – Patrząc na Janelle, Nate znowu się uśmiechnął.

– Nie wiem, czy cię lubię, kiedy się tak cieszysz – odparła Stevie.

– Przywyknij do tego. Albo nie. Bo jak już wejść na drzewo, nie będę się z nikim widywał.

Na miejskim bloniu Carson rozmawiał z ekipą, która wyładowywała z ciężarówki długie słupy. Janelle zbudowała w Akademii Ellinghama maszynę Rube'a Goldberga na ogólnokrajowy konkurs. Stevie miała masę związanych z tym miłych wspomnień. „Janelle rozwlekała po warsztacie różne słupki,

wiecznie coś spawała, tworzyła – i była w tym cholernie dobra. Maszyna skończyła marnie, ale nie przez Janelle...”

– Zgłosisz się za rok? – spytała Stevie, wskazując słupy.

– Chyba nie. – Janelle od razu zrozumiała, o co chodzi. – Rozglądam się za jakimś nowym projektem. W tej chwili myślę o robotyce, no ale na ostateczną decyzję mam jeszcze kilka tygodni.

Carson zobaczył je i przywołał machnięciem ręki.

– Przygotowujemy wieczorną imprezę – powiedział, gdy się zbliżyły. – Uroczyste otwarcie Dziecięcej Czytelni imienia Sabriny Abbott. Pokażę wam ją, skoro już tu jesteśmy.

Poprowadził ich ku stojącej przy bloniu biblioteki, nieskazitelnie białego klasycystycznego budynku z dwiema kolumnami wspierającymi frontowy portyk. Biblioteka okazała się ciasna i nieco staromodna, ale kręcili się w niej ludzie, a wybór książek był znakomity. Carson od razu powędrował do nowocześniejszego obiektu na tyłach. Wewnątrz zastali tylko jedną osobę – pięćdziesięciokilkuletnią kobietę w błękitnej kopertowej sukience, która sortowała i układała na długiej półce albumy ze zdjęciami.

Mogła to być wyłącznie Allison Abbott. Podobieństwo do Sabriny nie budziło wątpliwości – miała takie same jak ona wielkie brązowe oczy, tak samo stanowczy wyraz twarzy. Krótkie ciemne włosy siwiały jej tylko na skroniach. Widząc w rękach Stevie, Nate’a i Janelle kubki z kawą, już otworzyła usta, gdy...

– Przepraszam – bąknęła Stevie.

– Dajże spokój – wciął się Carson. – Możecie tutaj pić.

Allison zagryzła wargę, lecz się nie odezwała.

– To Stevie Bell z Akademii Ellinghama – oznajmił Carson. „Mhm” – pomyślała Stevie. „Będzie mnie tak przedstawiać całemu miasteczku”. Janelle i Nate’a Carson pomiął.

Ściany pomalowano farbą w kolorze pogodnego nieba. U sufitu podwieszono były lampy w kształcie puszystych obłoków, więc Carson z dumą zademonstrował różne efekty, jakie dawały – jasnego światła, deszczowej pogody, różowych chmur. Przed stanowiskami do czytania leżały pufy. „Chyba nikt się nie zachwyca niczym bardziej niż ten facet pufami”. Stały tam: sztuczne

drzewo z niewielkim domkiem w koronie, długie niskie stoły do gier i niezliczone regały pełne książek.

– To piękna sala – powiedziała Allison. – Dzieci będą wniebowzięte. Już zaplanowaliśmy rozmaite zajęcia – czytanie opowiadań, wieczorki z grami planszowymi, lekcje pisania.

Carson przytakiwał, nieobecny myślami, i nadal gmerał przy kontrolkach sufitowych obłoków.

– Moja siostra – ciągnęła Allison, zwracając się do Stevie, Janelle i Nate’a – pracowała tu, w bibliotece. Umarła.

– Chcieliśmy ozdobić bibliotekę murałem Sabriny – wtrącił Carson. – Jednak...

– Byłoby to trudne – przerwała Allison. – Sądzę, że ta sala ją świetnie upamiętnia, szczególnie to... – Wskazała umieszczonego w kącie, idealnego dla maluchów gigantycznego żółwia z rzędem ławek i stolikiem. – Sabrina ubóstwiała żółwie. Dzieci zajęte lekturą w wielkim żółwiu... Na pewno byłaby szczęśliwa.

– Czuję, że impreza się uda – powiedział Carson. – Przyjdzie dużo osób?

– Myślę, że frekwencja będzie spora – odrzekła Allison.

– Świetnie, świetnie! – Pokiwał głową. – Czas się już zbierać do obozu. Widzimy się na pikniku!

Stevie stawiała kroki ostrożnie, by nie uronić na podłogę nawet kropli kawy.

– Tak więc wygląda Barlow Corners – rzekł Carson, gdy wszyscy wsiedli z powrotem do tesli. – Allison jest ogromnie zaangażowana. Stara się jak może, aby sprawa nie przyschła – bez przerwy komunikuje się z policją i tak dalej, no, wiecie.

– Zachowałeś się przemiło – pochwaliła go Janelle. – Budując taką czytelnię w hołdzie dla jej siostry.

– Fakt – odpowiedział Carson, wjeżdżając na szosę. – Dzięki temu zjednuję sobie miasteczko, dla efektu. Wydałem kilkaset tysięcy, ale jak to dobrze rozegram, efekt może przynieść miliony.

Janelle spojrzała na Stevie kątem oka.

– Charytatywność działa w obie strony, nie? – rzucił Nate z tylnego siedzenia.



VI

Obóz Słoneczne Sosny leżał godzinę jazdy od śródmieścia, przy drodze biegnącej wzdłuż powolnego, cichego potoku. Na zrobionym z ciemnego drewna szyldzie widniała – wypalona i pomalowana na białą – nazwa obozu. Droga wiała się nieco między drzewami, po czym otwierała na bezmiar pól, pośród których stały niskie domy. Carson zaparkował i trójka przyjaciół wyjęła rzeczy z bagażnika. Kierowani przez Carsona, przeszli do obszernej stołówki, ciągnąc walizki i torby po żwirze parkingu. Tandetna walizka Stevie miała jeszcze bardziej tandetne kółka, które padły na pierwszym lepszym kamieniu. Przez resztę drogi Stevie ją wlokła, szorując po betonowej posadzce stołówki, zostawiając plamy z trawy i ślady hamowania. W stołówce jakaś kobieta odbierała telefon za telefonem, nadzorując niewielką ekipę, która szykowała pakiety powitalne.

– To Nicole – rzekł ściszym głosem Carson. – Róbcie, co wam każe. Obgadamy to później.

Jego słowa zabrzmiały złowieszczo.

Nicole uniosła głowę, rejestrując ich przyjazd potaknięciem bez cienia uśmiechu, po czym zbliżyła się, nie przerywając rozmowy o szambach. Mierzyła ponad dwa metry. Ciemne włosy związała w koński ogon. Miała długie szorty kąpielowe, dopasowany top do joggingu i gwizdek na szyi. Stevie przejrzała ją natychmiast. „Nicole wstaje znacznie wcześniej od reszty, kiedy dzień dopiero

się rodzi. Robi pełnowartościowe śniadanie, złożone z białka i owoców, a czasem nawet jakichś warzyw. Realizuje każdy punkt listy, którą sporządza poprzedniego wieczoru. Rozciąga mięśnie na świeżym powietrzu. Przeciera nowe szlaki. Przez życie idzie jak taran. Świetnie wie, dokąd zmierza, i zna swoją wartość. Gdy ktoś się skarży na zmęczenie, słucha, ale miażdży go wzrokiem. Człowiek się przy niej czuje mały – bo zgniecie najtęższy charakter. Jakoś tak. W każdym razie ma gwizdek”.

Kiedy Carson z grubsza przedstawił jej gości, Nicole wzięła głęboki wdech nosem i spojrzała na nich przez stół.

– Żeby nie było wątpliwości... – zaczęła. – To jest obóz. Przeznaczony dla dzieciaków, które powinny czerpać z lata radość. To też element pewnej wspólnoty. Słoneczne Sosny nie mają nic wspólnego z tym, co się tu stało w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku. Ta sprawa należy do przeszłości. Wszędzie się dzieje coś strasznego, a człowiek idzie do przodu. Nasz obóz to nie zagadka morderstwa.

Zapatrzyła się na Stevie. Ta chciała grzecznie odpowiedzieć, że się poniekąd myli, bo zagadkowe morderstwo jednak tu się dokonało. Ale w obawie, że zaraz będzie jadła gwizdek, nie odezwała się słowem.

– Będąc na obozie, pracuje się na rzecz obozu – mówiła Nicole. – Czyli robicie, co do was należy, i troszczycie się o obozowiczów. Główne zasady poznacie podczas ogólnego wprowadzenia, ale skoro macie spędzić u nas kilka dni, podam je wam od razu. Po tej stronie jeziora nie wolno pływać, jeżeli nie ma ratownika. Pływanie wieczorem i w nocy jest kategorycznie zabronione. Tak jak skakanie do wody ze skał. Prawo do palenia ognisk macie wyłącznie w ramach określonych zajęć. Obowiązuje zakaz palenia papierosów tradycyjnych i elektronicznych. Zakaz używania alkoholu i produktów z konopi. Naruszenie którejkolwiek z tych zasad skutkuje wypowiedzeniem. Nie pomoże wam nawet protekcja Carsona.

Obracając w palcach paciorki do medytacji, Carson wpatrywał się pofalowaną wodę.

Później musieli wypełnić formularze i przeczytać zasady postępowania. Każde dostało pakiet powitalny: zestaw informacyjny i mapę oraz spis numerów alarmowych do zapisania w komórce.

– Ja ich oprowadzę – rzekł Carson. – Wiem, jak jesteś zajęta.

Nicole spojrziała na niego i wróciła do własnych zajęć. Zostawili bagaż w stołówce i ruszyli za Carsonem na trawiaste pole, które ją otaczało.

– Szefowa swawolnego komitetu, hę? – zapytał Nate.

– Mnie się spodobała – odrzekła Janelle. – Silna babka.

– Ja się boję każdego – przypomniał Nate.

Janelle przytaknęła z uznaniem.

– Masz swoje drzewo – odparła.

Oblicze Nate’a znowu rozjaśnił ekstatyczny uśmiech.

Obóz Słoneczne Sosny tworzyły, okalające tafle wody, brunatne drewniane zabudowania, poprzetykane dużymi pawilonami. Patrząc na jezioro, Stevie stwierdziła, że nazwa Wodospad Cudów jest od czapy. W zasięgu wzroku nie było żadnego wodospadu ani specjalnych cudów. Wyglądało ładnie, acz zwyczajnie; mimo brązowawej barwy wody w jeziorze odbijały się obłoki i niebo. Stevie zauważyła wokół jeziora masę niewielkich przystani – i unoszący się na środku pomost dla pływaków i nurków.

– Jezioro nieco przypomina kształtem klepsydrę – powiedział Carson. – Ta część jest mniejsza, bardziej płaska i płytsza. Potem się robi cieniutkie – przebiega tamtędy szosa. Przeciwny kraniec, powszechnie dostępny, jest wyższy, skalisty i znacznie głębszy. To w gruncie rzeczy dwa osobne jeziora połączone wąskim kanałem. Stoimy w części przyjaznej dla dzieci.

W graniczące z wąską plażą jezioro szerokości trzydziestu kilku metrów wcinały się z drugiej strony obozu zarośnięte trzcina mokradła. Jak pomyślała Stevie, kraina węży. Znajdowały się tam: basen, kort tenisowy i pola oraz okazałe miejsce zbiórek z paleniskiem pośrodku. Carson oprowadził ich po całej okolicy, pokazując stojaki z kajakami, rzędy rowerów, pawilon do jogi i tańca. Trochę już zmęczeni, podążyli do zadbanych domków, które stykały się z lasem. Wzniesiono je na wysokich betonowych cokołach, pewnie na wypadek, gdyby jezioro wystąpiło z brzegów. Stevie spostrzegła, że oprócz siatki każde okno ma żelazne kraty. Uznała, że wstawiono je po morderstwach, żeby się nie dało tam dostać z zewnątrz.

– Tu – Carson wskazał domek z namalowanym nad drzwiami słowem „Pumy” – była Brandy Clark rankiem, kiedy odkryto zwłoki. Jak widzicie, domek stoi

przy granicy lasu. Pierwsze ciało znaleziono tam... – Poprowadził ich trawiastym prześwitem między drzewami, który zwężał się w wysypaną trocinami ścieżkę szerokości dwóch i pół metra. – Eric Wilde został znaleziony gdzieś tutaj. – Wyciągnął z listonoszki tablet i otworzył czarno-białe zdjęcie, które oglądali minionej nocy. – Widać, że leżał mniej więcej równolegle do tamtego drzewa z podwójnym pniem.

Stevie wzięła tablet i porównała miejsce ze zdjęciem. „Erica znaleziono twarzą do ziemi, z głową skierowaną w stronę obozu”.

– Pewnie się wycofywał – stwierdziła.

– Ta ścieżka wtedy była błotnista, tak że mogli zdjąć ślady stóp przynajmniej z jej części. Przypuszczalnie napadnięto go i zraniono na głównym terenie, więc rzucił się do ucieczki przez las. Aby uniknąć agresji napastnika, musiał biec daleko poza ścieżką. Kiedy był już prawie w obozie, tamten go dopadł... Niewiele brakowało, a chłopak umknąłby śmierci.

„Krajobraz i ścieżka wyglądają niemal identycznie”. Stojąc na miejscu zdarzenia, Stevie spostrzegła, że ścieżka odbija w bok. „To znaczy, że obóz widać niewyraźnie. Eric dotarł blisko, ale nie dość blisko”.

– To co – zapytał Carson – gotowi do drogi na miejsce głównego wydarzenia? Nie obędziemy się bez samochodu.

– Głównego wydarzenia – powtórzył bezgłośnie Nate.

Wsiedli do samochodu i ruszyli przez krótki most łączący brzegi wąskiego jeziora. Zostawiając zabudowania obozu w tyle, wjechali do lasu. „Niesamowite, jak szybko się zmienia okolica: od wymuskannej, zamieszkannej po całkiem zalesioną – i zarośniętą”. Sklepienie drzew było tak gęste, że mimo ostrego dziennego światła w lesie panował mrok. Szosa skręcała lekko w lewo, przechodząc w drogę gruntową, którą widzieli wcześniej. Szlak, ciasny i wyboisty, składał się z samych dziur, twardego gruntu właściwie nie było. Tesla dawała radę, ale przywykła do gładszych nawierzchni, więc Stevie, Nate i Janelle podskakiwali na siedzeniach jak prażona kukurydza. Po kilku minutach Carson zjechał na pobocze i wyłączył silnik.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł. – Chwila nieuwagi, a byśmy je przegapili.

Wkroczyli do lasu. Powietrze przepełniała woń listowia i roślinności, a przez gęsty okap przedzierały się nieśmiało promyki słońca. Światło panujące pod

zielonymi koronami było przyćmione, łagodne. Ich kroki też brzmiały cicho na ziemi pokrytej sosnowym igliwem.

– To coś jak wnętrze aplikacji medytacyjnej – rzekł, rozglądając się, Nate.

Carson wskazał przy ścieżce słupek z przywiązaną czarną wstążką.

– Ludzie oznaczają w ten sposób miejsce, w którym należy zatrzymać samochód. Wydział parków wciąż usuwa słupek, a później ktoś wtyka go z powrotem.

Rażno pomaszerował dalej, między drzewa. Kiedy Stevie miała ruszyć za nim, Janelle podała jej buteleczkę.

– Środek odstraszający kleszcze – powiedziała. – Będzie ich tu pełno, a z boreliozą nie ma żartów.

„Kleszcze i węże” – pomyślała Stevie. „Dlatego biwakowanie to horror. Zresztą nie tylko dlatego”.

Stevie i Janelle spryskały się i poszły za Carsonem ledwo widoczną ścieżką, nieprzewidywalnym krętym szlakiem pośród drzew, pełnym przeszkód, sterczących korzeni i gałęzi, które próbowały targać im włosy i ubrania. Wkrótce dotarli do niewielkiej polany. Jediną oznaką, że coś się tutaj mogło zdarzyć, był otaczający kiedyś ognisko krąg kamieni z kilkoma wystającymi z trawy stopionymi świeczkami.

– To tutaj – oznajmił Carson. – Jak widać, przychodzą tu ludzie. To znane miejsce pielgrzymek fanów tej zagadki, a także spotkań gotów.

Stevie natychmiast rzuciło się w oczy, że miejsce... nie wyróżnia się niczym. Przeczytawszy, do czego doszło na leśnej polanie, spodziewała się otwartej przestrzeni. Okazało się, że jest to miejsce między kilkoma drzewami, może nie najmniejsze, lecz z pewnością zwyczajne.

– Badając zdjęcia, rozpracowałem każdy odstęp – rzekł Carson. – Większość drzew rośnie nadal. Palenisko jest plus minus tam, gdzie było. Ludzie przychodzą tu od tak dawna, że właściwie zakreślili krąg ogniska na stałe.

Stanął na lewo od kręgu kamieni.

– Tam i tam były siedziska z kłód. Wszystko na tym terenie pozostało niezmienione. Nie ma żadnych śladów walki. Koc leżał mniej więcej tutaj – a na nim tacka z trawą. Ambona myśliwska znajdowała się tam...

Kontynuował, kiedy znów weszli w las.

– Jest dziwniejszy od ciebie – szepnął Nate do Stevie. – Jak się z tym czujesz?

– Szczerze mówiąc, nieźle – odpowiedziała.

Tym razem ścieżka była o wiele bardziej zarośnięta, więc szło się nią znacznie trudniej. Stevie z każdym krokiem musiała odpychać gałęzie. Wkoło panowała istna dzicz. Kiedy Carson znowu przystanął, zobaczyli nawet nie polanę, lecz wąski przesmyk wśród drzew.

– Znajdowała się dokładnie tu. – Wskazał, opierając się o gruby dąb. – Owiana złą sławą skrzynia. Właściwie ambona myśliwska, która się zapadła.

– Czym jest ambona myśliwska? – zapytała Janelle.

– Kryjówką – wyjaśnił Carson. – Przypomina pudło, skrzynię. Z boku ma niewielką szparę, przez którą się wygląda. Myśliwi siedzą w ambonie i wyglądają, wyczekując zwierząt.

– Bardzo to uczciwe – podsumował Nate.

– I ta trafna nazwa – dodała Stevie. – Wiadomo, co się z nią stało?

– Policja zabrała pokrywę – odrzekł Carson. – A resztę wzięli łowcy pamiątek lata temu.

– Czyli scena zbrodni się rozeszła – stwierdziła Stevie.

Powlekli się z powrotem na polanę. Gdy Stevie stała w miejscu słynnego poczwórnego mordu, ogarnęło ją przedziwne uczucie – i to nie takie, jakie powinno ogarnąć kogoś, kto się znajdzie w miejscu słynnego poczwórnego mordu.

Słońce świeciło jasno. Drzewa leciutko owiewał letni wietrzyk. Świat pachniał subtelnie i świeżo. „To miejsce jest... przyjemne. Miłe, zwyczajne. Dobre na piknik lub spotkanie z przyjaciółmi pod gwiazdami. Odległe, schowane, tak że niemal bezpieczne. Otulony lasem zakątek. Maleńka oaza. Sabrina, Eric, Todd i Diane przyszli tu, przyszykowali koce, muzykę i przekąski, zaczęli zwijać jointy, rozmawiać i się bawić. Za jednym z tych drzew ktoś pewnie czekał na właściwy moment...”

– Nad czym rozmyślasz? – zapytał Carson.

„Nad czym rozmyślałam? Jakie to uczucie? Co to za doznanie, jakby ktoś mi wodził palcem po krzyżu?”

– Wiem, że to się stało w lesie – odparła. – Ale coś mi mówi, że bliżej obozu. Tu jest daleko. Poza tym... na takie miejsce nie natrafia się przez przypadek. Trzeba znać drogę. Było ich czworo. Czworo nastolatków. Jeden to kapitan drużyny futbolowej, ale chyba wszyscy byli sprawni fizycznie. Więc mieliby przewagę liczebną nad samotnym zbrodniarzem czy nawet dwoma. Jak byś obezwładnił czworo młodych ludzi w tak odległym miejscu, które pewnie znają o wiele lepiej niż ty?

– Trzymałbym ich na muszce – odrzekł Carson. – Na przykład tak.

– Przecież wszyscy mieli rany kłute. Jeśli masz ich na muszce, to do nich strzelasz.

– W ich organizmach wykryto narkotyki, ale nie środki uspokajające – odpowiedział Carson.

– Więc są na haju albo pijani, ale świadomi... Świadomi na tyle, że Eric zdołał przebiec w ciemnościach pięć kilometrów. Prawdopodobnie nie grożono im rewolwerem. Może ich rozdzielono albo sami się rozdzielili. Zwykle idzie się dwójkami. Wielu morderców bierze na cel pary.

– Jak w sprawie Zodiaka^[6] – zbyt skwapliwie wtrącił Carson. – Niech jedno wiąże się z drugim.

– Potworny koleś, potworny koleś – zanucił pod nosem Nate. – Ten koleś jest potworny, potwoorny.

– Następna rzecz – ciągnęła Stevie. – Innych śladów opon tutaj nie było, prawda?

– Tak.

– Czyli pewnie ta osoba albo te osoby przyszły pieszo. Nocna wędrówka przez las zajmuje sporo czasu. Ten ktoś na pewno miał prowiant. Żeby zabić czworo obozowych opiekunów, musiał się nieźle natrudzić. Kto robi coś takiego?

– Wyjąwszy Jasona Voorheesa^[7] – dodał Nate.

– Też sobie zadaję to pytanie – odrzekł Carson. – W Barlow Corners coś nie gra, coś, czego nigdy nie zgłębiono. Ktoś musi o czymś wiedzieć. Odpowiedź się znajdzie, jeśli jej poszukamy. Jestem wicherzycielem. Lubię mącić. Rozsadzimy tę sytuację i dobierzemy się do sedna.

– Rany boskie – wyszeptał Nate. – Ja chcę na drzewo.



11 lipca 1978, 18.00

W Barlow Corners nie działo się nic, a raczej nic nie powinno się było tam zdarzyć. Było to miejsce, gdzie żyje się spokojnie – nie świetne czy ekscytujące, ale w porządku. Panowała w nim lekka inercja, którą pogardzały nastolatki, a dorośli najwyraźniej pokochali.

Wszystko, co potrzeba, można było dostać w centrum, pomiędzy Beechnut Street a Maple Avenue. Niezbędne artykuły domowe kupowało się w Unity Hardware i supermarkecie taniej sieciówki Ben Franklin. W Mlecznej Księżnej, miejscowym bistrze rodziny McClure'ów, można było zjeść coś na szybko albo się spotkać na rodzinnym obiedzie. Delikatesy Andersona oferowały produkty spożywcze. Większe sprawunki na cały tydzień załatwiano w oddalonym o trzy i pół kilometra od centrum markecie spożywczym sieci A & P. W butik U Zorka nastolatki zaopatrywały się w tiszerty, plakaty zespołów rockowych i lampy lawowe.

W tak piękne letnie wieczory jak dzisiejszy spacerowano tutaj z lodami w wafelkach bądź na patyku, dzieci jeździły na rowerach, a na błoni odbywały się rzuty podkową. Ale ten letni wieczór był inny niż wszystkie. W obliczu tak

wielkiej tragedii mieszkańcy Barlow Corners mogli tylko urządzić piknik składkowy.

O piętnastej czwartego dnia po wykryciu morderstw zamknięto wszystkie firmy, sklepy, restauracje i bary w miasteczku. Z remizy, kościelnych piwnic i składzików liceum wyniesiono składane stoły, które rozstawiono na głównym trawniku – skwerze naprzeciw biblioteki. O fioletowym zmierzchu wśród długich zielonych cieni wczesnego lata obywatele Barlow Corners zgromadzili się tam z krzesłami ogrodowymi, kocami i przenośnymi lodówkami.

Każdy coś zabrał z domu na piknik. W istocie ludzie starali się jak mogli, żeby przynieść jak najwięcej. Na stołach piętrzyły się wszelkich rozmiarów pojemniki próżniowe pełne po brzegi sałatki ziemniaczanej i surówki coleslaw. Wiele rodzin poprzynosiło grille, powstały więc stanowiska, przy których były szykowane i rozdawane hamburgery i hot dogi. Przyprawy, bułki i sałatki układano tak starannie jak dla króla. „Miałby ktoś przedłużacz, muszę podłączyć szybkowar z fasolą?” „Jak odstraszyć pszczoły od relishu?”^[8] Na stołach deserowych pyszniły się dwa rodzaje ciast, brzoskwiniowo-jagodowe i truskawkowe, a obok nich cytrynowe ciasteczka, galaretki, pudding bananowy z wafelkami waniliowymi, sałatki owocowe, anielskie babki i torty czekoladowe. Rozstawiając potrawy, zgromadzeni mieli taki wyraz twarzy, jakby je składali w ofierze dziękczynnej za ocalenie. Barlow Corners znów nawiedził anioł śmierci, więc każde z nich mogło się otrzeć o jego suknię.

Ostatnim wydarzeniem o tak dużej skali były zorganizowane tu przed dwoma laty wielkie uroczysci z okazji dwusetnej rocznicy powstania Stanów Zjednoczonych – kiedy odsłonięto pomnik Johna Barlowa, któremu miasteczko zawdzięczało swoją nazwę. John Barlow, nieznany bohater rewolucji amerykańskiej, ukradł brytyjskiemu generałowi konia, utrudniając mu dotarcie na pole bitwy.

Miasteczko leżało na terenie farmy i potężnych włości Barlowa, więc automatycznie nazwano je na jego cześć. Tamtego wieczoru dwa lata wcześniej panował tu radosny nastrój. W hołdzie dla państwa wybuchały sztuczne ognie, wszystko było udekorowane bielą, czerwienią i błękitem. Barlow Corners, perfekcyjnie amerykańskie miasteczko, odsłaniało doskonale małomiasteczkowy posąg miejscowego bohatera wojny o niepodległość Ameryki.

Dziś nie było tu fajerwerków ani zimnych ogni, czerwono-biało-niebieskich chorągiewek i kotylionów, tylko ludzie, którzy, krzątając się niespiesznie, cicho, napelniali papierowe talerze – i oznaczali nalepkami pojemniki, żeby mogły potem wrócić do właścicieli. Nieświadome powagi chwili maluchy ganiały się po trawie, objeżdżały zielen na rowerach i trzykołowych rowerkach. Roje światełków już rozpoczęły nocne harce.

Wszyscy się sobie przyglądali.

Na obrzeżach skweru kręcili się nieznajomi. Kilka nowych ciężarówek z Nowego Jorku zaparkowano poza polem widzenia. Byli też inni spoza Barlow Corners, wśród nich policjanci stanowi, ludzie z Federalnego Biura Śledczego i, rzecz jasna, grupka gapiów. Każdy obserwował każdego; rowerki i rowery zataczały nieskończone koła.

Jakąś godzinę od rozpoczęcia pikniku postawił swego coupe DeVille pod biblioteką i chyłkiem przeszedł na drugą stronę skweru burmistrz Cooper, ojciec Todda. Zebrani składali mu ukłony i poważnie go witali, gdy się zbliżał do przyjaciół, Arnolda Horne'a i doktora Ralpha Clarka. Obaj byli podporą tutejszej społeczności – Arnold kierował bankiem, a doktor Clark ordynował w szpitalu. Obaj mieli córki poruszone tragedią, które nawet widziały jedno z ciał. Normalnie dołączyłby do nich doktor James Abbott, miejscowy stomatolog, ale zbyt pogrążeni w żalu po stracie córki, tego wieczoru Abbotowie się nie zjawili. Ojciec Todda przybył wyłącznie z obowiązku, bo przecież jako burmistrz musiał się pokazać.

Burmistrz Cooper przyjął podane mu przez doktora Clarka piwo, po czym – jak to w podobnych sytuacjach – wymienili półgłosem uprzejmości.

– Jak się miewa Marjorie? – zapytał Arnold Horne.

– Od paru dni... leży w łóżku.

Porozumiewawczo kiwnęli głowami.

– Mogę jej coś przepisać – zaofiarował doktor Clark. – Żeby lepiej odpoczęła.

– To by się przydało.

– Każę Jimowi otworzyć aptekę. Pójdę z nim, wezmę lek i podrzucę ci później pod dom.

– Bardzo to miłe z twojej strony – odpowiedział burmistrz Cooper.

Przez długą chwilę stali w ciszy blisko siebie, sączyli piwo i spoglądali na uciekających wzrokiem sąsiadów. Dzieci biegały tam i z powrotem do stołu z deserami, porywając brownie i cytrynowe ciasteczka.

Burmistrz Cooper delikatnie odchrząknął.

– Ludzie będą gadać – rzekł, zapatrzony na desery. – O tym, co się stało w grudniu.

Jego towarzysze pominęli to milczeniem.

– Te sprawy oczywiście nie są powiązane – ciągnął burmistrz. – A już na pewno nie miał z tym nic wspólnego mój syn.

– Bez dwóch zdań – zgodził się Arnold Horne.

Wszyscy trzej być może bezwiednie spojrzeli w stronę Penhale'ów, siedzących z boku na kocu w szkocką kratę. Miejscowi uważali, że małego Michaela Penhale'a przejechał Todd Cooper. „Nie da się ukryć, że Todd prowadził lekkomyślnie – jak pewnie wielu nastolatków, zwłaszcza po wypiciu kilku piw. Ale który nastolatek nie popija piwa? Takie rzeczy się zdarzają. A poza tym nikt nie jest i nigdy nie będzie stuprocentowo pewny”.

– Bez dwóch zdań – zawtórował doktor Clark.



W innej części skweru siedziała Brandy Clark ze swoją starszą siostrą Megan. Od znalezienia zwłok Erica Brandy nie sypiała po nocach. Przewracała się i rzucała po łóżku, błędziła po pokoju. Zakładała słuchawki, siadała na dywanie przy adapterze i słuchała w kółko tych samych płyt. Szczotkowała kota, przestawiała figurki na sekretarzyku, płakała i znów chodziła. „Równie dobrze mogę siedzieć na tym pikniku, bylebym tylko nie była sama”.

– Powinnaś coś zjeść – upomniała ją Megan.

– Nie jestem głodna.

– Może ciasteczko cytrynowe?

– Nie jestem głodna – powtórzyła Brandy.

Megan z westchnieniem spojrzała na okalający bibliotekę szpaler hortensji. W świetle gasnącego dnia przybrały oszałamiające odcienie – mocno nasyconej maliny i kobaltowego błękitu. Nad nimi po wieki wieków siedział na koniu John

Barlow, stróż miasteczka, którego krwawiącej rany nie zagoiłyby sałatki makaronowe z całej Ziemi. „Ale muszę próbować”.

Megan podeszła do rzędu przenośnych lodówek. Unosiła kolejne wieka i grzebała w zawartości, która się kołysała wśród topniejących kawałków lodu. Wreszcie wydobyła z wody piwo korzenne i oranżadę pomarańczową. „Może jakoś przekonam Brandy, żeby się troszkę napiła. Tylko tak mogę jej teraz pomóc – podać napój gazowany...” Wróciła do krzeseł, gdzie siedziały, i podsunęła siostrze puszki.

– Wybierz sobie którąś – zachęciła.

Brandy bez słowa wzięła i otworzyła oranżadę. Chwilę popijały, nim Brandy w końcu przemówiła:

– Kto to mógł zrobić?

– Nie wiem – odparła cicho Megan. – Zły człowiek.

– Może wróci.

Słowa Brandy poniósł wiatr, więc kilka osób się odwróciło.

– Nie – odrzekła cicho Megan. – Już dawno go tu nie ma.

– Skąd wiesz?

– Bo nikt by nie został, gdyby zrobił coś takiego.

– Gdyby tu mieszkał, toby został. Albo gdyby miał zamiar zrobić to jeszcze raz. Zdaje mi się, że tu jest i na nas patrzy.

– Chodź. – Megan wstała i wzięła siostrę za rękę. – Oranżada to za mało. Koniecznie musisz coś zjeść.

Brandy niechętnie wstała i ruszyła za siostrą w stronę uginających się pod ciężarem jedzenia rozkładanych stołów. Zgodziła się, aby Megan nałożyła jej na talerz trochę sałatki ananasowo-arbuzowej z miodem i kawałeczek tortu. Pozwoliła sobie na pokrzepienie.

Rzecz w tym, że Brandy miała rację.



VII

Kiedy zmierzchało i wydłużały się cienie, tesla, pokonawszy schowane wśród bujnej zieleni kręte boczne drogi, dotarła z powrotem do śródmieścia Barlow Corners. Nate czytał coś z uwagą w komórce, a Janelle esemesowała z Vi. Każdy z pasażerów samochodu zdawał się być gdzie indziej. Wyglądając przez okno, Stevie zauważyła, jak miasteczko zmienia się zależnie od pór dnia. Rano korony drzew otaczały aureole blasku, wszystko niemal tryskało świeżością i energią. W popołudniowym skwarze drzewa chroniły przed wyzierającymi jeszcze zza nich promieniami. Jednak kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, rzeczy nabierały obcych barw i kształtów. Najwęższy przesmyk pomiędzy drzewami zmieniał się w obszar o ostrych konturach. Były to otwory, gdzie dało się zniknąć – ale i wśliznąć do miasteczka. Przejścia.

Marszcząc nos, Stevie odrzuciła tę myśl. Podczas terapii nauczyła się tak uwalniać lęk – mózg nieraz podsuwa najróżniejsze myśli, ale to nie znaczy, że trzeba się ich trzymać.

Zatrzymali się przy krawężniku pod biblioteką. Słupy i inne materiały, które widzieli wcześniej na skwerze, zastąpiło kilka połączonych ze sobą namiotów ogrodowych. Wokół skweru porozwieszano lampki. Ludzie zebrali się już i siedzieli przy stołach. Podłączono sprzęt nagłaśniający, więc z kolumn buchała muzyka – grany przez didżeja standardowy miks weselny, który nigdy nikogo nie irytuje.

– Muszę sprawdzić to i owo – rzekł Carson. – Weźcie coś do jedzenia, tutaj się spotkamy. Miejcie oczy szeroko otwarte.

Stevie nie bardzo wiedziała, czego ma wypatrywać; opanowało ją zmieszanie i poczucie porażki. „Pracuję nad sprawą, więc muszę przyswajać wszystko, ale praca nad sprawą to przecież też świadomość, co jest naprawdę istotne. Nie można się rozpraszać ani dać przytłoczyć ogromowi świata i jego niezliczonym króliczym jamom”.

Carson nie skąpił jedzenia. Z zaparkowanych przy ulicy dwunastu ciężarówek serwowano tacos, bułki z homarem, corn dogi i lody oraz potrawy wegańskie.

– Ile można zarobić na pudełkach? – zapytał Nate, spoglądając na namioty i ciężarówki z jedzeniem.

– Wystarczająco – odparła Janelle. – Ludzie chyba je lubią.

– Ale to dziwne, co nie? – drążył Nate. – Budowa aneksu do biblioteki, impreza – tylko żeby omamić miejscowych i zrobić z nimi wywiady do podcastu?

Janelle wzruszyła ramionami na znak, że pewnie coś w tym jest.

– To dość powszechna praktyka – rzekła Stevie. – Albert Ellingham urządzał wielkie przyjęcia, żeby czerpać z Burlington fundusze na Akademię. Deweloperzy tak się zachowują: „Nieważne, że zniszczymy środowisko, macie od nas czapki gratis”. Tak to wygląda.

Janelle przyznała skinieniem głowy rację Stevie.

– I tak się objem tacos – oznajmił Nate. – Jednakże zrobię to krytycznie.

Po obejściu dwunastu ciężarówek ledwo mogli utrzymać jedzenie. Gdy kierowali się do jednego ze stołów, Stevie zobaczyła, jak Carson nadzoruje wyładunek sprzętu wideo i pokazuje, gdzie powinny stać kamery. Po chwili do nich dołączył.

– Są prawie wszyscy związani z morderstwami, zamieszkali w miasteczku albo okolicy – szepnął. – Ci dwaj przed nami: niebieski tiszert z gościem w zielonych szortach to miejscowy weterynarz Paul Penhale i jego mąż. To jego brata, Michaela, przejechał Todd Cooper siedem miesięcy przed zabójstwami.

Paul i jego mąż gawędzili z Patty Horne z piekarni.

– Patty poznaliście – mówił Carson. – Allison też. Tamten, w białym tiszercie i białej czapce bejsbolówce... to Shawn Greenvale, były chłopak Sabriny. Żeby go tu ściągnąć, musiałem się natrudzić. Ma mały biznes dla wodniaków – kajaki,

kanoe, itepe. Sponsorowałem masę darmowych wypożyczeń, więc musiał tutaj przyjść. Widzicie starszą panią siedzącą w grupce koło drzew? Tę w pasiastej bluzce, z krótkimi włosami? To Susan Marks, kierowniczka obozu w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku. A tam...

Pomachał do kobiety w szarym lnianym kostiumie, stanowczo zbyt oficjalnym na piknik.

– Czekaście – powiedział. – Muszę wam przedstawić kogoś ważnego.

Wstał i przywołał gestem Allison, która się wyłoniła z biblioteki. Podeszła do stołu.

– Allison! Całkiem niezłe nam idzie, hmmm?

– Tak – odrzekła Allison, rozglądając się z uwagą. – Jest bardzo... Moja siostra bardzo by się cieszyła. W czytelnicy mamy już tłum dzieci, grają sobie w gry i wybierają książki.

Do stołu podeszła kobieta w lnianym kostiumie.

– Oto sierżant Graves – zagaił Carson. – Panie się chyba znają...?

Allison pokręciła głową.

– Ja panią znam – rzekła kobieta. – A raczej słyszałam o pani. Jestem śledczą, prowadzę niezakończone sprawy, więc mnie przydzielono...

Urwane zdanie wskazywało, że do sprawy skrzyni w lesie.

– Miło mi. – Allison grzecznie uścisnęła jej rękę. – Wie pani, co rok albo dwa dostajemy kogoś nowego. Efekty niestety są żadne.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Pewnie jest wam niełatwo. Ale nie krępujcie się zwracać do mnie w każdej chwili. – Proszę. – Sięgnęła do torebki i wyjęła wizytówkę. – O każdej porze dnia i nocy. Chętnie porozmawiam i w miarę możliwości odpowiem na pytania, zawsze będę gotowa do pomocy. Traktujcie mnie jak źródło.

Allison wzięła wizytówkę i oglądała ją długo.

– To miło z pani strony – odpowiedziała. – Nie obiecuję sobie wiele, ale chciałabym panią o coś prosić.

– Mianowicie?

– Moja siostra prowadziła dziennik – odrzekła Allison. – Był dla niej ogromnie ważny. W obozie zawsze miała go przy sobie, ale wśród przedmiotów

odesłanych do domu go nie było. Wiem, że jej rzeczy z tamtej nocy nadal są w materiałach dowodowych. Ciągłe pytamy, czy nie ma tam dziennika... mogła włożyć go do torby. Odpowiedź zawsze brzmi: „Nie”. No, ale gdzieś być musi. Zechce pani przejrzeć dokumenty i pudła? Może się gdzieś zawieruszył?

– W aktach nie widziałam nic na temat dziennika – odparła sierżant Graves. – Ale nie ma co się oszukiwać; w tamtych czasach nie radzono sobie zbyt dobrze. Przejrzę papiery i go poszukam. Zacznę jutro.

– Byłabym wdzięczna – odrzekła Allison. – Na żadnej z jej rzeczy nie zależy mi tak jak na dzienniku.

– Nie ma sprawy. Miło, że się poznałyśmy. Przepraszam, wezmę sobie coś do picia.

– Za każdym razem proszę o dziennik – powiedziała Allison, gdy sierżant Graves odeszła. – I zawsze obiecują go poszukać, na odczepnego. Może chcą dobrze. Nie wiem.

– Czas czynić honory – rzekł do niej Carson. – Jeżeli jesteś gotowa.

Allison przytaknęła, więc stanął za mikrofonem. Kiedy didżej wyciszył muzykę, Carson zawołał do zgromadzonych, aby się przybliżyli.

– Dziękuję, że przyszliście! – zaczął. – Nazywam się Carson Buchwald i jestem założycielem serwisu Zapakuj. Zebraliśmy się tutaj, żeby dokonać uroczystego otwarcia Czytelni dla Dzieci imienia Sabriny Abbott. Zapraszam więc na scenę jej siostrę Allison...

Allison wzięła od niego mikrofon i wygłosiła kilka słów o siostrze, co wywołało gorący aplauz zebranych. Stevie przeczesywała wzrokiem namiot. „Kiedy doszło do morderstw, tych ludzi nie było na świecie, a jeśli nawet, prawdopodobnie byli dziećmi. Wykorzystać taką okazję do zebrania w jednym miejscu ludzi związanych ze sprawą, to obrzydliwe” – pomyślała. „Ale prawda jest taka, że wyjątkowo skuteczne”.

Allison oddała mikrofon. Stevie sądziła, że Carson podsumuje jej uwagi, ale stało się inaczej...

– Teraz – rzekł – chciałbym opowiedzieć o czymś szczególnym, nad czym pracuję. Pozwolę sobie państwu kogoś przedstawić. Stevie? Podejdiesz?

– Cooo? – szepnęła Stevie. – Co on wyrabia?

– Stevie! – powtórzył.

Zdenerwowana Stevie odłożyła taco na talerz, wytarła ręce o spodnie i dołączyła do Carsona.

– Oto Stephanie – Stevie – Bell. Zapewne niedawno czytaliście o Stevie w związku ze zdarzeniami w Akademii Ellinghama w stanie Vermont.

Zapadła głucha cisza. Zmącił ją tylko jakiś człowiek, który zamawiał hot doga – bo albo nie słyszał o Stevie, albo go to nie obchodziło.

– Ta słynna sprawa pozostawała otwarta do chwili, gdy zjawiała się Stevie i częściowo pomogła ją rozwikłać...

„Tak naprawdę rozwiązałam ją do końca, ale tego nie podano do publicznej wiadomości”. Stevie zazgrzytała zębami.

– ...uznałem, że muszę ją pozyskać do współpracy przy moim nowym przedsięwzięciu. Jak wam wiadomo, w Barlow Corners nie zamknięto dotąd pewnej sprawy. Więc przybyliśmy dopilnować, żeby to się zmieniło. Stevie i ja połączyliśmy siły...

Stevie zobaczyła, jak Nate trze rękoma twarz, próbując wymazać to, co się dzieje. Dostała skurczów żołądka.

– ...by stworzyć dochodzeniowy podkast, spojrzeć świeżym okiem na to, co się tutaj zdarzyło. Ogromnie więc liczę na udział całego Barlow Corners...

Totalna, grobowa cisza. Chyba nawet świetliki wyczuły, jakie to kiepskie, bo jeden za drugim powynosiły się z namiotu.

– ...byśmy wspólnie doszli do sedna zdarzeń w obozie Wodospad Cudów.

Przerwał i rozejrzał się, wyraźnie czekając na brawa.

Na próżno.

– Więc – ciągnął – będziemy na miejscu, będziemy działali. Gdyby ktoś chciał się z nami skontaktować, jestem na Instagramie i Twitterze, można też do mnie pisać przez Signal. Wszystko, czego się od was dowiem, będzie ściśle poufne. A zatem dziękuję – i miłego wieczoru!

„Teraz jeszcze powinien posłać buziaka i upuścić mikrofon” – przemknęło przez myśl Stevie. Tymczasem Carson dał znak didżejowi, który uznał, że do tej katastrofy najbardziej pasuje *Single Ladies*.

– Okej – rzekł Carson do Stevie, z uśmiechem. – Według mnie wyszło super!

Stevie cała się trzęsła ze zdumienia, przerażona. Gdy próbowała wrócić do stołu, Allison wystąpiła naprzód i niechcący zagroziła jej drogę ucieczki.

– Co to ma być? – zwróciła się do Carsona.

– Podcast – odpowiedział skwapliwie. – Pewnie z zaplanowanym zakończeniem. Pertraktuję z kilkoma producentami...

– To!!! – podnosząc głos, Allison zatoczyła krąg ręką.

Carson rozejrzał się po namiocie, zbity z tropu.

– Piknik – odbąknął.

– Jakaś reklama, tak?

– Nie, służy...

– Wkupieniu się w nasze łaski – dokończyła Allison.

– Nie, nie! Skąd! Widzisz, chciałbym pomóc. Chcę...

– Ty nie chcesz pomagać. – Jej głos brzmiał jak tępe ostrze. – Ludzie przyjeżdżają tutaj pisać książki, kręcić filmy dokumentalne, nagrywać podcasty. A ty... ty dajesz dzieciom pomieszczenie w bibliotece po to, żeby się nam podlizać?!

Mimo że te wszystkie słowa nie były skierowane do niej, Stevie skuliła się w sobie, gdy całe miasteczko Barlow Corners patrzyło, jak Allison, łamiąc kość za kością, pozbawia Carsona kręgosłupa. Najzyczliwsze nawet oblicza przybrały wyraz zażenowania, chłodu i niesmaku. Stevie zrobiło się trochę słabo. Myślała, czyby po prostu nie paść na kolana i pod stołami nie wyczołgać się z namiotu, przemknąć przez skwer do lasu i już się stamtąd nie ruszać. Siedzący kilka metrów dalej Nate i Janelle spoglądali na nią bezradnie. Równie dobrze mogli być po drugiej stronie fosy pełnej aligatorów.

– Powiem ci, co możesz zrobić – rzekła Allison Abbott. – Weź sobie ten cały piknik, gastronomię i podcast – i spadaj!

– Ale mnie naprawdę zależy tylko na dialogu...

Gdy Allison chwyciła za ceratę z pobliskiego stołu, podbiegła do niej Patty Horne.

– Chodźmy – powiedziała. – Wynośmy się stąd.

– Ja się czuję dobrze – odparła sucho Allison.

Przeniosła wzrok z Carsona na Stevie i zaczęła się jej przyglądać. Stevie nie mogła odczytać wyrazu jej twarzy – ale i tak zostawiła Carsona, po czym szybko wycofała się z namiotu. Nie oglądając się, przemknęła przez skwer. Usłyszała za sobą kroki. Dogonili ją Nate i Janelle.

– O reeeeety! – wykrzyknął Nate. – O rety, rety, rety!

– Jak się czujesz? – zapytała Janelle Stevie.

– Świetnie. Tylko...

– No, widzieliśmy. Wszyscy widzieli.

Przystanęli dopiero pod pomnikiem Johna Barlowa. Cokół był na tyle duży, że cała trójka znalazła przy nim schronienie. Przysiedli na chwilę z tyłu. Patrząc na pomnik z bliska, Stevie stwierdziła, że niezbyt się udał. Był trochę niekształtny. „Całkiem nijaki mężczyzna na całkiem nijakim znudzonym koniu”.

– Paskudny, prawda? – odezwał się ktoś za nimi.

To Patty Horne wymknęła się z namiotu, by do nich dołączyć. Podeszła z rękoma wsuniętymi w kieszenie džinsów.

– Pamiętam odsłonięcie pomnika – powiedziała. – Kiedy ściągnęli zasłonę, wszyscy na moment umilkli. Znajomi i ja wybuchnęliśmy śmiechem... A... Nie przejmujcie się Allison. Ona tak nie myśli.

– Zdecydowanie zabrzmiało, jakby tak myślała – odrzekł Nate.

– Przypuszczam, że chodziło jej o niego, a nie o was. Jesteśmy zmęczeni... to niedobre słowo... Wkurza nas po prostu, gdy ludzie przyjeżdżają i próbują coś ugrać na tej sprawie. Ledwie rana się zablizni, to zaraz ktoś ją znów otwiera... Już mnie było ciężko, ale Allison straciła siostrę. Nieważne, że to się stało w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku.

– Nie przyjechałam tu jątrzyć... czy coś takiego – odparła Stevie.

– Wiem. Jesteś dzieckiem. – Patty miała dobre intencje, więc Stevie nie poczuła się urażona. – Są dni, gdy to się wciąż wydaje nierealne, jak opowieść z cudzego życia. A kiedy indziej znów, tak jak dzisiaj, człowiek ma wrażenie, że to się stało przed chwilą. Pamiętam bardzo dużo z tamtego lata. Było gorąco jak dzisiaj. Przesiadaliśmy na skwerze albo chodziliśmy do Mlecznej Księżnej na lody. Gdy się tam czasem wybieram, to nadal myślę, że zastanę Diane obsługującą klientów... – Zagubiona w myślach, Patty zapatrzyła się na cudaczną metalową głowę Johna Barlowa, jednak szybko wróciła do rzeczywistości. –

Wybierzecie się do cukierni? – spytała. – Spróbujecie tortu i chwilę odpoczniecie, zanim się tam uspokoi.

 Nie musiała tego powtarzać.



VIII

Gdy wchodzili do Słonecznych Wypieków, nad drzwiami zadźwięczał dzwoneczek. Spowitą mrokiem cukiernię rozjaśniały tylko dalekie latarnie za oknem i nikłe światło fioletowego zmierzchu. Torty w gablocie przypominały ciemne posążki.

Patty włączyła jedną z górnych lamp, więc cienie się wydłużyły. Zapanował nastrój jak z wesołego horroru. Wszechobecny zapach ciasta okazał się inny i chyba nawet lepszy od woni ciasta, które właśnie się piecze. „Ktoś go natychmiast powinien zmienić w świecę zapachową”.

– Wybierajcie, co chcecie. – Patty uniosła ladę, by za nią wejść. – Zostało mi trochę czerwonego aksamitu, złotej wanilii i podwójnie czekoladowego.

– Poproszę czerwony aksamit. – Janelle znów stała przy ladzie i oglądała dzieła Patty.

– Wpadnij jeszcze kiedyś – odpowiedziała Patty. – Pokażę ci, jak się robi odlewy silikonowe. Zauważyłam, że cię ciekawią.

Słyszając to, Janelle poderwała głowę.

– Ona jest jak Hulk – wyjaśnił Nate. – Z tym, że się zmienia nie wtedy, kiedy jest wściekła, ale gdy zobaczy wytwór ludzkich rąk. No i nie rośnie i nie zielenieje. Tylko wytwarza. Właściwie to nie jest jak Hulk.

Patty zamrugnęła lekko.

– Poproszę czekoladowy – dorzucił.

Stevie chodziła po piekarni i przyglądała się zdjęciom na ścianach.

– To pani ojciec, prawda? – Wskazała jedno.

– Tak – odparła Patty, ostrożnie wyciągając wielki kawałek tortu dla Nate’a. – Brawo! Jak na to wpadłaś?

– Jest w grupie na zdjęciu z odsłonięcia pomnika.

– No przecież! Są na nim tato, burmistrz, szeryf, panna White i zapomniałam, kto jeszcze. Ktoś zrobił to zdjęcie dla lokalnego przewodnika, ale później zaproponował „Life”, no i je przyjęli. To było wielkie halo! Ojciec nie znosił pozować do zdjęć. Tamto i to, na które teraz patrzysz, to w gruncie rzeczy jego jedyne dobre zdjęcia, jakie mam. Był skrytym człowiekiem. Ciężko pracował. Dorastał w czasach Wielkiego Kryzysu. Walczył na wojnie. Którego ci nałożyć?

– Yyyy... może tego z czekoladą.

Patty znowu wykroiła porządny kawał tortu.

– Allison bardzo liczy, że znajdą dziennik – rzekła Stevie. – Ale też wspomniała, że nie traktują jej poważnie...

– Prosi o ten dziennik każdego nowego śledczego – odpowiedziała Patty, podając jej tort. – Skoro się nie znalazł do tego pory, to już się pewnie nie objawi, ale Allison ma przynajmniej na co czekać. Sama nie wiem, co dla niej lepsze – żyć tą nadzieją czy dać sobie spokój. Chciałaś czerwony aksamit, tak?

Janelle przytaknęła i też dostała kawałek od serca.

Patty zrobiła sobie filiżankę herbaty i dosiadła się do nich przy stole. Kiedy zerwała z włosów rzemyk, jasnopolielata kaskada opadła jej na ramiona.

– Więc chodzi o podcast, hmmm? – zapytała. – Chcecie poznać nasze historie? Chętnie wam opowiem, jak to było w moim wypadku.

– Nie jest pani trudno o tym mówić? – spytała Stevie. – Nawet teraz?

Patty pokręciła głową.

– Powiedziałam już wszystko – odparła. – Mam to szczęście, że mogę o tym opowiadać. O mało się tam wtedy nie znalazłam. Todd, Eric, Diane i ja przyjaźniliśmy się, tworzyliśmy paczkę. Tamtej nocy nie byłam z nimi tylko

dlatego, że wpadłam w tarapaty. Mam poczucie winy ocalałego. Czuję się w obowiązku o tym mówić.

Po tym wyznaniu Patty odpłynęła w milczenie. Stevie, Janelle i Nate jedli torty, popatrując na siebie, dopóki się nie ocknęła.

– Co byście chcieli wiedzieć? To co wszyscy? Kto, gdzie, kiedy?

Zabrzmiało to tak, że Stevie poczuła się parszywie. Aż coś ukłuło ją w środku. „Tak się rozmawia z prawdziwymi ocalałymi – będę musiała do tego przywyknąć, a nawet się z tym oswoić” – pomyślała.

– Jacy byli pani przyjaciele? – zapytała. „To chyba niezły punkt wyjścia do stopniowego zagłębienia się w sprawę”.

– Fajni – odparła bez namysłu Patty. – Bardzo zabawni, właściwie wszyscy. Pewnie wyjdę na tysiiącletnią staruszkę, ale to były inne czasy. Wolności, swobody. Byliśmy bardzo nieodpowiedzialni, ale za to jak się bawiliśmy! Wtedy w ogóle nie myślałam o przyszłości. Byłam... niefrasobliwa. Prawdę mówiąc, zepsuta. Okropność. – Uśmiechając się, przeprasza ją ramionami. – Gdy miałam jedenaście lat, moja mama umarła na raka. Coś koszmarnego. Ojciec opiekował się mną, tyle że prawie nigdy się nie odzywał. Podczas wojny wślawił się bohaterstwem. Pracował w wywiadzie. W Niemczech, za linią wroga, dokonał wielkiego czynu. Poważna sprawa; o czymś takim piszą w książkach. Przez to stał się milczący i surowy. Dobrze zarabiał, poza tym dostaliśmy pieniądze z polisy mamy, więc żyło się nam dostatnio. Starając się być dobrym ojcem, spełniał każdą moją zachciankę. Chodziłam w najmodniejszych ciuchach. Kupował mi płyty, jakie tylko chciałam. Miałam konie. Na szesnaste urodziny podarował mi samochód – mały kabriolet MG, pełny odlot. Mieliśmy dom z dużym basenem. Należałam do tych lepszych. Gdy każdy myślał o nauce i pracy, mnie pochłaniały zabawy, „dramaty”, nowinki. Nie złożyłam podania na studia. Wtedy zaczęły się kłótnie z ojcem. Kiedy kończyłam szkołę, dochodziło do potwornych awantur. Chciał mi układać życie, więc miałam się nie spotykać z nierobami. Tak nazywał moich przyjaciół. – Łyknęła haust herbaty. – Pytasz, jacy byli – rzekła, zmieniając temat. – Eric był uroczy. Zwariowany. Przemiły chłopak... No i bystry. Ludzie mają mu strasznie za złe, że handlował marychą, ale pamiętajcie... w mikroilościach, w liceum, w końcówce lat siedemdziesiątych. Gdyby wziął się w garść, a według mnie chciał, wyszedłby na ludzi. Brakuje mi ich wszystkich, w każdym razie Erica wspomina najczęściej.

Diane była mi bardzo bliska, mimo że ledwo ją znałam. Jej rodzice prowadzili Mleczną Księżnę – bistro na końcu tej ulicy. Ostra dziewczyna, kochała rock. Ubóstwiała. Zwłaszcza Led Zeppelin. Uwielbiała jeździć na koncerty. Ja też, ale Diane miała fioła na punkcie muzyki. Chodziła z Toddem, a Todd... – Patty chwilę biła się z myślami. – Trudno mi się z tym pogodzić – powiedziała. – Todd nie był dobrym człowiekiem, a mimo to go lubiłam. W szkole uchodził za szybę jako syn burmistrza, kapitan drużyny futbolowej. Miał się za Bóg wie kogo, co dziś nas, rzecz jasna, śmieszy. No, ale wtedy robiło to duże wrażenie. Gdy się jest młodym, można się łatwo nabrać. Po śmierci Michaela Penhale’a powinnam się była przestać z nim spotykać, jednak nie przestałam.

– Myśli pani, że miał coś wspólnego z wypadkiem Michaela Penhale’a? – spytała Stevie.

– Ależ on to zrobił! – odparła Patty. – Jestem przekonana. Ciągle siedziałam w jego jeepie, więc wiedziałam, jak jeździ... Szybko, po pijanemu, na haju. Tamtej nocy go widziano, ale policja nie kiwnęła palcem, by to zbadać. Poza tym po śmierci Michaela Penhale’a zauważyłam w nim zmianę. Zawsze miał tupet, a wtedy stał się nie do wytrzymania. Znosiłam to, bo obracałam się w kręgu jego znajomych. Pewnie sobie wmawiałam, że Michael zginął w strasznym wypadku na drodze... Todd nie chciał tego zrobić. Usprawiedliwiałam go, myśląc, że skoro nie miał złych zamiarów... to nie okej, jasne, ale czy aby na pewno trzeba go za to ścigać? Wcale się tym nie szczycę – po prostu mówię wam, jak było.

Janelle odsunęła tort. Nie należała do osób, które słuchając takich historii, mogą spokojnie przeżuwać. Nate miał podzielną uwagę. Stevie zagłębiła się w opowieść i wertowała w głowie fakty.

– Jak się do tego wszystkiego ma Sabrina? – zapytała.

– Do dziś nie mam pojęcia, skąd się wzięła w naszej paczce – odrzekła Patty. – W ostatniej klasie zaczęła się do nas dosiadać na lunchach. Przyprowadziła ją chyba Diane, ale nadal nie wiem dlaczego. Sabrina była w liceum Liberty królową pszczoł.

– Lubiała ją pani?

– Tak mi się zdaje – odparła Patty. – Trudno powiedzieć. Nie żebym jej nie lubiła. Była perfekcyjna, sztywna, więc podśmiechiwaliśmy się z niej trochę. Ale była miła. Nie miała w sobie ani krzty złości. Nie byliśmy blisko. Ale to właśnie

Sabrina niechcący sprawiła, że tamtej nocy nie pojechałam z nimi do lasu. – Patty wzięła głęboki wdech i zabębniła palcami o stół. – Moje życie kręciło się wtedy wokół mojego chłopca, Grega. Zaczęliśmy randkować na początku trzeciej klasy. Rzuciłam się w to całą sobą. Nic innego mnie nie interesowało. Był bardzo przystojny, ale poza tym, prawdę mówiąc, nieciekawym. Ubzdurałam sobie, że jest wolnym duchem, śmiałkiem, ma intrygującą osobowość. A w rzeczywistości, nim go zastąpił – i to świetnie – Eric, był tylko miejscowym dilerem prochów. I knocił nawet to. Wiedziałam, że kręci z innymi dziewczynami. Wciąż się o to kłóciliśmy, ale nie chciałam z nim zrywać. Raz całował się z Sabriną. Przyszła i mi o tym powiedziała, zachowała się w porządku. Było to na kilka dni przed morderstwami. Rozzaliłam się tak, że wyjechałam do domu, ryczałam i nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Ale siedzenie samej szybko mi się znudziło, więc na drugi dzień wróciłam. Greg mnie przeproszał, no to wybaczyłam mu, jak zwykle. Sami wiecie, nastolatki... najpierw się kłócą, potem całują i godzą. Był czwarty lipca; bryknęliśmy do lasu i się... całowaliśmy. Więcej dodawać nie muszę. Nakryła nas wiceszefowa obozu i dostaliśmy areszt domowy. W ciągu dnia pracowałam z dziećmi, ale punkt ósma wieczorem musiałam iść spać u pielęgniarki – i w razie czego jej pomagać. Wtedy myślałam, że to koniec świata... – Pokręciła głową. – I tam też byłam w noc, gdy się to stało. Dlatego nie pojechałam z nimi do lasu. W lecznicy umierałam z nudów. Nawet nie mogłam wymknąć się do lasu, bo pielęgniarka cierpiała na bezsenność. Do białego świtu siedziała w bujanym fotelu i wyszywała. Pamiętam tylko, że rano obudził mnie krzyk z drugiej strony jeziora, pielęgniarka wzięła torbę i wybiegła, a ja za nią, żeby sprawdzić, co się dzieje. I wtedy zobaczyłam Erica. To było... nie do opisanego. Obyście nigdy nie musieli czegoś takiego oglądać.

Stevie miała podobne doświadczenia, więc dobrze to rozumiała. W Akademii Ellinghama odkryła dwa ciała. Tamte osoby zginęły inaczej, lecz takie obrazy zostają w pamięci na zawsze. Stevie nieraz wracała do tych chwil, próbując zasnąć... widziała stopy, postać na ziemi, bezruch i...

Poczuła, jak wzbiera w niej panika. Widząc, co się szykuje, Janelle przysunęła jej bliżej tort i skinieniem zachęciła, żeby zjadła kawałek. „Czasami to wystarcza. Odwrócić na chwilę uwagę od myśli; przerwać ich tok na tyle, by zapomnieć o lęku”.

– Pamiętam tylko, jak mnie wypytywali – rzekła Patty. – Zeznałam policji, że reszta też była w lesie. A później ojciec zabrał mnie do domu. Wszyscy wrócili do domu. Skończyło się wszystko – obóz i w ogóle życie. W miasteczku nic się nie działo. Tylko raz odbyło się duże zgromadzenie. Część z nas zebrała się na boisku szkolnym. Poszłam tam z Gregiem. Był pijany i na haju, jak zawsze. No i jak zwykle się pozarliśmy, więc wsiadł na motor, jak to on, bez kasku, i odjechał. Na drodze za szkołą jest paskudny zakos. Bez przerwy są tam wypadki.

Stevie przypomniał się ostry zakręt z porannej przejażdżki. Prawie dziewięćdziesięciostopniowy, ograniczony z jednej strony potężną skalną ścianą.

– Znał ten zakos świetnie – ciągnęła Patty. – Ale w tamtym tygodniu kompletnie stracił czujność. Zbyt się zalał, naćpał, coś go rozproszyło... Nie wiem. W każdym razie się rozbił. Zmarł w drodze do szpitala. Przyjaciele mnie zostawili. – Rozpostarła dłonie na stole i zapatrzyła się w nie. – Gdyby terapia była wtedy powszechniejsza, to może ojciec by mnie na nią posłał. Ale znał się wyłącznie na ciężkiej pracy i interesach. Mówił: „Weź się poważnie do pieczenia, bo tylko to sprawia ci radość”. Wcisnął mnie do szkoły kulinarnej, no i pomogło. Pochłonęło mnie to całkiem. W piekarni i kuchni pracuje się godzinami, więc człowiek wszystko wypaca. Doglądając gotowania, krojąc i mieszając, pozbyłam się nerwów. Mocno się zmieniłam. Za pieniądze ojca otworzyłam tę piekarnię. Cieszę się, że dożył chwili, gdy zaczęła prosperować. Jego zdjęcie wisi tu dlatego, że był moim aniołem biznesu. Uwierzył we mnie. Chciałam, aby ta makabra przyniosła jednak coś dobrego.

Po chwili uprzejmej powagi wobec słów Patty Stevie podjęła przesłuchanie.

– Co według pani się wydarzyło? – spytała.

– Hipoteza z Drwalem co prawda budzi wątpliwości, ale mnie się zdaje, że to jedyny sensowny trop. Zrobił to on albo jego naśladowca. Nie wiem, czy ci się zdarza oglądać dokumenty o prawdziwych zbrodniach, ale wtedy było pełno seryjnych morderców...

Nate zarechotał. „Nie można tego nazwać inaczej”. Patty trochę się zmieszala, ale to zlekceważyła.

– Do lasu pewnie zakradł się psychopata i pomordował mi przyjaciół, więc wszyscy będziemy to rozpamiętywali w nieskończoność. Świat będzie na nas patrzeć jak na miasto zbrodni. Nigdy się to nie skończy. Po was przyjdą inni. Tak się zdarzyło, więc musimy z tym żyć. A ja się staram tutaj stworzyć coś pięknego – wnieść w życie Barlow Corners odrobinę radości. Stąd nazwa Słoneczne Wypieki: zależy mi na pozytywnej aurze. Miejsce jest miłe, a w obozie fajnie spędzać lato. Jak ja się tu wybawiłam, nim... Też nie będziecie narzekać.

Z zachowania i tonu Patty wynikało, że skończyła. Przed wyjściem musieli od niej przyjąć torbę muffinek i brownies. Znów wkroczyli w duszną noc. Tymczasem piknik się skończył. Ciężarówka z jedzeniem zniknęła, a skwer prawie opustoszał. Stevie spostrzegła przy jednym ze stołów Carsona. Samego, zapatrzonego w telefon. Na myśl o rozgoryczeniu Allison zrobiło jej się niedobrze.

„Trzeba będzie to jakoś ogarnąć – sprawę, Carsona, nadmiar emocji” – pomyślała. – „Nieukojone w żalu Allison i Patty. Nigdy tak do końca nie pożegnały się z przeszłością. Tamte uczucia wciąż w nich żyją, pytania wiszą w powietrzu...” Popatrzyła na ulicę, ciche wystawy sklepów. „To miasteczko to istny ideał. Kosze kwiatów na latarniach, wszędzie schludnie, urokliwie”. Znów przeszedł ją dreszcz, tym razem nie lęku; było to podszyte strachem podniecenie. „Dopóki sprawa jest otwarta, widmo Barlow Corners pozostaje – i nie może się doczekać, aby w końcu je rozwiano. Chociaż znajomość z Carsonem to okropny obciach, może właśnie mnie uda się zamknąć tę sprawę”.

Carson zdążył się już przenieść do namiotu, gdzie w samotności ćwiczył jogę.

Optymizm Stevie odszedł równie szybko, jak przyszedł. „Jestem nastolatką zobligowaną przez Gatesa dla ubogich do rozwiązania sprawy, o której nie wiem prawie nic”.



IX

– Jaka nauka płynie z dzisiejszych zajęć? – spytał Nate.

Wrócili do obozu i siedzieli na kołyszącym się pomoście, patrząc, jak jezioro zalewa księżycowy blask. Jedli drugą kolację w postaci brownies i muffinek, otoczeni przez rój komarów nieczułych na zabiegi i spreje Janelle.

– No cóż – odrzekła Stevie, strzepując z ręki owada – mało kto lubi, gdy mu się niby funduje czytelną, a tak naprawdę robi podcast o tragedii jego bliskich.

– Bardzo dobrze. A ty, Janelle, czego się dzisiaj nauczyłaś?

Janelle spojrzała znad komórki. „Esesuje z Vi”. Stevie zawsze wyczuwała to bez zaglądania do esemesów Janelle, bo komunikując się z Vi, przybierała szczególny wyraz twarzy – skupiony, a zarazem łagodny.

Janelle zwiesiła ramiona.

– Że też ludzie uwielbiają stawiać pomniki tyranom – odparła. – Ten cały John Barlow? Właśnie go wyszukałam. Miał w posiadłości ośmiu niewolników. Ośmiu. A ci mu stawiają pomnik...

„Nie pisze z Vi. Ciekawe”. Stevie mocno się omyliła.

– No i co dalej? – zapytał Nate. – Myślisz, że w tej sytuacji to wszystko się odbędzie? Kolesia w powłóczystych majtach nie zniechęci pogarda i krytyka, ale jak to wpłynie na podcast czy co tam jeszcze wymodzi?

– Ludzie się pewnie wkurzą – odpowiedziała Stevie. – Ale on i tak będzie robił, co chce. Poza tym Michaela Penhale’a zamordował chyba Todd Cooper. Miał niezły motyw. Ale karać go za zabicie niewinnego dzieciaka zamordowaniem jeszcze trzech niewinnych osób i jego... nie bardzo mi się to klei.

– A musi? – spytała Janelle. – Czy zbrodnia w ogóle bywa sensowna?

– Niekoniecznie – odrzekła Stevie. – Ale gdy ją zaplanować tak drobiazgowo, to owszem. Ktoś się przyjrzał życiu Drwala. Ktoś przyniósł towar. Ktoś kilometrami gonił po lesie Erica Wilde’a. Kto by się wysilał aż do tego stopnia, gdyby chciał po prostu zobaczyć Todda martwego?

Na to pytanie nikt nie znał odpowiedzi.

– Wiecie, kim jest Patty, nie? – zapytał po chwili Nate. – Właśnie to sobie uzmysłowiłem. Ostatnią dziewczyną. Tak się w filmach grozy nazywa ocalałych. To prawie zawsze jest dziewczyna, więc...

– Nate – zgasła go Janelle.

– Nie, posłuchajcie. Cała sprawa aż za mocno pachnie horrorami. Zbrodnia w obozie. Seryjny morderca. Ostatnia dziewczyna. Dziecko, które ginie przez lekkomyślnych nastolatków.

– Tyle że to się stało w realu – przypomniała Janelle.

– Nie przeczę – odparł Nate. – Po prostu mówię, jakie są schematy.

– To znaczy, że wiesz, kto jest sprawcą? – zaciekawiała się Stevie.

– Jason Voorhees. I jak już wspominałem, mieszka w jeziorze. Był też w kosmosie.

Wnikliwa uwaga Nate’a zawisła w przestrzeni między księżycem a taflą wody. Zaczęło lekko mżyć, a w oddali rozległ się grzmot.

– Chyba powinniśmy wejść do środka, zanim się rozpada – rzekła Janelle.

Trójka przyjaciół wróciła pomostem na teren obozu. Stevie i Janelle odprowadziły Nate’a pod jego drzewo, a potem poszły do swego domku za pawilonem sztuki. W Akademii Ellinghama Stevie przywykła do panujących w lesie ciemności – zimowe noce w górach Vermontu są długie i bardzo, bardzo mroczne. „Tyle że w szkole wciąż płonęły światła w oknach, kominka nie wygaszano, a od żywiołów chroniły mury z kamieni i cegieł. Tutaj już nie ma tak grubej, solidnej osłony”. Świat spowijała, zlepiając wszystko, mazista wilgoć.

„No i wiadomo, że ten ciemny las jest morderczy”.

Stevie otrząsnęła się z tych myśli i podążyła za Janelle do ich domku. Górna lampa zdawała się rzucać więcej cienia niż blasku. Obie miały przy łózkach małe lampki do czytania. Światła było niewiele. Wzięły się do rozpakowania bagaży i urządzania wnętrza. Janelle wydobyła z torby zapas świec o zapachu cytronelli i zaczęła je ustawiać wkoło, jakby odprawiając rytuał, a w istocie tam, gdzie dostęp do środka miały owady, na przykład pod oknem z dziurawą siatką. Stevie poukładała na swojej szafce lekarstwa. Przeżycia w Akademii Ellinghama nauczyły ją, że na wypadek stresu w nowym miejscu – albo w ogóle większych napięć – zawsze powinna mieć pod ręką coś na uspokojenie lub sen. Zażyła tabletkę i popiła resztką ciepłej wody sodowej z puszki. Rzuciła walizkę na łóżko i ledwie przejrzawszy rzeczy, poupychała je do szuflad. Janelle otwierała szuflady jedna po drugiej, sprawdzając ich wytrzymałość i każdą starannie obwąchując.

– Trzeba by je trochę odświeżyć – stwierdziła. – Nie zamykam na noc, niech się wietrzą, a jutro zrobię pachnące wkładki.

– Potrafisz robić pachnące wkładki? – spytała Stevie.

Janelle spojrzała na nią w taki sposób, jakby usłyszała: „Wiesz, jak się pisze twoje nazwisko?”.

– Nie wzięłam wszystkich narzędzi ani maszyny do szycia, ale do dyspozycji mamy pawilon sztuki, więc spokojnie sobie poradzimy. – Usiadła na skraju łóżka. – Jestem zmęczona – westchnęła. – To był przedziwny dzień.

Stevie kiwnęła głową na znak zgody.

Przebrały się do spania i położyły, by odpocząć. Janelle otworzyła laptop, a Stevie wyjęła tabletkę.

Za oknem ćwierkały cykady i z rzadka pohukiwała gdzieś sowa. Nastawiony przez dziewczęta na najwyższe obroty wentylator ledwie dyszał w ciężkim powietrzu. Rozpadało się na dobre – rzeński letni deszcz spulchniał glebę i bębnił o dach domku. Rozbrzmiał cichy, przeciągły grzmot. Powietrze zrobiło się słodkie od ozonu i zapachu ziemi.

Carson przysłał wcześniej Stevie cały zbiór plików na temat sprawy. Zawierały one ponad osiemset dokumentów, ułożonych tematycznie – miejsce zbrodni, podejrzani, artykuły itd.

Przebiegła je wzrokiem – i w pliku o nazwie „Sabrina” otworzyła ustęę z książki poświęconej sprawie.

Jeśli chodzi o cztery zamordowane tej nocy osoby, najtrudniej jest uzasadnić obecność w lesie Sabriny Abbott.

Urodzona w 1960 roku Sabrina Abbott była córką miejscowego stomatologa, doktora Jamesa Abbotta, i jego żony Cindy. Cindy Abbott była gospodynią domową, toteż w gospodarstwie Abbottów panowała nieskazitelna czystość. Gdy pani Abbott odkurzała i robiła sprawunki, jej mąż przyjmował pacjentów, a w piecu czekały pachnąca zapiekanka lub ciasto. Na dużym podwórku za domem Sabrina rzucała podkową ze swą młodszą siostrą Allison. Allison miała dwanaście lat, kiedy osiemnastoletnia Sabrina kończyła szkołę średnią. Dziewczęta jeździły razem na wrotkach po ulicy albo torze wrotkarskim.

„Chociaż byłam młodszą, to nigdy nie narzekała na moje towarzystwo” – mówi Allison. – „Sabrina mnie kochała. Mogłam wchodzić do jej pokoju, gdy tylko miałam na to ochotę. Pomagała mi odrabiać zadania. Jako starsza siostra była ideałem, więc ją uwielbiałam. Naprawdę”.

Mianem ideału określało Sabrinę wiele osób.

Sabrina uczyła się celująco i w klasie maturalnej liceum Liberty w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku była prymuską. Otrzymała najlepszą średnią ocenę, ponad pięć. Biegła grała na fortepianie i była redaktorką naczelną szkolnej gazety „Trąbka”. W piątki i soboty z własnej inicjatywy czytywała dzieciom bajki w miejscowej bibliotece. Nauczyciele darzyli ją bezgranicznym zaufaniem, często więc zanosila do ich pokoju klasówki lub pilnowała klasy, gdy któryś musiał na chwilę wyjść. Sabrina nigdy o nikim nie powiedziała złego słowa. Była kwintesencją świętoszki, ale cieszyła się powszechną sympatią.

Chłopiec, z którym się spotykała przez wszystkie lata nauki w liceum, Shawn Greenvale, uczył się równie pilnie jak ona, jednak nie dorównywał jej osiągnięciami. Sabrina była znana w szkole z wszelkich talentów, jak również z przyzwoitości.

Stevie odłożyła tablet i zapatrzyła się w sufit.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Janelle.

– Mhm. Tylko... sprawa Ellinghamów wydała mi się nagle strasznie odległa. Przerażliwie. Nie żyje już nikt, kto by...

Stevie nie mogła skończyć zdania, więc Janelle przysła jej w sukurs.

– Cierpiał po ich stracie?

– Tak. Allison wciąż się z tym nie godzi. I raptem przyjeżdżam do obozu ja, żeby to wszystko rozpracować. Czy w ogóle mam do tego prawo?

Janelle zastanawiała się nad tym do wtóru uderzeń ciężkich kropel deszczu o dach.

– Dobrze, że masz tę wątpliwość – odpowiedziała po chwili. – To znaczy, że wiesz, co jest dla ciebie najważniejsze. No i to ty wykryłaś, co zaszło u Ellinghamów w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym.

– Poważnie?

– Tak. Jak najpoważniej.

– Więc dlaczego czuję się tu jak naciągaczka? – zapytała Stevie.

– Bo ma to co drugi człowiek – odrzekła Janelle. – Syndrom oszusta^[9]. Naturalne zjawisko.

– Zdarza ci się tak czuć?

Janelle rozważała to chwilę.

– Nie – odparła. – Ale ja się zajmuję czym innym. Konstruuję. Jeżeli coś działa, widzę to od razu. Jak nie – rozbieram i składam, dopóki nie zadziała. Mam po swojej stronie naukę. Ty tworzysz coś, czego nie da się zobaczyć.

„Fajnie przyjaźnić się z mądrymi”.

– Czuję to tylko, myśląc o Vi – wyznała Janelle. – Znaczący... yyy... nie o nas razem. Ale gdy jest tak daleko... czasem nie daję rady myśleć o niczym innym. Myślę tylko o niej. Myślę o następnym esemesie, następnym czacie, następnym zdjęciu. Powinnam być poważniejsza. Powinnam myśleć o przyszłorocznym projekcie albo o uczelni, no więc myślę... po czym sprawdzam, czy nie napisała.

– Przecież to normalne – zauważyła Stevie.

– Pewnie tak. Ale ja nie chcę być normalna.

– Kochasz Vi – odpowiedziała Stevie.

– Mhm. Kocham.

– A Vi kocha ciebie.

– Tak – odrzekła Janelle, z lekkim westchnieniem. – Kocha.

– Więc musisz to przetrwać.

– Ja... chcę, żeby Vi była przy mnie. Wietnam jest daleko. A co dopiero wrzesień.

Otoczyła je deszczowa cisza.

– Wiesz, jak Nate by się wpienił na tę pogawędkę? – odezwała się w końcu Stevie.

Śmiech Janelle zadźwięczał jak dzwoneczek.

– Wkładam słuchawki; posłucham muzyki, żeby zasnąć – odparła.

Wyłączyła lampkę, więc Stevie po chwili też.

Po raz pierwszy od miesiąca Stevie znowu poczuła się spełniona. „Robię dochodzenie. Jestem z przyjaciółmi”. Janelle spokojnie oddychała przez sen. Wentylator cykał, jakby odmierzając uderzenia serca.

Na kilka sekund zawirowały Stevie przed oczami twarze ofiar znalezionych w lesie: Sabriny, Erica, Todda i Diane. „Kruczowłosa dziewczyna. Chłopak w blond loczkach. Kudłaty jasny szatyn. Pieguska z długimi prostymi włosami. Przed laty byli tu wszyscy i tutaj spali. Cokolwiek się im zdarzyło, odpowiedź pewnie jest tu. Znajdę ją na pewno, wykryję, kto zabił. No i...”

Usypiała, a obrazy przepływały jej przez głowę, mieszając się z szumem deszczu. Poruszyła się, by strzepnąć owada, który chciał jej wejść do nosa, gdy usłyszała wrzask – wołała ją Janelle.

Stevie momentalnie się ocknęła. Panował wilgotny, niemal spocony świt. Zza krawędzi zasłony sączyło się łagodne światło. Przy łóżku stała Janelle i patrzyła w jej stronę ze zgrozą. Stevie zerwała się w sekundzie i z kołaczącym sercem stanęła naprzeciw przyjaciółki.

– Co? Nic ci nie jest? Mów!

Janelle wskazała ścianę nad jej łóżkiem. Stevie przekręciła głowę i omal nie padła.

Jakieś dwa metry nad miejscem, gdzie spała, widniało słowo „Niespodzianka”.



11 lipca 1978, 21.30

Kiedy zgromadzenie w śródmieściu zostało zamknięte, dorośli i dzieci wrócili do domów, telewizorów i sypialń. Do bezpieczeństwa. Normalności. Lecz młodzi ludzie, którym zło zagrażało najbardziej, ani myśleli kłaść się spać.

Potrzebowali zebrać się sami, bez galaretek owocowych, burgerów i towarzyskich rozmówek. Rodzice zgodzili się, by poszli, ale wyłącznie w grupie i pod warunkiem, że nie będą opuszczać boiska. Bo gdyby się nie zgodzili, i tak powykradaliiby się do lasu pojedynczo. Na ogrodzonym polu pod gołym niebem nikt się nie zdoła na nich zacząć – spodziewali się rodzice.

Więc się zebrali, powysiadawszy z kilkudziesięciu aut na parkingu. Niektórzy przybyli sami, inni w grupkach. Któryś wszedł do szkoły i włączył część zewnętrznych lamp – których światło nie docierało jednak do środka boiska. Zewsząd otaczała ich mroczna zasłona lasu. Wszyscy wiedzieli, co się stało, a w gruncie rzeczy nie wiedział tego nikt. Skąpe informacje, które zdążyły wycieknąć z policji, tylko namieszały im w głowach. Kiedy dni upływały, historia, jak koła na wodzie, rozchodziła się coraz dalej, a wielokrotnie opowiadana, przybierała coraz dziwniejszy kształt. Słyszało się, przekazywane z ust do ust, najrozmaitsze jej warianty:

- Podobno im obciął wszystkie palce.
- Napisał na drzewie wiadomość krwią.
- Głowę Sabriny znaleźli ponoć w torbie z McDonalda.

Patty Horne przyszła z trzema dziewczętami. Podwiózł je ojciec koleżanki, Candice – i obserwował je teraz, oparty o maskę samochodu. Jako że Patty dobrze znała ofiary, zajmowała na tym dziwnym zebraniu zaszczytne miejsce. Siedziała jak królowa w dość dużym kręgu osób, które, cicho gawędząc, spoglądały z szacunkiem w jej stronę.

- A co z Shawnem? – spytał ktoś w pewnej chwili.
- Sabrina doprowadzała go do szału. Założę się, że to on. Nawet go tutaj nie ma...

„Więc to tak ma wyglądać?” – pomyślała Patty. – „Głędzenie o uciętych głowach i palcach i zgadywanka, kto to zrobił?”

Widocznie.

Candice podsunęła jej papierosa. Przyjęła go. Sięgnęła po zapalki do torebki z frędzlami. „Jak gdyby nigdy nic siedzę sobie w japonkach, bluzce bez pleców i białych szortach, trawsko plami mi tyłek, a po rękach gryzą mnie komary. Palę i gadam po ciemku z całą ferajną ze szkoły. Czy to się w ogóle dzieje?” Spostrzegła, jak zbliża się ktoś, na kogo czekała. Był to Greg Dempsey, jej chłopak. Ciemną czuprynę miał potarganą, a więc przyjechał na motocyklu. Był w obciętych dżinsach i znoszonym tiszercie Led Zeppelin. Jakby w hołdzie Diane, która wielbiła tę kapelę całym sercem.

Rozsunęli się bez słowa, by zrobić mu miejsce obok Patty. Z torby, którą przywiózł, wyjął sześciopak millera. Otworzył sobie butelkę, a resztę zostawił w trawie, niby dla wszystkich, a tak naprawdę tylko dla Patty.

- Jest z tobą stary? – spytał.
- Nie. Jeszcze pracuje z glinami.
- Co robi?
- Patroluje czy coś takiego.

Starszy od większości rodziców jej znajomych, ojciec Patty należał do najświetniejszych bohaterów wojennych w Barlow Corners. Choć tego tematu nikt nie poruszał, to wszyscy wiedzieli, że pan Horne swego czasu pracował

w służbie wywiadowczej. Policjantem nigdy nie był, ale jako człowiek godny zaufania brał czynny udział w poszukiwaniach mordercy. Miasteczko miało już więc własny oddział pościgowy, który obchodził każdą ulicę i zaglądał w leśny mrok.

– Może się gdzieś wyrwiemy? – zapytał Greg cicho.

– Nie wolno – odparła Patty, kiwając głową w stronę ojca Candice. – Pilnuje, a o jedenastej zawozi nas do domu.

– Kto by się tym przejmował? Chodźmy.

– Poważnie – odparła.

Greg pokręcił głową. Miał już prawie dziewiętnaście lat i nie chodził do szkoły. Nigdy nie słuchał poleceń rodziców, więc nie zamierzał i teraz. Zdegustowany sięgnął do kieszeni i wyjął z niej garść skrętów.

– Ostatnie – powiedział. – Ostatnie skręcane przez Diane.

Patty patrzyła na niego, gdy zapalał skręta.

– Pilnują – przypomniała, wskazując samochody i nieme sylwetki rodziców na krawędzi boiska.

– Co z tego? Nie widzą. Wygląda jak papieros.

– A jeśli poczują?

Greg wziął długiego macha i podał skręta Patty, która odmówiła. Wściekle wypuścił kłęb dymu.

– A więc to tak – burknął. – Kogo obchodzi, co widzą?

– Gdyby ojciec zobaczył mnie ze skrętem, nie zapłaciłby za studia – wtrąciła się Candice.

Greg patrzył na Patty, czekając, co odpowie.

– Nie idziesz na studia – rzucił. – Jaką masz wymówkę?

– Wymówkę? Mieszkam z nim i tyle.

– Chwilowo. Masz zamiar do końca życia mieszkać z tatusiem? Robić, co ci każe?

– Póki sobie nie znajdę mieszkania.

Greg zaśmiał się krótko.

– A kiedy chcesz go szukać?

Patty spuściła głowę. „Właściwie nie mam żadnych planów. Może zawsze będę mieszkać z ojcem i go słuchać... Do dziś nie wychodziłam myślami poza to lato, które, choć nadal trwa, jest już zupełnie inne. Życie nigdy nie będzie takie samo”.

Gdy kolejno podawali sobie skręta, zapadła kłopotliwa cisza. Greg dopił piwo i otworzył drugą puszkę.

– Myślę, że to mogło mieć związek z prochami – odezwała się w końcu Candice. – Tak jak mówiliśmy wcześniej. Pewnie zrobił to ktoś, od kogo kupował Eric.

Greg nie zareagował.

– Przed Erikiem handlowałeś ty – zauważyła Candice.

– No i?

– No i od kogo kupowałeś?

– To bez znaczenia – odparł Greg.

Patty wyrwała kilka źdźbeł trawy i pokruszyła je w palcach.

– Sądzą, że zrobił to ten, co handlował – zwróciła się do chłopca.

– To nie on.

– Skąd wiesz?

– Bo wiem – odwarknął Greg.

– Ale skąd?

Reszta grupy, zdumiona, umilkła. Uciszyli się wszyscy wokół nich.

– To jakieś bzdury – stwierdził Greg. Wrzucił do puszki niedopalonego jointa i wstał, żeby odejść. Zerwała się też Patty i ruszyła za nim w stronę parkingu. Greg postawił motor na końcu, jak najdalej od rodziców, czekała ich więc długa droga.

– Ejże! – zawołała Patty. – Ejże!

Greg przystanął i się odwrócił.

– Mam tego dosyć! – ryknął jak zwykle, kiedy był podpity.

– Moi przyjaciele nie żyją – wrzasnęła – a ty się zachowujesz jak dupek!

– Nasi! – odszczeknął. – Czy ty zawsze będziesz taka? Boże...

– Jaka? Chyba nie ja się przespałam z Sabriną! To ty mnie zdradziłeś.

Bąknął coś pod nosem i wsiadł na motor.

– Greg! – zawyła Patty, czując, że przegrywa. „Już tego za dużo”. Łzy paliły jej oczy. – Greg, tak nie można. Jesteś pijany...

Wrzucił jałowy bieg i przygazował silnik, by zagłuszyć jej płacz. Nie mógł odjechać, bo stała mu na drodze, więc wyprowadził motor tyłem i ruszył z parkingu. Pobieгла za nim, nawołując. Dotarła aż do miejsca, gdzie parking stykał się z drogą. Machała latarką, krzyczała, zapłakana. Wszyscy widzieli, jak Patty patrzy za znikającym w czerni motocyklem.

Nie pokonawszy nawet dwóch kilometrów, Greg wypadł z drogi, wjechał w drzewa i zderzył się ze skałą.



X

– Co u diabła? – spytała Janelle. – Co u diabła?!

„Słuszne pytanie”.

Stevie najpierw skierowała się ku drzwiom. Szarpnęła za klamkę. Były zamknięte od środka na klucz. Przysunęła krzesło do okna i weszła na nie, by je zbadać. Wewnętrznej kraty i siatki nie tknęto. Mimo że intruz nie miałby gdzie się schować, zajrzały pod łóżka. Janelle uważnie obejrzała śruby okiennych blokad i stwierdziła, że są ciasno dokręcone, a z zewnątrz nie dałoby się ich usunąć i podmienić. Domek stał na betonowym cokole, więc nie można było wkraść się od dołu. Przez jedyny otwór – trzyipółcentymetrową dziurkę w siatce – wlatywały do środka komary, ale człowiek by się, rzecz jasna, nie przecisnął.

„Krótko mówiąc, ktoś dokonał niemożliwego”. Usiadły na zimnej posadzce i spojrzały na siebie.

– Najwyraźniej ktoś o mnie czytał – rzekła Stevie.

Tuż po tym, jak przyjechała do Akademii i ogłosiła, że ma prowadzić niewyjaśnioną od lat sprawę morderstwa – ktoś wyświetlił nocą na ścianie jej pokoju straszny list Nieodgadnionego, ale tym razem skierowany do niej. Stevie długo się tym z nikim nie dzieliła, większość szczegółów znali tylko Janelle i David. Nim jednak sprawę zamknięto i Stevie zdobyła rozgłos, zdradziła to

szkolnej reporterce Germaine Batt. Rozwiązawszy sprawę dzięki Germaine, obiecała jej wywiad na wyłączność.

Najwyraźniej ktoś wiedział o nocnych wiadomościach w jej pokoju.

– Tamtą wyświetlono – przypomniała Janelle. – To jest farba. Ktoś malował po ścianie, jak spałyśmy, a przecież nie mógł tutaj wejść.

– A co to znaczy? – spytała Stevie. – To się nie mogło wydarzyć.

– Wydarzyło się przecież.

– Nie – odparła Stevie. – To znaczy, że na ścianie jest wiadomość... I pewnie była wczoraj, zanim weszłyśmy, bo skąd się tam wzięła teraz?

– Nie było jej – odrzekła Janelle. – Przecież byśmy zauważyły.

– Jak sprawić, żeby coś takiego pojawiło się na ścianie?

Po chwili namysłu Janelle wstała i wdrapała się na łóżko. Dokładnie obejrzawszy napis, zeszkrobała paznokciem nieco farby i zbadła opuszką.

– Suchutka – orzekła. – Ani trochę się nie lepi. Niektóre farby zmieniają kolor po zaschnięciu, ale... żeby ktoś tu pod naszą nieobecność przylazł malować, szczerze wątpię. Po pierwsze, na pewno wyczułybyśmy farbę, bo śmierdzi. Poza tym nie kładłyśmy się od razu, a farba, przynajmniej na początku, schnie szybko. Ale myślę, że zaschnąć aż tak by nie mogła.

Stevie podniosła się i stanęła twarzą do ściany.

Nie żeby się nie bała. Nosila w sobie ocean lęków. Strach nieraz przejmował kontrolę nad jej życiem. „Ktoś sobie ze mną pogrywa. Zadaje zagadkę «Bez wyjścia». Co jest nie tyle straszne, ile po prostu kłopotliwe. A skoro to tylko łamigłówka, nie ma czego się bać. Muszę zmierzyć się z problemem. Być wnikliwa. Co widzę?”

Wiadomość widniała znacznie powyżej linii wzroku. Słowo namalowano pękatymi koślawymi wersalikami. Farba trochę pociekła, jak w makabrycznych horrorach. Stevie weszła na łóżko i stanąwszy obok Janelle, przyjrzała się pociągnięciom pędzla. „Farba pociekła po ścianie w ciekawy sposób”.

– Patrz, zacieki urywają się w jednym miejscu. – Wskazała. – Jak pod linijkę.

Janelle pochyliła się, by spojrzeć, i zawyrokowała:

– Ktoś ścierał farbę. Widać ślady, gdzie ścierał, żeby za bardzo nie ciekła. Jaki zapobiegliwy.

Stevie głęboko westchnęła i zsunęła się na dół.

– Sprawdźmy pod łóżkiem – rzekła.

Razem odsunęły łóżko od ściany. Stevie położyła się na posadzce i przyświecając sobie telefonem, zaczęła ją badać milimetr po milimetrze. Znalazła dwie martwe muchy, zużyty kawałek taśmy klejącej, liść, pajęczynę, gdy raptem...

– Zobacz – powiedziała, wskazując niewielką plamę białej farby. – Spójrz.

Janelle położyła się obok.

– Więc gdy malował wiadomość, łóżka tu nie było – rzekła Janelle.

– Właśnie. To się nie stało zeszłej nocy, bo nie sypiam tak mocno, by ktoś odsunął łóżko ze mną od ściany, rozłożył drabinę, namalował wiadomość, po czym przesunął łóżko na miejsce.

– Może to i lepiej – odparła Janelle, potakując. – Przynajmniej nie miałyśmy nocnych gości. Co teraz zrobimy?

– Hmmmm... – Stevie siadła na skraju skrzypiącego łóżka. – Lepiej o tym nie mówić Nicole. Nie jest szczęśliwa, że przyjechaliśmy, więc to jej na pewno nie ucieszy, zwłaszcza w dniu przyjazdu opiekunów. Jeszcze by kazała Carsonowi nas odesłać.

– Według mnie trzeba zadbać o bezpieczeństwo domku. Carson mógłby podłączyć nam kamerki.

Stevie wyjęła komórkę, żeby mu posłać esemesa.

– Będzie zachwycony – odpowiedziała ponuro.

Zrobiła kilka zdjęć napisu i zaesemesowała. Po chwili Carson odpowiedział:

„Będę z kamerami jak najszybciej. Mam wam coś do pokazania”.

– Kamerki w drodze – poinformowała Stevie. – Zostanę tu, a ty weź prysznic. Ja załatwię to później.

Janelle prędko wzięła przybory do kąpieli, ręcznik i ubrania, po czym się oddaliła. Stevie wyszła i usiadłszy na maleńkiej betonowej werandzie, gmerła w suchej ziemi palcami stóp. Było trochę za wcześnie, ale musiała zadzwonić.

Ku jej zaskoczeniu David odebrał od razu.

– Nie śpisz? – spytała.

– Dziś mieliśmy długą jazdę – odrzekł. – Wyruszyliśmy o szóstej. Jak cię traktują w obozie, księżniczko?

– Mogłoby być lepiej – odparła Stevie. – W nocy ktoś napisał mi nad łóżkiem „Niespodzianka”.

– Czy to jakiś, yyy... erotyczny żart?

– Nie. Ktoś nam namalował na ścianie wiadomość. Taką jak na miejscu zbrodni w siedemdziesiątym ósmym roku.

– Dobra. – Głos Davida nie zabrzmiał zbyt dobrze. – Po pierwsze... nic wam nie jest?

– Bez obaw. – Stevie zasłoniła oczy przez rażącym słońcem poranka. – To tylko kawał.

– Już ci wierzę. Co się stało? Ktoś wszedł do domku, gdy was nie było, czy...?

– To nie takie proste – odrzekła. – Nie bardzo wiemy, kiedy to zrobił, na pewno nie wtedy, gdy spałyśmy. Jakimś cudem namalował słowo wcześniej, ale my je odkryłyśmy dopiero po przebudzeniu.

– Cooo?

Stevie potrząsnęła głową. „Jestem na miejscu i sama tego nie ogarniam, więc jak mam to teraz wyjaśnić przez telefon?”

– Ktoś ze mną pogrywa – ciągnęła. – Może słyszał, jak mi w szkole wyświetlono tę wiadomość.

– Nie chcę wracać do tego, co się wtedy stało. A co się stało? Tamten był mordercą.

– Tu chyba chodzi o coś innego – odparła.

– Normalnie czad.

– Zamontują nam kamerki. Nie mam pojęcia, co tutaj zaszło, ale na pewno się dowiem.

– Chryste, jak mnie to wpienia – odpowiedział. – Że to naprawdę musi spotykać akurat... Wróc. Wiem aż za dobrze, dlaczego się to wciąż powtarza.

„Jeśli mam być ze sobą szczerą – a wolałabym nie być – troska Davida jest niesamowicie przyjemna. Szczerze się o mnie martwi, chyba nawet bardziej niż ja. Zależy mu na mnie”. Na myśl o tym poczuła miłe mrowienie w całym ciele.

Upojny nastrój przerwał raptownie jakiś głos.

– Witam wychowawców! – zawołała przez głośnik Nicole. – Wnieście bagaże do stołówki!

– Muszę się zbierać – rzekła Stevie.

– Rozumiem, ale esemesuj. Dzwon. I to, i to. Dawaj mi znać, co się dzieje, okej?

– Przyrzekam – odparła, nie powstrzymując uśmiechu.

Gdy wróciła Janelle (w zwiewnej niebieskiej sukience), Stevie chwyciła swoje rzeczy. Do łazienki było zaledwie kilka kroków. Toalety i umywalnię urządzono w budynku z betonu i drewna – bez drzwi, więc spokojnie mogły tam sobie wpadać muchy. Na zewnątrz stały prysznice: drewniane kabiny, od góry nieosłonięte. „Zwyczajny szlauch w otwartej skrzyni, postawionej wyżej, żeby woda miała odpływ. Ale jazda! Szkoda, że nie wbudowali ścianek w ziemię, bo ten ciemny kąt na dole to świetne legowisko dla węży. Pewnie coś tam mieszka”.

Starła się odegnać tę myśl.

Mimo że nikt nie mógłby zajrzeć do kabiny, rozbieranie się i kąpiel przy widzach w postaci drzew i nieba było dla niej dziwnym przeżyciem. Czowała się obnażona. Woda nie była ani za zimna, ani za ciepła. „Co za różnica w tej duchocie”. Stevie myślała się tak prędko, że nie dopłukała głowy z szamponu. Włosy obcięte (własnoręcznie) na krótko mają niewątpliwe zalety – żeby je wysuszyć i ułożyć, wystarczy parę razy potarmosić. Włożyła tiszert, czarne szorty i japonki i wyskoczyła z kabiny, by się nie dać ukąsić wężowi w stopę.

W domku zastała Nate’a. Siedział na posadzce obok Janelle.

– Ponoć – mruknął ponuro – bez pisemnej groźby nie ma dla ciebie zabawy.

– Masz swoją chatkę na drzewie – zauważyła Stevie.

– Zanim to powiedziałaś, była fajniejsza, no ale mam.

– Musimy iść – rzekła Janelle. – Żeby się tak dało nie tylko zamknąć domek na klucz...

Słyszając to, Stevie sięgnęła w dół i zerwała źdźbło trawy, po czym delikatnie wsunęła je między drzwi a framugę, żeby po powrocie mogły sprawdzić, czy ich ktoś nie otwierał.

– Serio się tak robi? – spytał Nate.

– To całkiem niezły sposób – odrzekła. – Dopóki nie mamy kamer, wystarczy.

Obóz Słoneczne Sosny budził się do życia. Na parkingu było pełno samochodów, a wychowawcy wypakowywali bagaże, witając się na misia, piszcząc i robiąc sobie zdjęcia. Stevie przypomniawszy sobie przyjazd do Akademii Ellinghama, gdy jako nowa, nieznana nikomu uczennica patrzyła na witających się radośnie drugoklasistów. Teraz u jednego boku miała Nate'a, a u drugiego Janelle. „Z nimi i Davidem mogę wszystko. Nawet ustalić, jak ktoś się do nas włamał i zostawił magicznie pojawiającą się groźbę”.

Nicole z asystentką witała i meldowała wychowawców. Kłaniając się lekko, wręczała każdemu torbę z butelką wielokrotnego użytku, kremem przeciwsłonecznym, miniapteczką pierwszej pomocy i przeraźliwie białym tiszertem z logo obozu, którego sama nigdy nie nosiła. Stevie ucieszyła się, widząc, że podają śniadanie, więc jej talerz zaraz wypełniły naleśniki, boczek i kiełbaska. Nate wziął to samo. Janelle też – plus puchar owoców, bo starała się przestrzegać zbilansowanej diety.

Właśnie siadali przy piknikowym stole, kiedy zbliżyła się do nich Nicole.

– Fisher – powiedziała.

Nate podniósł głowę znad kiełbaski.

– Drobną zmianą planu. Jeden z naszych wychowawców zachorował. Spóźni się dzień lub dwa. Musisz go przez ten czas zastąpić.

– Cooo? – Nate zamrugnął ze zdziwienia.

– Szakale, domek dwunasty. Dziewięciolatki. Będziesz pracował z Dylanem i mieszkał w tym domku, dopóki się nie zjawi drugi wychowawca. Gdy skończysz posiłek, bądź łaskaw dołączyć do Dylana. Jest przy tamtym stole. Stawisz się też na spotkaniu zapoznawczym grupy dziś po południu.

Wskazała siedzącego dwa stoły od nich chłopaka w jaskrawożółto-niebieskim stroju do surfingu, wyraźnie z górnej półki. Opuszczając i unosząc ciemne okulary, cykał niezliczone selfie z gromadką dziewcząt.

– Wy – zwróciła się do Janelle i Stevie – możecie zacząć aranżować pawilon sztuki. Nie musicie iść na popołudniową sesję. To dla wychowawców, którzy pracują w domkach. Dzisiaj wieczorem pójdziecie na ognisko.

Oddaliła się długim krokiem, zostawiając Nate'a w stanie szoku.

– O nie – szepnął sucho. – Nie. Jak wszystko mogło się tak szybko rozlecieć?

– Przecież to tylko dzień albo dwa – pocieszała go Janelle.

– W ciągu dnia albo dwóch może się wiele wydarzyć – odparł Nate.
Zważywszy, jak mijał poranek, Stevie była skłonna przyznać mu rację.



XI

Stevie strawiła oprowadzanie po obozie, nie słuchając ani zasad zachowania, ani przepisów BHP. Nie dowiedziała się, co się robi w przypadku zagrożenia pożarowego w miejscu na ognisko. Nie dosłyszała, gdzie nad jeziorem znajdują się stanowiska ratowników. Nie zwróciła uwagi na informację, gdzie są umieszczone apteczki pierwszej pomocy. Po drodze oglądała w myślach domek, usiłując dociec, skąd nagle wzięła się w nim wiadomość. Kiedy grupa zmierzała do stołówki na obiad, Stevie wiedziała jeszcze mniej niż przed porannym wyjściem z domku.

– Pewnie nie słyszałaś ani słowa? – zapytała Janelle, gdy szły na obiad.

Stevie pokręciła głową.

– Ja też. Rozkminiłaś to? Ja nie.

Znowu pokręciła głową.

Kiedy wchodzili do stołówki, zaesemesował Carson, więc Stevie oderwała się od grupy i poszła na parking, żeby się z nim spotkać. Stał przy tesli, niespokojnie przestępując z nogi na nogę.

– Nie tylko ty coś dostałaś – oznajmił. – Zobacz.

Nacisnął bagażnik, który otworzył się powoli. Wewnątrz leżało zwykłe pudełko z kartonu, wielkości mniej więcej pudełka na buty, z wypisanymi czarnym mazakiem słowami „Otwórz mnie, Carsonie”.

Zdjął wieko. Stevie ujrzała w środku trzy lalki – dziewczynkę o kruczoczarnych włosach, chłopczyka i rudą dziewczynkę. Związane czerwonym sznurkiem, na całym ciele miały „rany” z czerwonej farby i były ułożone dokładnie tak jak Sabrina, Todd i Diane, kiedy ich znaleziono. Ubranka, które miały na sobie, przypominały ubrania ofiar. Na spodzie wieka widniał wyraz „Niespodzianka”.

– Znalazłem to podczas porannego joggingu – rzekł Carson, nerwowo pocierając dłonie. – Leżało na środku ścieżki. Było w mojej posiadłości, ale poza zasięgiem kamer.

– Ktoś odrabia zadanie – odpowiedziała Stevie. – Ja dostałam wiadomość na ścianie tak jak w Akademii Ellinghama... A więc ktoś wie, którądy biegasz i gdzie są kamery.

– Mhm. A że sprzedaję pudła i mam obóz słynny z morderstw w skrzyni, przysłali mi pudełko.

„Pudła, skrzynia, pudełko – można dostać kręćka” – pomyślała.

Sięgnęła do plecaka i wyjęła rękawice nitrylowe. Na wszelki wypadek zawsze miała przy sobie kilka par. „Dopóki się tyle razy nie przydały w sprawie Ellinghamów, nosząc je ciągle w torbie, na pewno byłam obiektem kpin”. Zabrała je na obóz, przewidując, że będzie musiała dotykać jakichś paskudztw. Włożyła rękawiczki i ostrożnie podniosła z pudełka lalkę Sabriny. Miała namalowane na tiszercie logo obozu Wodospad Cudów, a włosy – tak jak Sabrina – przycięte do ramion. Nie wyglądała może identycznie, ale bardzo przypominała pierwowzór.

– Ktoś chce nam udaremnić podkast – powiedział Carson.

– Albo zachowuje się jak dupek – odparła Stevie. – Ale zawsze.

– Lepiej nie zgłaszać tego policji – zauważył. – To chyba nie przestępstwa, a jeśli tak, to nieznaczące. Wykroczenia albo coś w ten deseń. Czy wykroczenie to zjawisko? Brzmi jak zjawisko. Tak czy siak wątpię, aby traktowano je poważnie. Chyba kogoś wczoraj wnerwiłem. Popatrz.

Podał Stevie torbę w bardzo sugestywną rybią łuskę. Wewnątrz było sześć kamer, każda wielkości dzwonka do drzwi.

– Schowaj je – poprosił – żeby nie zobaczyła ich Nicole. Bo zacznie zadawać pytania.

– Mogę to zatrzymać? – Wskazała pudełko z lalkami. – Niech je obejrzy Janelle. Jest ekspertką od rękodzieła.

– Jasne – zgodził się Carson. – Ale uważaj na... Co ja mówię? Policja nie będzie szukać na nich odcisków palców.

– Pewnie nie – odrzekła Stevie. – Chyba że któreś z nas zginie.

Carson wybałuszył oczy.

– Żartujesz – powiedział.

Sięgnął na tylne siedzenie samochodu i wyjął pudełko pełne schludnie zwiniętych toreb w rozmaitych wzorach i kolorach.

– Weź jedną na lalki – rzekł. – Albo bierz, ile chcesz. Mnie nie zabraknie ich nigdy.



W jadalni Stevie podeszła do Janelle, która zdążyła się już zapoznać z kilkoma osobami i gawędziła z nimi przy jednym ze stołów.

– Bierzemy obiad na wynos – powiedziała do przyjaciółki. – Musimy podłączyć kamery i mam ci coś do pokazania.

Odstawszy swoje w kolejce, Stevie wzięła hot doga i napój gazowany. W Akademii Ellinghama jadłospis stale się zmieniał, składał zaś z organicznych, a często wegańskich potraw. Była tam woda mineralna z kranu i syrop klonowy we wszelkich możliwych postaciach. W Słonecznych Sosnach jedzenie było dużo mniej wyszukane. Menu zawierało gotowane hot dogi, gotowane wegedogi, hamburgery i wegeburgery oraz kawałki kurczaka w panierce. Do smętnego baru sałatkowego nie podchodził prawie nikt. Mimo że nie dorównywał on barowi w spożywcza, to – jako była ekspedientka – Stevie serdecznie mu współczuła. Serwowano tu sałatę lodową zmieszana z warzywami, tartą marchewkę i zwykły kremowy sos, a do popicia – mleko, wodę, napój gazowany i przesłodzony, wściekle czerwony soczek. Stevie nie przeszkadzało to w najmniejszym stopniu. „Mogę jeść hot dogi co wieczór całe lato i popijać soczek napojem, aż mi wypadną wszystkie zęby”. Kiedy mijala Nate’a, spojrzał na nią panicznie, jakby tonął. Siedział z Dylanem – drugim wychowawcą – i kilkorgiem nowych osób. Stevie podniosła rękę na powitanie i wskazała, że wracają do domku.

– Torba kamer – rzekła, podając ją Janelle w domku. – Ile może potrwać montaż?

Janelle zlustrowała opakowania.

– Daj mi dwadzieścia minut – odparła.

– Ale to nie wszystko. – Stevie pokazała Janelle drugą torbę. – Carson znalazł to dziś rano, gdy biegał.

– Rety!!! – wykrzyknęła Janelle. – Cooooo? Stevie... to jest porąbane.

– Ale sprytne. Co ci się tu rzuca w oczy?

Janelle skrzywiła się, ale zajrzała do pudełka, po czym wyjęła lalkę Sabriny i zbadała jej strój.

– Hmm. – Ujęła w palce materiał i spojrzała na ścięgi. – Całkiem niezłe uszyte ubranko.

Przejrzała kolejno wszystkie lalki; sprawdziła z zewnątrz i wewnątrz każdy mankiet i szew.

– Nie ma metek – powiedziała. – Mogły być szyte na zamówienie.

– Więc ktoś musiałby umieć szyć.

– Można je kupić – wyjaśniła Janelle. – Na Etsy albo gdzie indziej online. Ubranka dla lalek są powszechnie dostępne. Zamówienie kilku takich strojów to łatwizna. Logo na tiszercie namalowano farbą do tkanin – i to, notabene, kiepsko. Myślę, że pochodzenie tych ubranek da się ustalić bez trudu. Tylko dlaczego ktoś miałby nam to robić? Nam i Carsonowi. Tu pewnie chodzi o podkast.

Ostatnie słowa Janelle wyraźnie pobrzmiwały gniewem.

– Wpieniłaś się – zauważyła Stevie.

– Jasne! Musimy znaleźć porąbańca.

– Kamery. – Stevie wzięła i zamknęła pudełko z lalkami. – I musisz je ukryć tak, żeby nie zobaczyła ich Nicole.

Janelle podniosła torbę i przystąpiła do pracy. Stevie nawet nie dojadła hot doga i nie dopiła napoju, gdy Janelle założyła pierwszą kamerę pod kinkietem przy drzwiach. Inną schowała za otworkiem w siatce w oknie, pomiędzy blokadami z kutego żelaza. Wyszła na komodę i założyła trzecią przy suficie, nakierowując ją na wewnętrzną stronę drzwi. Załadowała aplikację; w niecały

kwadrans montaż był gotowy. Otrzepała ręce i przez chwilę sprawdzała zasilanie, chodziła wte i wewte przed każdą kamerą, sprawdzając, czy są właściwie umieszczone.

– Obejmują wszystkie kąty – powiedziała. – Mają inteligentne wykrywanie, więc będzie wiadomo, gdy ktoś wchodzi. Większość wychowawców robi zabawy orientacyjne. My, jako wyjątkowi, cały dzień rozpakowujemy i układamy przybory plastyczne. Które ponoć już są.

Przeszły do pawilonu sztuki, gdzie Janelle na moment zamarła.

– O rany! – westchnęła na widok niezliczonych stosów pudeł. – Ileż tutaj będzie wypakowywania i układania!

Słowa Janelle przepełniała radość.

– Mam cię na chwilę zostawić? – spytała Stevie.

– Może...

Gdy Janelle przystąpiła do wymarzonego zajęcia, Stevie zaczęła rozwiązywać problem.

Powijmowała lalki z pudełka i ułożyła na stoliku przed sobą. Lalkę Sabrinę. Lalkę Diane. Lalkę Todda. Pochłapane czerwoną farbą. „To jasne i proste. Nad wiadomością na ścianie domku trzeba będzie dobrze pogłówkować”.

Nie mając pojęcia, jak ją tam umieszczono, Stevie przełączyła się na pytania o powody. „Czemu zostawił nam wiadomość? Po co podłożył pudełko ze «zwłokami» na trasie biegu Carsona? Co chciał przez to osiągnąć? Wywołać strach. Naturalnie”.

Kupienie lalek i uszycie dla nich strojów wymagało czasu – podobnie zagadkowa akcja w domku. Nikt by się z tym nie uwinął w ciągu zaledwie kilku godzin między występem Carsona a ich powrotem do obozu. Musiano więc to szykować przez co najmniej parę dni.

„Czyli ktoś wiedział, że przyjadę, i mnie sobie wygugłował”.

Było całkiem możliwe, że słuchy o planach Carsona dotarły do miejscowych, nim je zdążył ogłosić. „Czyżby ktoś z miasteczka chciał w ten sposób udaremnić podkast?”

Gróżb jednak nie opatrzone dodatkowym komunikatem – nikt nie zaznaczył: „Przestań robić podkast, Carsonie”.

„Więc może trzeba się zająć kwestią «w jaki sposób?»” Ale nadal trudno było jej to określić. „Jak z wyprzedzeniem namalować na ścianie wiadomość i to jeszcze tak, żeby była niewidoczna?” Przez kolejną godzinę wyszukiwała w internecie farby, barwniki i znikające atramenty, nie znajdując jednak wyjaśnienia zagadki pojawienia się wiadomości.

– To pewnie było coś z farbą? – Zachodząc Janelle od tyłu, nastraszyła ją, gdy ta segregowała druciki do wyginanek według wielkości i koloru. Wyjęła z uszu słuchawki, wpuszczając do pawilonu sztuki muzykę. – Farba – rzekła, siadając na posadzce naprzeciw Janelle. – To musiało być coś z farbą. Ale w sieci nie ma nic o takiej farbie, która by mogła zadziałać jak u nas. Pewnie chciał mi napędzić strachu.

– I mnie – dodała Janelle.

– Nam. Ale to też jakby prezent dla mnie. Niemożliwa układanka. Coś, na punkcie czego wariuję.

– Może masz fana? – podrzuciła Janelle.

„Coś jest na rzeczy” – stwierdziła Stevie. – „Fan? Czubek opętany prawdziwymi zbrodniami, który chce pomieszać szyki nastoletniej detektywce... Choć to nie tłumaczy podrzucenia Carsonowi lalek – jeśli chodzi o domek, na pewno ma sens”.

– Fan – powtórzyła. – Ktoś chce pograć? To pogramy.

– Boże, tylko nie to.

Telefon Stevie zabuczał, więc sprawdziła esemesy. Jeden był od Nicole. „Przyjdź do stołówki” – przeczytała.

– Wzywają mnie – rzekła. – Jak nie wrócę, masz mnie pomścić.

Drogę do stołówki pokonała z dziwnym lękiem. Nicole pracowała na laptopie przy stole.

– Ktoś chciałby z tobą mówić – poinformowała. – Jest tam.

Na najdalszym krańcu sali siedziała Allison Abbott, sama, zanurzona w myślach. Gdy Stevie do niej podeszła, podniosła głowę i się wyprostowała. Stevie zebrała się w sobie. „Dostanę w skórę od krewnej ofiary”. Usiadła mimo wzbierających mdłości.

– Dzień dobry – przywitała się.

– Stevie – odparła Allison. – Chciałam cię przeprosić za wczoraj.

Stevie nie kryła zdziwienia takim obrotem sprawy.

– Ludzie na ogół odnoszą się do tego tak, jakby to był jakiś slasher – ciągnęła Allison. – Straciłam siostrę. Jakaś gnida zabrała mi siostrę. A teraz Carson żeruje na jej pamięci – dał nam czytelnię, żeby się wkraść w nasze łaski. Niech idzie do diabła! Ale ciebie nie chciałam urazić.

Odchyliła się na krześle, obserwując Stevie, która nie miała bladego pojęcia, jak na takie dictum zareagować. Zapadło ciężkie milczenie, zalatujące gotowanymi kiełbaskami.

– Po co tu przyjechałaś? – zapytała Allison.

– Bo dostałam wiadomość...

– Tu, znaczy do Barlow Corners, do tego obozu. Carson z całą pewnością sprowadził cię tutaj specjalnie, dlatego wczoraj byłaś na otwarciu. Prócz tego przedstawia cię każdemu jako dziewczynę z Akademii Ellinghama i swoją partnerkę w tym całym projekcie. Wiem, na czym zależy jemu. Ale po co przyjechałaś ty?

Stevie starannie rozważyła jej słowa.

– Ponieważ... chcę... bo ludzie potrzebują odpowiedzi. Bo ktoś powinien coś zrobić.

Allison przechyliła głowę. Przez chwilę się nie odzywała. W żołądku Stevie kiełkował niepokój.

– Wiesz – wyznała Allison. – Tyle na jej temat pamiętam... Masę najdrobniejszych szczegółów. Na przykład to, jak tamtego lata siadałyśmy przed domem i lizaliśmy podwójne wiśniowe lody na patyku. Jak żeśmy objeżdżały na rowerach miasteczko. Zabrała mnie autem na wrotkarnię, no i ze mną jeździła. Pomagała mi odrabiać zadania. I jedno z ostatnich zdarzeń, które zapamiętałam z tego lata... Któregoś popołudnia – tuż przed przeprowadzką Allison do obozu – siedziałam przy niej w jej pokoju i puszczała mi płyty Fleetwood Mac. Wstała, owinęła się długim szalem i zaczęła tańczyć jak Stevie Nicks. Uwielbiała Stevie Nicks. Zachwyciłaby się twoim imieniem.

– Mam na imię Stephanie – odparła Stevie. – Całe życie mówią mi „Stevie”. Sama nie wiem czemu. Ale i tak mi to bardziej pasuje.

– Na pewno by ją zachwyciło – odpowiedziała Allison. – Gdyby nie zginęła, celowałaby we wszystkich swoich pasjach. Nikt by jej pokonał. Żyła pełnią życia. Była niepowstrzymana. – Postukała palcami o ceratę. – Tak się składa, że znam Kyoko, bibliotekarkę z twojej szkoły. Poznałyśmy się na zjeździe bibliotekarzy. Wczoraj się z nią skontaktowałam i opowiedziała mi o tobie. Opowiadała o twoich osiągnięciach w Akademii. W nocy i rano poczytałam o tym trochę. Widać, że sobie nie odpuszczasz. Tak jak Sabrina. Wciąż z nią rozmawiam. Znaczą: udaję, że rozmawiam. Myślę, co by mi podpowiedziała w tej chwili. Poradziłaby, abym dała ci szansę. Muszę wracać do biblioteki. Cały ten tydzień będę po pracy zajęta, ale mogłabyś wpaść jutro rano? Chcę ci to i owo pokazać.

– Jasne – odrzekła Stevie. – Bezwzględnie.

– Mieszkam po drugiej stronie jeziora. Można iść ścieżką, ale to trochę trwa, a gdy się weźmie rower, to jakieś piętnaście minut. Masz... – Napisała adres na serwetce z dozownika. – Bądź o pół do siódmej. Zjemy śniadanie. O tej porze zwykle zaczynam jogging. Zapraszam do wspólnego biegu.

Stevie nie miała w zwyczaju spotykać się o szóstej trzydzieści, ale kiwnęła głową z takim przekonaniem, jakby w ten właśnie sposób rozpoczynała każdy dzień. Allison podała jej adres i wyszła. Z drugiego krańca stołówki przyglądała im się Nicole.

– Wszystko w porządku? – zapytała przechodzącą Stevie. Jej ton wskazywał świętą pewność, że nie.

– Prawdę mówiąc, super – odparła Stevie, sama zaskoczona.

Na twarzy Nicole odmalował się wyraz rozczarowania.

W pawilonie sztuki Stevie zastała wystawę farb w słoikach, urządzoną na półkach przez Janelle. Wcześniej dołączył do Janelle spocony i przegrany Nate, z plamami z trawy na szortach, ze sterczącymi i oblepiającymi policzki włosami. Odpoczywał na gładkiej posadzce, wpatrując się w sufit.

– Co to była za sprawa? – zapytała Janelle.

– Allison Abbott przyszła z przeprosinami. Mam wpaść do niej rano, chce mi coś pokazać. Żyjesz?

– Nie – mruknął Nate. – Podobno twoja upiorna przygoda z wiadomością to teraz upiorna przygoda z lalkami. Rozwiązałaś ją już?

– Jeszcze nie – odrzekła Stevie. – Ale rozwiążę. Rozwiążę na pewno.



Nie rozwiązała. Ani po południu, ani przy hamburgerach przy ognisku. Zamiast prowadzić życie towarzyskie, Stevie gapiała się na obraz z kamer i rozmyślała nad wiadomą kwestią, aż w końcu postanowiła wrócić do domku przed czasem. Podeszła ostrożnie, spłoszona przez cienie. Otworzyła drzwi szybko, by zaskoczyć intruza, ale zgodnie z obrazem w domku nie było nikogo. Usiadła na środku podłogi i spojrzała na wiadomość na wysokości trzech czwartych ściany, o starannie wytartych zaciekach. Patrzyła na słowo, a gdy się zamazało, z głośnym westchnieniem zadzwoniła do Davida.

Odebrał momentalnie.

– Czekałem, kiedy się odezwiesz. Wszystko w porządku?

– Zasadniczo. – Przewróciła się na brzuch. – Wciąż nie mam pojęcia, kto zostawił wiadomość, ale wiem, że ten sam osobnik podłożył Carsonowi pudełko krwawych lalek, więc się ciut posunęłam.

David milczał przez chwilę.

– Jesteś?!

– Mhm – odpowiedział. – Wiadomo, że już tak masz, ale to mi się bardzo nie podoba. Jak się czujesz?

– Czuję furię – odparła. – Nie mogę dociec, jak on to zrobił. To nierealne.

– Chciałem czekać na urlop – odrzekł – ale może wziąłbym go teraz? Poproszę o tydzień i przyjadę. Byłbym za parę dni. Niedaleko jest kemping, więc bym się na nim zatrzymał. Popływałbym. Zbliżyłbym się do natury.

Stevie ogarnęła przelewająca się od stóp do głowy fala ekstatycznej energii. „David przyjeżdża. David tu będzie”.

– Serio?

– No, serio.

– Kiedy będziesz?

– Za kilka dni – odpowiedział. – Pożyczę wóz od znajomej.

– Znajoma? Kto ci pożyczy samochód?

– Zazdrosna? Słusznie. Bo ma w sobie seks. Ma też sześćdziesiąt trzy lata i dwie wnuczki. Codziennie ćwiczy jogę. Nastawiała mi kręgosłup.

W ciało Stevie napłynęło ciepło niby słoneczny blask.

„Mam otwartą sprawę i tajemnicę zamkniętego domku, mam tutaj przyjaciół, a teraz będę miała Davida”.

Dotąd chyba nigdy nie rozpierało jej takie szczęście jak w tej chwili.



XII

Stevie miała obojętny stosunek do rowerów. Potrafiła na nich jeździć i tyle. Gdy raz w dzieciństwie dostała rower, nigdy na niego nie wsiadła i opony sflaczały, więc rodzice go sprzedali na wyprzedży garażowej. Teraz zaś rower stał się jej głównym środkiem lokomocji.

Podczas gdy Allison Abbott pokonywała trasę w kwadrans, Stevie pocila się aż trzy – na drogach gruntowych, rzekomo świetnych dla rowerzystów, a w istocie nierównych, dziurawych, zaskakująco wąskich i najeżonych kamieniami. W dodatku dom Allison stał nie tylko po drugiej stronie jeziora, ale jeszcze prawie na samym szczycie wzgórza. Stevie dotarła tam nieco przed siódmą, co uznała za swój wielki triumf. Kiedy Allison otworzyła drzwi, na jej twarzy malowały się zgoła odmienne odczucia.

- Sądziłam, że będziesz nieco wcześniej. – Wpuściła Stevie do środka.
- No... chwilę mi to zajęło.
- Napijesz się czegoś?

Stevie przytaknęła ciężko, z czoła kapał jej pot. Allison przyniosła dużą szklankę wody. Łapczywie pijąc, Stevie przyjrzała się otoczeniu. „Schludnie w tej kuchni. Bardziej niż schludnie – pedantycznie”. Uchwyty wszystkich kubków na półce były skierowane w tę samą stronę. Lodówka ze stali nierdzewnej nie miała na zewnątrz jednej plamki, wewnątrz też – jak spostrzegła Stevie w przelocie –

wyglądała jak prosto ze sklepu. Na blacie nie piętrzyły się szpargały, skrawki papieru czy notatki. Myjka do naczyń schła optymalnie, wyprostowana niczym żołnierz. W otwartej spiżarni stały przezroczyste pojemniki z płatkami i ziarnem. Stevie przyszedł na myśl Herkules Poirot, który zawsze musiał mieć wokół siebie idealny porządek.

– Zaprosiłam cię, bo mam ci coś do pokazania – rzekła Allison. – Tędy.

Stevie weszła za nią na korytarz obwieszony starannie oprawionymi zdjęciami rodziny i przyjaciół.

Co najmniej kilkanaście przedstawiało Sabrinę. Wisiały w równych odstępach i żadne nie było przekrzywione. Dom przypominał galerię. Stevie ruszyła schodami wyłożonymi dywanem, mijając kolejne zdjęcia w ramkach. Allison i Sabrina siedzące na stopniu, z czarno-białym psem. Sabrina i uśmiechnięta Allison bez zęba, pod choinką, otwierające gwiazdkowe prezenty. Sabrina i Allison na plaży, mrużące oczy przed słońcem. Sabrina i Allison nad jeziorem. Cała ściana Sabriny Abbott, kruczowłosej, o wielkich piwnych oczach i szerokim uśmiechu. „Sabrina była piękna, bez dwóch zdań”. Emanowała przenikliwością, zdecydowaniem – i wbrew upływowi czasu jej podobizny tak samo, chociaż pozółkły z uwagi na słabą jakość fotografii z tamtych lat.

Minąwszy nieskazitelną, acz bezosobową sypialnię, Allison i Stevie stanęły pod zamkniętymi drzwiami tuż przy końcu korytarza. Allison otworzyła je i wprowadziła Stevie do mniejszego, zaciemnionego pokoju. „To pewnie gościnny, tylko nie ma tu łóżka”. Obok regałów, wypełnionych po sufit książkami, stały tam komody i fotel na biegunach, ale pośłania nie było.

Po rozsunięciu zasłon w pokoju nagle zrobiło się jasno i przestronnie.

– Światło jest szkodliwe – wyjaśniła Allison. – Dlatego go tutaj nie wpuszczam.

W padającym zza okna blasku Stevie mogła się lepiej rozejrzeć. W pokoju panowała nienaganna czystość, ale nic nie wyglądało bezdusznie. Wszędzie leżały stare książki, podręczniki, almanachy, zeszyty, albumy na zdjęcia. Cały jeden regał zajmowały płyty winylowe, obok których ustawiono mały przenośny gramofon. Stevie zobaczyła białe kartony archiwalne, przejrzyste i barwne pojemniki oraz wiklinowe kosze – każdy drobiazgowo opisany: „Makijaż”, „Przybory do włosów”, „Biżuteria”, „Przybory szkolne”, „Różności z komody” i wiele innych. A wokół i wśród nich drobiazgi, rupiecie: szmaciany Snoopy,

różowy telefon tarczowy, figurka małpki, gruzelkowany flakon. Jak okiem sięgnąć żółwie – żółw przytulanka (duży), żółw poduszka, serwetki i pościel w żółwie oraz wielki realistyczny żółw z ceramiki.

– Rodzice przechowywali rzeczy Sabriny w pudłach – rzekła Allison. – Trzymali je na strychu. Gdy je od nich zabrałam, chciałam je wydobyć, dać im własną przestrzeń. Może to dziwne, że je zachowałam, ale są dla mnie pociechą. Przychodzę tu nieraz posiedzieć, poczytać. W tym pokoju jestem bliżej niej.

Pokój ucieleśniał Sabrinę Abbott, od jej szczotki do włosów po gumki do mazania. Stevie patrzyła na grzbiety książek. Sabrina bez wątpienia była poważną czytelniczką – świadczyły o tym dwie półki klasyki w miękkiej oprawie oraz podręczniki psychologii i historii, a na dokładkę kilka romansów.

– Wiecznie mnie korci, żeby je ułożyć według koloru i rozmiaru – wyznała Allison. – Ale jestem bibliotekarką. Nie mogę tego zrobić. – Spójrz...

Wskazała najwyższą półkę jednego z regałów, na której leżało sześć, siedem notatników. Zdjęła ostrożnie jeden. Okładkę zdobili Snoopy z Woodstockiem, rok – 1977 – wypisano wielką komiksową czcionką.

– To jej ostatni dziennik. – Allison otworzyła go troskliwie. – W każdym razie ostatni, jaki mam. – Popatrz na to.

Położyła dłoń na dacie. Poniżej widniał wykaz:

Fortepian: 1 godzina 15 minut

Algebra: 50 minut

Niemiecki: 45 minut

Fizyka: 30 minut

Historia: 45 minut

– Zapisywała tak co wieczór – powiedziała Allison. – Ile czasu tego dnia poświęciła na zadania. Ciągłe czytam te dzienniki, znam je już prawie na pamięć.

Z pietyzmem zamknęła i odłożyła notes na miejsce.

– Prosiła pani policję o ostatni dziennik – rzekła Stevie.

– To dla mnie skarb. Nie wiem, co bym zrobiła, żeby tylko go odzyskać. Obrazuje ostatnie miesiące życia Sabriny. Mogłabym z nią znowu побыć, pogawędzić.

– Więc wśród jej rzeczy go nie było?

– Zabraliśmy z jej domku wszystko, no i niestety dziennika nie było. Skoro nie ma go policja... A i tak podejrzewam, że go kiedyś mieli i zgubili. Śledztwo, jeśli w ogóle można je tak nazwać, było żałosne. Ale skoro go nie mają, pewnie schowała go gdzieś i zaginął. Mówiła, że dzieci u niej w domku są miłe, ale grzebią w jej rzeczach, bawią się szminką, takie tam. Mogła go więc ukryć przed dziećmi.

Stevie coś zaświtało. „Wrócę do tego później. W pokoju jest tyle do obejrzenia”.

– Oto coś jeszcze – powiedziała Allison, zdejmując z półki niebieskie plastikowe pudełeczko. Było widać, że się cieszy, iż rzeczy jej siostry wzbudziły w Stevie niekłamaną ciekawość.

– Karty wypożyczeń międzybibliotecznych. Znalazłam je w bibliotece na dnie starej szafy na dokumenty. Zobacz, jakie brała książki. Z tego, co ktoś czyta, można się o nim wiele dowiedzieć. Zamawiała książki, nawet gdy już dostała dyplom, aby się przygotować do jesienno-zimowego semestru. Ostatnie tytuły wypożyczyła w czerwcu: *Kobietę w Berlinie* i *Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy*. To czytała moja siostra latem, pracując w obozie. Uczyła się niemieckiego i szło jej wyśmienicie, zawsze ją intrygowały motywy ludzkich zachowań. Zastanawiała się nad wyborem kierunku – pasjonowała się psychologią i historią. Chciała pracować na rzecz sprawiedliwości... Przechowuję każdy drobiazg Sabriny, jaki znajdę. Czasami coś przyniesie ktoś z jej znajomych z ogólniaka – notatkę z zajęć, fotografię, cokolwiek. Wiedzą, że je zbieram. Trochę jakbym układała puzzle z wciąż przybywających kawałków.

Odłożyła karty do pudełka.

– Jestem też archiwistką – dodała. – Wszystko zdobywam po bożemu. Ale wiesz, o co mi chodzi. Sabrina pracowała. Zgłębiała wiedzę. Była ochotniczką. Zostałam bibliotekarką, bo ubóstwiała bibliotekę. Zabierała mnie do niej, więc zawsze czułam się tam jak w domu.

Allison spojrzała na smartwatch.

– Prawie pół do ósmej – rzekła. – Jeśli chcesz rozmawiać dalej, musisz pobiec ze mną.

Stevie bezwzględnie nie biegała, ale miała jeszcze całą masę pytań, więc wyglądało na to, że tego ranka zacznie biegać. Miała na sobie czarne szorty i czarny tiszert, czyli nie ubrała się najgorzej. Co prawda – w przeciwieństwie do sportowego stroju Allison – nie wchłaniało to wilgoci, ale Stevie stwierdziła, że może być.

– Super – odrzekła. – Mogłabym zrobić kilka zdjęć? Tylko dla siebie? Nie dla Carsona. Słowo.

Allison wahała się chwilę, po czym przytaknęła. Stevie fotografowała pokój pod różnymi kątami, bo zależało jej na różnych ujęciach półek. Kiedy skończyła, Allison zasunęła zasłony, spowijając dobytek Sabriny opiekuńczym mrokiem.

– Bieganie pomaga mi niejako znosić stratę – wyjaśniła, rozciągając się na schodach, kiedy wyszły. – Zaczęłam biegać jako nastolatka i już nie przestałam. Rozjaśnia mi to myśli i dodaje siły. Co rano obiegam jezioro. Okolica jest piękna.

Allison ruszyła miarowym truchtem. Stevie za nią. W zaledwie dwie minuty zdążyła się zadyszeć i wypocić (chyba) do ostatniej kropli, nie poddawała się jednak.

– Pamięta pani... coś... z tamtej nocy? – spytała.

Allison oddychała spokojnie, równo.

– Pamiętam wszystko – odparła. – Ale nic istotnego. Siedziałam w domu. Miałam dwanaście lat. Zadzwoił telefon. Później nastąpił niekończący się koszmar.

– Ale... nie... opuściła pani miasteczka?

– Kiedy się zdarza coś strasznego, człowiek po prostu musi zostać. Aż się dopełni sprawiedliwość. A ta się nie dopełniła.

Stevie przez moment nie była w stanie pytać dalej. Gdy zaczęły okrążyć jezioro, starała się dotrzymać kroku Allison – która wyraźnie zwolniła dla niej tempo. Po kilkunastu minutach biegu, kiedy Stevie się ślaniała, Allison wreszcie przystanęła nieopodal kępy drzew. Postawiła nogę na sterczącej z ziemi czarnej krawędzi skały.

– Oto Czubek Grotu – oznajmiła. – Najlepszy widok na jezioro jest stąd. Co rano zatrzymuję się tutaj i go chłonę – jeśli pozwala na to aura. Zimą trzeba tu

bardzo uważać.

Weszła na Czubek. Stevie, z wahaniem, za nią. Mimo że kamień wydawał się stabilny i mierzył dobre trzy i pół metra, nie był zbyt szeroki, a w miarę jak się zwęzał, nabierał lekkiego nachylenia. Ostrożnie postąpiwszy kilka kroków, Stevie zrozumiała, dlaczego Allison się tam zatrzymuje. Zakątek porażał pięknem, rozległe jezioro w dole migotało w porannym słońcu. Drzewa otaczały je zewsząd jakby w czułym uścisku. Ich zieleń tylko miejscami przesłaniała widoczne z góry całe Barlow Corners i obóz. Allison rozruszała ramiona, a Stevie zdołała złapać oddech, żeby powrócić do pytań.

– Z tego, co mi wiadomo – powiedziała – tamtego wieczoru Sabrina odstawała od reszty.

– Wszyscy tak mówią. – Allison usiadła na kamieniu i wyciągnęła nogi. – To typowa reakcja. „Co tam zaniósł porządną Sabrinę Abbott?” A mnie to nigdy nie dziwiło. Chciała się zabawić i tyle. Zasłużyła. Pracowała tak ciężko, że aż trudno uwierzyć, ale była osiemnastolatką, a w latach siedemdziesiątych żyło się nad wyraz swobodnie.

– Mniej więcej wtedy zerwała też z chłopakiem? – zapytała Stevie.

– Tak – odparła Allison. – Shawnem.

– Wie pani, dlaczego ich związek się rozpadł?

– Zwykle rozstanie nastolatków – odpowiedziała Allison. – Shawn był zdolnym chłopcem, mógł zdawać na studia, ale potem poszedł w ślady rodziców – wrócił do domu i się ożenił. Sabrina chciała przeprowadzić się jesienią do Nowego Jorku i zacząć naukę na Uniwersytecie Columbia. Tak się cieszyła swoim nowym życiem. Patrząc na to z perspektywy czasu, rozumiem, co się stało. Shawn był zawsze w pobliżu. Zawsze przemity, ale... ciągle w pobliżu. Stał się dla mnie jakby starszym bratem. Bardzo przeżyłam ich rozstanie.

– Zdarzyło się pani pomyśleć, że...

– To nie on – przerwała Allison. – To prawda, że Shawn się nigdy nie poddał. Według mnie uznał, że to okres przejściowy – i Sabrina wróci. Tamtego lata nie miał pracować w obozie. Jego rodzice prowadzili wypożyczalnię kanoe i kajaków... sporty wodne, rozumiesz. Więc miał pracować tam, ale gdy Sabrina z nim zerwała, znalazł sobie pracę w obozie. Nie było w tym nic dziwnego. Wszyscy tam pracowali. Chciał przebywać wśród znajomych, więc wybrał

właściwie. Przykro zaskoczył Sabrinę, ale jej nigdy nie dręczył. Shawn chorował z miłości, ale to był dobry chłopak. Przy nim włos nie spadłby jej z głowy. I tak zresztą całą noc spędził u Paula Penhale'a.

– Myśli pani, że to Todd Cooper potrafił Michaela Penhale'a?

– Bezwzględnie tak – odrzekła bez chwili wahania.

– Dlaczego siostra zadawała się ze sprawcą śmierci?

Allison głęboko westchnęła.

– Pewnie uznała, że to nie on. Sabrina była bardzo pryncypialna. Może nie chciała dopuścić myśli, że jej kolega popełnił coś tak strasznego. Sabrina była mądra, ale też... młoda, więc zawsze myślała o innych jak najlepiej.

– Czy jednak, pani zdaniem, to, co spotkało Michaela Penhale'a, miało cokolwiek wspólnego z morderstwami?

– Tego nie wiem – odparła Allison.

Ostatni raz się rozciągnęła, dotknęła stóp, po czym wstała.

– Dokończę bieg – rzekła. – Nie wiem, jak ty...

– Cofnę się pod pani dom – odpowiedziała Stevie, dokładając starań, aby zabrzmiało to niedbale. – Zabiorę rower. Wracam do obozu.

Allison z uśmiechem skinęła i szybko wyruszyła w dalszą drogę. Stevie nie do końca była pewna, czy to spotkanie coś jej dało, ale za to przyszło jej do głowy, na czym się ma skoncentrować.

Obmyśliła plan.



XIII

Na koniec drugiej tego dnia gorącej i zbyt spoconej przejażdżki – głównie poboczem drogi, którą śmigają samochody – Stevie wjechała do obozu, zostawiła rower w stojaku, otarła twarz tiszertem (przy okazji pewnie obnażając się przed kilkoma wychowawcami) – i pospieszyła na śniadanie do stołówki. „Dobrze, że noszę czarne tiszerty – pomyślała – bo byłoby widać, że jestem złana potem”. W przeciwieństwie do szkoły Ellinghama, położonej w górach Vermontu i działającej w chłodniejszych miesiącach, w skwarze lata cały obóz aż się lepił od wilgoci. „Ja – mokra. Ciuchy – mokre. Buty przywierają do ziemi. Ręczniki wciąż wilgotne. Włosy niedosuszone”. Wszechobecna tutaj lepkość nęciła chmary owadów.

Od razu spostrzegła, że wszyscy gdzieś się ulotnili. Poza pracownikiem koszącym łąkę i gotującą coś grupką w stołówce wokół nie było żywego ducha. Biorąc pod uwagę obecne cele Stevie – dotarcie do domku i wzięcie prysznic, nim ktoś ją zobaczy lub, co gorsza, poczuje – okoliczności najwyraźniej jej sprzyjały. W domku na razie jej nic nie groziło. „Aplikacja kamery mruga, że się zbliżam, a więc spokojnie: działa”. W blasku porannego słońca przywitał ją duży napis „Niespodzianka”.

– Niespodzianka – odrzekła Stevie.

Zdjęła śmierzące ubranie i cisnęła do pustej walizki, którą postanowiła przeznaczyć na brudy. (Janelle przywiozła z myślą o tym pojemnik na zatrzask,

ale Janelle była Janelle, więc planowała wszystko zawczasu). Pysznic nigdy dotąd nie sprawił jej tyle radości, co dzisiejszy – na świeżym powietrzu. Nawet mimo tego, że pod kabiną coś się najwyraźniej poruszało. Gdy wyszła z kąpieli, czysta i odświeżona, ciszę obozu mąciły tylko ptaki i kosiarka w dali. W pawilonie sztuki zastała Janelle, która stojąc na krześle, wieszła u sufitu ruchomą dekorację.

– Gdzie wszyscy? – zapytała Stevie.

– Poszli na wycieczkę dookoła jeziora. Myślałam, czyby się nie wybrać, ale muszę to zrobić.

Stevie rozejrzała się po pawilonie. Była to konstrukcja łupinowa z betonu, z trzema ścianami i spiczastym dachem, pełna stołów i krzeseł oraz szafeczek na przybory plastyczne.

Jedynym miejscem, gdzie dało się porozmawiać na osobności, był skład nieużywanych przyborów na tyłach budynku. Janelle przeobraziła go z pustego, surowego pomieszczenia w wesołą instagramową fantazję na temat i ku czci rękodziela. Własnoręcznie zrobiła rozmaite przedmioty – wypełnione różnobarwnym piaskiem słoje, rękawice kuchenne, wyplatane bransoletki, wiszące ozdoby z kolorowych paciorków – i jak na wystawie wymyślnie otoczyła je narzędziami niezbędnymi do ich wykonania.

– Znalazłam farbę tablicową – powiedziała, zeskakując z krzesła. – Pozwolili mi nią pomalować tylne drzwi, żeby nam służyły jako tablica ogłoszeń. Zrobię to dzisiaj po południu. Rano porządkowałam zaplecze. Była tam tona śmieci.

– Nie musisz tego robić – zauważyła Stevie. – Wiesz, że masz problem, prawda?

– Zawsze mogę zrezygnować. Chcę. Jak było u Allison?

– Dziwnie – odpowiedziała Stevie, siadając na jednym z dziecięcych krzesełek. – Ale pouczająco. I niezwykle. Allison prowadzi coś w stylu muzeum rzeczy siostry. Przechowuje wszystko, co należało do Sabriny. Dosłownie wszystko. Szczotki. Kawaleczki papieru. Ale teraz już rozumiem, czemu tak jej zależy na dzienniku, więc mam się zamiar skupić na odnalezieniu go dla niej. Nie mam pojęcia, czy to coś wniesie do śledztwa, a poza tym szansa jest jedna na tysiąc. W każdym razie znajdowanie dzienników to chyba moja specjalność.

Fakt. Prowadząc dochodzenie w Akademii Ellinghama, Stevie zlokalizowała ukryty w ścianie dziennik pisany w latach trzydziestych przez pewną uczennicę.

Zaintrygowana relacją Stevie, Janelle aż podniosła głowę – po czym odwróciła się na pięcie i weszła do składziku. Było słychać, jak po posadzce przesuwa kartony. Chwilę później przyniosła jeden i postawiła go na stole.

– Jest pełen starych dokumentów – rzekła, zdejmując wieko. Garściami wyjmowała z kartonu luźne druki z oślimi uszami, różnobarwne, w różnym stanie. – Zwykle blankiety itepe, ale chyba też widziałam... – Janelle przegrzebała pudło i znalazła to, czego szukała. Podała Stevie podniszczony różowy formularz. – Rzuciła mi się w oczy jego nazwa, ale odłożyłam z powrotem, bo to bzdet.

Stevie wzięła i dokładnie zbadała papier.

FORMULARZ ZAMÓWIENIA –
PRZYBORY DODATKOWE
NA ŻYCZECENIE
SABRINY ABBOT
20 CZERWCA 1978 ROKU

Farby: wudne akylowe (60 dolarów)

Ołówki i pęzle (50 dolarów)

Ceramika: szkatułki na pierścionki, stojaki na kolczyki, koty, pieski, słoiki na ciasteczka; kubek na śmieci, żółw, misio, wrotka (28 dolarów)

Sznurki: skórzany, szmaciany (18 dolarów)

OGÓŁEM: 156 dolarów

– Tyle rzeczy za darmo – spuentowała tęsknie Janelle. – Zważywszy na inflację, to oczywiście więcej, ale niech się choć chwilę nacieszę, że tak bajkowo tanio.

Stevie obmacała formularz. „Nic szczególnego – zblakły wykaz przyborów z pudła z bezużytecznymi papierami”.

– Maszyny to był koszmar – ciągnęła Janelle. – Gdy coś pisali z błędem, to już tak zostawało. Pewnie wszystko wlokło się bez końca... Tak czy owak, sądzisz, że Allison chciałaby to mieć?

– Mhm – odparła Stevie. – Na pewno.

– A co z naszym problemem? – zapytała Janelle. – Wpadłaś na coś?

– Nie – Stevie pokręciła głową. – Ale tajemniczy ktoś wyszedł z naszego domku sam, czyli nie jest najgorzej.

„Wyszedł z naszego domku sam...”

Teraz domki stały puste. Nie było w nich nikogo.

Stevie wyjęła telefon i otworzyła pliki od Carsona.

– Mapa obozu z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku – powiedziała. – Gdzieś tutaj jest. – Zaczęła przeglądać pliki i dokumenty, aż w końcu ją znalazła. – Carsonie, boski świrze, zeskanowałeś wszystko! Gdzież ta mapa obozu, mapa, mapa, mapa, mapa...

„Wczoraj dali nam wydrukowane w pakietach powitalnych. Złożyłam ją i – bingo! – wcisnęłam do torby!” Stevie wydobyła mapę i porównała ze skanem.

– Sabrina sypiała w domku Wróbli – rzekła, zerkając na plany. – Domek Wróbli był... czternastką. Gdzie jest teraz? Tu... to domek Pand.

„Lepsza okazja na zajrzenie do domku już się pewnie nie trafi”. Wiedziała, gdzie są wychowawcy, a dzieci jeszcze nie przyjechały. „Cisza jak makiem zasiał”.

– Do zobaczenia na obiedzie, Janelle.

Domki – dwadzieścia kilka – wyglądały identycznie, można się więc było pogubić nawet z mapą. Wkrótce znalazła się przy domku Pand. W podskokach pokonała cztery stopnie i stanęła przed wejściem. Cięższe drzwi zostawiono otwarte, a drzwi z siatką nie zamknięto na klucz. W środku ani dokoła nie zauważyła nikogo. Weszła do chłodnego domku, znacznie większego niż jej i Janelle. Przy stojących w rzędzie ośmiu łóżkach polowych umieszczono barwne szafki i haczyki na ekwipunek obozowiczów. Z popołudniowym upałem walczył ospale wentylator, lecz domek osłaniały drzewa, więc w sumie mógłby się bez niego obyć. Tak jak u Stevie i Janelle okna z siatką były wysoko, a od wewnątrz zabezpieczono je kratami. Ściana ze sklejki w głębi pokoju miała pośrodku przejście zasłonięte zieloną kotarą. Stevie weszła do tego, ciemniejszego

i mniejszego, pomieszczenia. Wychowawczyni bądź wychowawca, który już się tam wprowadził, zostawił czerwoną walizkę, duży worek na siłownię i kilka toreb ze świeżo nabytymi zapasami. Stevie manewrowała między nimi, starając się niczego nie dotknąć. Pomacała cienkie przepierzenie. „Tylko jedna warstwa drewna”. Przesunęła dłonią po ścianach zewnętrznych, szukając skrytek. Na próżno.

Zrobiła kilka zdjęć pod różnymi kątami.

Podłoga była nieco ciekawsza. „Ten domek ma drewnianą podłogę”. Stevie odniosła wrażenie, jakby deski spoczywały bezpośrednio na litej betonowej podstawie domku – ale uznawszy, że to sprawdzi, położyła się na podłodze i zaczęła ją dokładnie opukiwać. Pełzała, postukiwała, wodziła palcami po deskach. Nic nie ustąpiło.

– Co robisz? – odezwał się głos.

Stevie zadarła głowę i zobaczyła w przejściu w ścianie rudowłosą dziewczynę z komórką i przerażoną miną.

Usłyszała, jak ktoś w słuchawce dopytuje:

– Kto? Co?

– Ktoś pełza po podłodze domku – odrzekła dziewczyna. – Czekaj.

– Hej – wybąkała Stevie. – Ja... yyy... czegoś szukam.

„Po pierwsze to prawda; po drugie nie mam innej wymówki”.

– U mnie??? Na podłodze??? A coś ty za jedna?

– Stevie. Ja... przyjechałam wczoraj i... trafiłam tu przypadkiem... no i upuściłam... yyy... klucz.

– Czekaj – powtórzyła dziewczyna do komórki. – Czekaj. Więc niby tu przysłaś i zgubiłaś klucz?

Stevie przytaknęła słabo.

Dziewczyna wyraźnie nie dowierzała, ale też jakby miała wątpliwości, czy Stevie kłamie. Popatrzyła na swoje rzeczy, których nie naruszono.

– Nie ma go tu – rzekła Stevie, wstając i otrzepując kolana. – Sorry, yyy... pomyliłam wcześniej domki... więc... pewnie wypadł mi gdzie indziej. Sorry za kłopot. Na razie.

Na tyle, na ile mogła, Stevie wyszła od niechęci, lecz tak naprawdę nie było w tym cienia swobody. Czuła na plecach spojrzenie dziewczyny. Kłamstwo udało jej się co najwyżej w miarę. „Co miałam powiedzieć? Żeby sobie nie przeszkadzała? Bo jestem oszołomką, która się tam zakradła, żeby się czołgać po podłodze przy jej łóżku. Dlaczego? A, wiesz, z powodu tych morderstw”.

Mimo że była głodna, postanowiła dać sobie spokój z obiadem. Nie chciała tak szybko znów zmierzyć się z rudowłosą. Zaesemesowała do Janelle z prośbą, żeby przyniosła hot doga i picie do domku, z którego przez jakiś czas nie zamierzała wyściubiać nosa.

Ruda skojarzyła się Stevie z Diane McClure, ofiarą udokumentowaną chyba najslabiej. „Diane nie była tak podła jak Todd ani tak porządna jak Sabrina, nie miała też cech «uczynnego» dilerka, który o mało nie uciekł. Żyła sobie po prostu jako czyjaś dziewczyna, no i została czwartą ofiarą”. Stevie padła na łóżko i wzięła w dłoń tablet. Przeglądając pliki, dotarła do krótkiej wzmianki o Diane. Był to poświęcony jej fragment książki o sprawie:

Informacje na temat Diane są nieliczne i skąpe. Z arkuszy jej ocen wynika, że uczyła się średnio, przedmioty zaliczała z trudem, acz jakoś sobie radziła. Nie należała do żadnych kółek zainteresowań. Czarno-białe zdjęcie z jej szkolnej kroniki przedstawia mocno piegowatą dziewczynę o zarazem smętnym i obłudnym uśmiechu. Ma długie, gęste, proste włosy – płomiennorude, czego już jednak na zdjęciu nie widać.

Diane była córką zamieszkałych w Barlow Corners od urodzenia: Douglasa i Ellen McClure’ów. Jej rodzice poznali się w Liceum Ogólnokształcącym Liberty w latach pięćdziesiątych, a w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku związali węzłem małżeńskim. Brat Diane, Daniel, przyszedł na świat w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym, a Diane w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku McClure’owie nabyli Mleczną Księżną, miejscowe bistro. Prowadzili je aż do połowy lat dziewięćdziesiątych. Diane pracowała w nim wieczorami i podczas weekendów.

„Diane lubiła się zabawić” – mówi jej przyjaciółka Patty Horne. – „Ubóstwiała Led Zeppelin i Kiss. Uwielbiała chodzić na koncerty. Prawie zawsze nosiła tiszert tej czy innej kapeli. Taką ją pamiętam – rude włosy

i koszulki z koncertów. Zawsze wiedziała najlepiej, których płyt trzeba słuchać. Była żarliwa. Jak ona kochała ten Led Zeppelin, brak słów”.

W tamtym okresie w liceach pojawiły się palarnie i Diane była częstą bywalczynią palarni w swojej szkole. Na kilku zdjęciach, w kronice z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku, wychyla się przez okno, z papierosem w ręku.

Na początku trzeciej klasy Diane zaczęła umawiać się z Toddem Cooperem, a pod koniec ostatniego roku nauki zostali uznani za jedną z najpopularniejszych par liceum. Na balu maturalnym jednak już nie mogli królować.

„Diane za bardzo kozaczyła” – opowiada inna jej znajoma. – „Gdy wspominałam, co się wtedy stało, myślę... Diane nie poddała się bez walki. Co się tam działo, nie wiem, ale Diane na pewno odeszła z dumą”.

Stevie na moment zapatrzyła się w sufit. „Czy Diane odeszła dumnie? A pozostali?...” Przejrzała plik ze szczegółami obrażeń. „Carson jest ostro nawiedzony, ale akta sprawy przygotował po mistrzowsku”. Otworzyła drobiazgowo opisane rysunki ciał. Todd, Diane i Eric zostali uderzeni w głowę. Todda dźgnięto szesnaście razy. Diane dziewięć. Urazu głowy nie doznała tylko Sabrina – i tylko Sabrina miała na rękach ślady obrony.

„To by znaczyło, że Diane, Todd i Eric zostali uderzeni – bo napastnik pewnie chciał ich obezwładnić. Eric dostał w głowę za słabo, więc udało mu się uciec. Z kolei Sabrina odstaje od schematu. Może dlatego, że była najmniej groźna i napastnik nie musiał rozbijać jej głowy. W każdym razie jeden element nie pasuje. Sabrina, ten ideał, nieziemski istota... wyciąga ręce i broni się przed ciosami noża...”

Stevie podskoczyła, kiedy ktoś stanął w drzwiach.

– Patrz, kogo znalazłam – oznajmiła Janelle, wchodząc z Nate’em, którego koszula zupełnie przemokła od potu. Podała Stevie hot doga i colę.

– Nie polubią mnie tu – rzekła Stevie. – Lepiej o nic nie pytajcie.

Nie zdumiało to ani Janelle, ani Nate’a.



XIV

Reszta popołudnia była wolna od pracy, więc wychowawcy szli do ogólnodostępnego parku, aby popływać i popichcić. Mimo że Nate i Stevie wymigiwali się jak mogli, Janelle ich w końcu przekonała, by przynajmniej spróbowali zintegrować się z ludźmi, z którymi mają spędzić lato.

Wychowawcy Słonecznych Sosen ruszyli bezładną gromadą w kierunku drogi, która dzieliła obóz i park. Drzewa po drugiej stronie rosły gęsto i dawały znacznie więcej cienia. Z ziemi sterczały korzenie, a kręta wyboista droga, wyłożona gdzieś deskami i wiodąca przez niewielkie pomosty, rozchodziła się w różne strony, zmieniając w polne ścieżki lub wysypane trocinami oznaczone dla turystów szlaki. Janelle, Nate i Stevie powędrowali za grupą szlakiem czerwonym, który prowadził w dół, aż ku brzegowi jeziora. Nim tam dotarli, Stevie się zdyszała, bo musieli pokonać dość strome wzniesienie, które kończyło się ostrym urwiskiem. Kiedy gąszcz się przerzedził, ujrzała w oddali spory parking, pełen samochodów. Wokół stały kampery i namioty. Wycieczka dobiegła końca na okolonej skałami i trzcinałą małej piaszczysto-żwirowej plaży.

Grunt z drugiej strony jeziora wyrównano pod obóz. Wszystko tutaj nadal rosło tak jak chciało, drzewa i szuwary otaczały granat wody jak aureola. Jezioro w tym miejscu było rozległe, więc Stevie w końcu zobaczyła wodospad, któremu zawdzięczała swoją nazwę. Wodospad nie zachwyił jej wprawdzie, ale wyglądał

malowniczo. „Tu jezioro jest po prostu mega, a nasze to jakiś przeciek, sadzawka dla dzieci”. Nad falami, a raczej falkami, królowały zielono-błękitne ważki. Unosząc się nad powierzchnią wody, brzęczały niczym drony. Niepewna, czy nie gryzą, Stevie uchylała się, gdy tylko lądowały gdzieś opodal.

„Pewno roi się tutaj od węży”.

Skała po drugiej stronie górowała nad jeziorem niby kiel rozwścieczonego zwierza. Przywodziła na myśl jurę lub wakacje w tropikach, gdzie nurkuje się w wodzie czystej jak kryształ. „Tyle że tu się za bardzo nurkować nie da, woda w Wodospadzie Cudów jest słonawa, a w dodatku można rozbić głowę o ostre kamienie na dnie”.

Z nieba lał się żar tak upiornie nieznośny, że Stevie zapragnęła zanurzyć się w jeziorze – pomimo pływających wkoło liści lilii wodnej, szeleszczących skrzydłami ważek i czyhających, by ją ukąsić, nieomal ocierających się o stopy trylionów węży. Jedni wychowawcy pływali na dmuchanych materacach. Inni skakali do wody z krótkiego mola.

Tylko nieliczni snuli się po plaży jak Stevie i Nate. Janelle, stworzenie towarzyskie, natychmiast nawiązała pogawędkę z dwiema dziewczynami, które przyniosły dmuchany ponton w kształcie jednorożca. Rozebrała się i weszła z nimi do wody. Jej jaskrawożółty kostium kąpielowy aż bił po oczach.

Nowy kolega Nate’a z pracy, Dylan, pozował do zdjęć, wykonując skoki do wody tyłem.

– Chce zostać influencerem – stwierdził ponuro Nate.

– Miło, że macie coś wspólnego – odpowiedziała Stevie.

Nate rzucił jej pogardliwe spojrzenie kątem oka.

– To tylko parę dni – dodała.

– Łatwo się mówi.

Stevie westchnęła i popatrzyła wkoło, łamiąc się, czy by nie spróbować. Z pływaniem łączyło ją tyle, co z jazdą na rowerze – robiła to jako dziecko.

Dotąd nie nauczyła się porządnie pływać. Jej kraul był co najwyżej słaby, więc nie robiła okrążeń. Mimo że w jej wykonaniu przypominał dotkniętego obłędem pieska, to jakoś jej się udawało utrzymać na powierzchni wody.

„Tak czy inaczej jest za gorąco – jednak spróbuję”. Wstała i ściągnęła tiszert, pod którym miała kostium kąpielowy kupiony przed rokiem w dyskoncie.

Przyciasny kostium podjeżdżał jej na pupie i wrzynał się w biodra. Z początku woda była przyjemna, a grunt pod stopami piaszczysty. Gdy Stevie weszła po kolana, poczuła pierwszą falę chłodu. Odważnie postąpiła kilka kroków naprzód, bo ucieczka z wody, gdy się w niej stoi po kolana, nie wygląda dobrze. Miły grunt ustąpił miejsca szlamowi. Spadła temperatura, tak że Stevie znalazła się nagle w lodowej brei. Młóćąc nogami, natrafiała tylko na śliskie kamienie. Jej głowę wypełniły obrazy podwodnych węży i smoków. Gdy coś omiotło jej kostkę, pływanie się skończyło. Rzuciła się w stronę plaży, niecałe cztery metry dalej. „To się nazywa heroiczny powrót” – pomyślała.

– Ekstra zabawa – mruknął Nate posepnie, kiedy padła przy nim na piach.

– Nie przepadasz za pływaniami?

– Pływam – odrzekł, nie podnosząc wzroku znad komórki. – Całkiem nieźle. W podstawówce kapitan drużyny. W pierwszej klasie ogólniaka – reprezentant szkoły.

– Nie mów! – Stevie doznała wstrząsu.

– Serio. Przestałem, bo nie lubię rywalizacji. Ale pływam na medal. A to... – Wskazał bezmiar jeziora. – Wygląda zimno i ohydnie. Baseny lubię. Są pod kontrolą.

– Czemu nigdy o tym nie wspomniałeś?

– Nie było powodu – odparł Nate.

– Raz, w Akademii, spędzaliśmy noc nad basenem...

– No, ale nie dla pływania – dokończył.

Myśl, iż Nate jest wysportowany, była tak zdumiewająca, że Stevie odebrało mowę. Niespodzianki wytrącały ją z równowagi. „Łudzę się, że wszystko przenikam, że dostrzegam aluzje. A nawet nie podejrzewałam, by mógł być mistrzem pływackim. Nawaliłam”.

Z wody wyszedł Dylan z kilkoma osobami – i w naturalnym odruchu nawiązania znajomości usiedli blisko Stevie i Nate’a. Stevie poniekąd się ucieszyła, ale też takie gesty budziły w niej niepokój. Nie bardzo wiedziała dlaczego. „Nie żebym wstydziła się rozmawiać”. Spowodowali to chyba rodzice wiecznymi zachętami, by sobie szukała przyjaciół, tak jakby liczba przyjaciół miała decydować o wartości człowieka. „Ja już mam przyjaciół – Nate’a, Janelle i Davida. Jestem z jednym z nich”.

Zamiast się więc rozglądać za nowymi znajomościami, Stevie spojrzała na imponującą skałę po drugiej stronie jeziora.

– To Szczyt Dwudziestu Trzech – rzekł Dylan, podążając za jej wzrokiem. – Nazwano go tak, bo rzuciły się z niego dwadzieścia trzy osoby.

– Żadne dwadzieścia trzy – wtrąciła jedna z dziewcząt. – Aż tylu ludzi tam nie zginęło.

– Dwadzieścia trzy – powtórzył Dylan. – No bo niby skąd ta nazwa? Zeszłego lata sam skakałem. Totalny odlot.

– Nie bądź idiotą – odparła dziewczyna. – Poza tym, gdyby cię przyłapali, jak skaczesz z tej skały, wyleciałbyś z obozu. – Dramatycznie strzeliła palcami. – Pyk, i po tobie.

– Oczarowana? – Nate zapytał szeptem Stevie.

Dziewczyna zmarszczyła nos na znak, że dowcip niezbyt się udał. A Stevie stwierdziła, że czas już dodać tempa pogawędce.

– Ktoś jeszcze mówi o morderstwach? – spytała.

Kiedy dziewczyna rozwarła usta w zadumie, wychyliła się inna, czarnowłosa, w czarnym stroju kąpielowym, z dopasowanymi do niego czarnymi paznokciami.

– Pewnie – odrzekła. – Ta cała sprawa skrzyni w lesie... W latach siedemdziesiątych grasował seryjny morderca o nicku Drwal.

Stevie oparła się pokusie dokonania stosownych poprawek.

– Złapali go – ciągnęła dziewczyna. – Możesz się przejść do lasu i zobaczyć, gdzie to się stało, ale tam prawie nic nie ma. Byłam tam pierwszego roku, jak zaczęłam tu pracę. Dziwne miejsce. Zostało nawet trochę rzeczy z dnia, kiedy ich pomordował.

„Znowu nieprawda. Jeszcze sekunda, a jej przywalę”.

– Nie żałuj sobie – szepnął Nate.

Dała mu ostrzegawczego kuksańca.

Tamci musieli wyczuć, że Nate i Stevie nie są rozmowni, bo wkrótce zajęli się sobą. Na plaży stał grill i kilku wychowawców opiekowało na nim hot dogi. Dylan z towarzystwem przynieśli sobie kilka i zasiedli do jedzenia.

– Przytrzymaj aparat – poprosił Dylan jedną z dziewcząt.

Gdy to zrobiła, wzięła długiego hot doga i wepchnęła w całości do ust, miażdżąc go i omal nie wymiotując. Nate patrzył na to osłupiały, w poczuciu porażki.

A Stevie jak urzeczona.

– Skurczybyk – powiedziała.

Niechcący za głośno, więc usłyszała to grupa – z Dylanem włącznie.

– Skurczybyk! – Zerwała się na równe nogi i błyskawicznie wymacała w torbie komórkę.

– Nie ty – odezwała się z tyłu Janelle. – Ona jest... yyy...

Stevie oddaliła się na parking, szukając lepszego zasięgu i czekając, aż ktoś odbierze. Wreszcie odebrał.

– Musimy pogadać – rzekła. – Jak najszybciej.



XV

Jako miejsce spotkania Stevie wybrała nieużywaną chatkę na drzewie, w której tego lata miał mieszkać Nate. Na jego przybycie czekało tam łóżko polowe za cienkim drewnianym przepierzeniem.

Ujrawszy chatkę, Stevie pomyślała, że mit „mieszkania na drzewie” jest przereklamowany. W istocie był to piętrowy domek z drewnianymi schodkami, pod którymi przechowywano zapasowy sprzęt sportowy. Podobny do oszklonej werandy, miał pod oknami masę pustych półek na książki, a pośrodku szereg ław, na których kiedyś pewnie leżały poduszki. Jego nazwa była mocno naciągana, ponieważ stał obok drzewa. Opanowane przez pająki, nagrzane wewnątrz niemrawo oświetlała samotna lampa u sufitu.

– Widzisz – rzekła Janelle do Nate’a, kiedy weszli. – Nie masz czego żałować.

Nate nie rozchmurzył się jednak.

Siadłszy na najmniej zapajęczonym miejscu pod oknem, Stevie patrzyła na ziemię w dole – i czekała na gościa. W końcu zobaczyła, jak się zbliża. Ubrany w powłóczyste pomarańczowe spodnie rodem z haremu i tiszert z napisem „Pudełko”, Carson wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie.

– Co się dzieje? – zapytał. – Chyba coś poważnego.

– Wiem, kto zostawił wiadomość na ścianie – odpowiedziała Stevie. – I pudełko na twojej ścieżce.

– Genialnie!!! – krzyknął, ale wzrok miał rozbiegany, a ręce schował głęboko do kieszeni.

– Ty – oznajmiła Stevie.

Janelle i Nate, którym już to ujawniła, spojrzeli na Carsona obojętnie.

– Jaaaaa? Ja...

– Jeśli chcesz coś odpowiedzieć, nie radzę – rzekła Janelle, dosiadając się do Stevie przy oknie.

– Ja tak. – Rozłożony na chropawej podłodze, Nate wodził po niej palcami. – Lubię, gdy Stevie się wścieka.

Carson grzecznie zamilkł i usiadł, krzyżując nogi w pozie jogina.

– Dowiemy się, jak na to wpadłaś? – zapytała Janelle. – Już się nie mogę doczekać.

– Jasne. – Stevie się rozciągnęła, aż jej chrupnęło w karku. – Jak wiemy od początku, napis umieszczono na ścianie z wyprzedzeniem. Domyśliłyśmy się, ponieważ był suchy, a pod moim łóżkiem zostało trochę farby. Poza tym obszukałyśmy cały domek, żeby zobaczyć, którędy sprawca mógł się dostać do środka. Okna są osłonięte siatką i zakratowane, drzwi zamknięto na klucz od środka, a podłoga jest z betonu. Niemożliwe, prawda? Ale siatka w oknie ma otwór o średnicy czterech, pięciu centymetrów. Więc kiedy dzisiaj zobaczyłam, jak Dylan wpycha do ust całego hot doga, uzmysłowiłam sobie, w jaki sposób można wejść do domku przez taką dziurkę.

– Nie tego się spodziewałem – wtrącił Nate. – Ale okej.

– Większy przedmiot da się wsunąć w mały otwór pod warunkiem, że jest miękki – ciągnęła Stevie. – Hot dog był miękki, więc Dylan zmieścił go bez trudu. A co przejdzie przez otwór w siatce? Może na przykład coś takiego.

Podniosła torbę od Carsona. Kciuk i palec wskazujący prawej dłoni złożyła w „oczko”, a lewą wsunęła w nie torbę.

– Materiały – rzekła. – Kto zamówił pełno materiałów w fotorealistyczne wzory?

– No nie! – Pokręciła głową Janelle. – Chyba żartujesz.

– W Domu Natchnień jest ich cała ściana – tłumaczyła dalej Stevie. – Wystarczy drewniany deseń. Pewnie gdzieś tam też wisiał. Namalowałaś napis

na ścianie – na tyle wysoko, by konweniował z oknem i żeby nie był zbyt widoczny. Nie dałeś farbie wyschnąć do końca, bo musiałeś sprawdzić, czy napis nie będzie wystawał spod kawałka materiału, którym go miałeś zasłonić. Starłeś zacieki, żeby nie było ich widać. Doschnięty napis zakryłeś materiałem za pomocą taśmy klejącej.

Wyciągnęła kawałek taśmy, który znalazła pod łóżkiem. Przed spotkaniem zabrała go z domku.

– Potem musiałeś tylko przyczepić sznurek albo żyłkę i przewlec przez okno. W nocy jednym szarpnięciem wyciągnąłeś materiał przez siatkę. Pewnie wtedy musnął mnie po twarzy. Myślałam, że to jakiś robak – a to był twój kamuflaż. Na ścianie tajemnym sposobem pojawiła się wiadomość. Później, rzecz jasna, przygotowałeś krwawe pudełko, które „ktoś ci podłożył”.

– Tak!!! – zawołał Carson, z szerokim uśmiechem. – Tak!!! Jesteś niesłychana!!! – wołał do Stevie. – Odjazd! Bomba! Czuję, że podejmuję słuszną decyzję.

– Co to miało być, sprawdzian? – zapytał Nate.

– Nie sądzę – odrzekła Stevie. – Chciałeś się popisać, prawda?

– Chciałem cię podkreślić – odpowiedział Carson. – Małe przedstawionko, żeby coś się zaczęło dziać.

– Więc postanowiłeś nas nastraszyć i wpędzić w poczucie, że ktoś się nam zakrada do domku i zostawia groźby? – spytała Janelle.

– Ani przez chwilę nic wam nie zagrażało!

– Ciekawe, skąd miałyśmy wiedzieć.

– Ale tak było. – Entuzjazm Carsona nieco osłabł.

– Po co ci ten cyrk z napisem? – zaciekawiała się Stevie. – Zamierzałeś go włączyć do sprawy? By to wyglądało na sabotaż podkastu?

– No tak – odrzekł Carson.

– Nie przyszło ci do głowy, że przy okazji kogoś wkurzysz? – spytał Nate. – Choćby słuchaczy? Gdyby do nich dotarło, że fingowałeś groźby pod swoim adresem?...

– To miała być tajemnica...

– A kiedy chciałeś nam powiedzieć? – zapytała Stevie.

Carson wydobyl z listonoszki zwinięta torbę w drewniany wzór.

– Macie. To wzór z waszego domku. Chciałem powiedzieć jak najprędzej, bo widziałem wasz niepokój. Zobacz, nawet przyniosłem torby.

Rzucił jedną Stevie – która jej nie złapała.

– Wracam. – Janelle aż się zatrzęsała. – Muszę pogadać z Vi.

Spojrzała na Nate'a.

– Zostaję. – Chłopiec rozsiadł się wygodniej. – To zdecydowanie moja sesja myśli.

Stevie mierzyła wzrokiem Carsona, który miał minę stanowczo za wesołą jak na kogoś, kogo przed chwilą przyskrzyniono za zostawianie upiornych napisów. Był tak zadowolony z siebie, jakby władał kosmosem. Tryskał bezbrzeżną radością.

– Żeby było jasne – powiedziała stanowczym tonem Stevie. – Nie przerywam pracy nad sprawą, ale pracuję po swojemu, to znaczy: żadnych przekłamań.

– Pewnie, ja też...

Uniosła rękę.

– Działam samodzielnie – ciągnęła. – Porozmawiam z ludźmi.

– A potem byśmy...

„Czy on się kiedyś zamknie?”

– Zapomnij o „my”. Kiedy coś znajdę, na pewno się dowiesz. Ale pamiętaj: to żywi ludzie, oni czują. Ja z Janelle tak samo. Wiem, że jesteś forsiastym właścicielem obozu, ale miejscowych z ich smutkiem nie kupisz. Mamy się tu przydać, pomóc. A ty co wyprawiasz?!

Zganiony na swych włościach przez siedemnastolatkę, Carson nie okazywał cienia wstydu.

– Słyszę, co mówisz – odparł.

Nate pokręcił głową ostrzegawczo.

– Teraz odpowiesz na kilka pytań – kontynuowała Stevie. – Czy domki od początku miały betonowe posadzki?

Carson wyraźnie stracił rezon.

– Od początku – odpowiedział. – Na wypadek zalania. Jezioro czasem występuje z brzegów.

- Były odnawiane, czy są takie od zawsze?
- Były odnawiane... Chyba w latach sześćdziesiątych.
- Ale w siedemdziesiątym ósmym wyglądały jak dzisiaj?
- Tak – odrzekł. – Czemu pytasz? Myślisz, że betonem coś zalano?
- Nie – odparła Stevie.
- Więc skąd py...
- Nie – powtórzyła.

Carsona zamilkł. Na sekundę.

– Nie omyliłem się co do ciebie – powiedział. – Próbowałem zakłócić porządek, ale obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.



– Ja cię kręcę – rzekł Nate po wyjściu Carsona. – Nie do wiary. Jak ci się odechce być detektywką, możesz zostać dominą. Facet centralnie się skurczył.

Stevie promieniała satysfakcją.

– O co chodziło z tym betonem?

– Dziennik Sabriny – odrzekła Stevie. – Chciałam się zorientować, czy go nie schowano pod podłogą. Wygląda na to, że nie.

– Bardzo wątpliwe, czy gdzieś się uchował. Skoro się nie objawił od siedemdziesiątego ósmego. Przecież go szukali. Jak myślisz?

– Nie wiadomo – odparła. – Nie wydaje mi się, żeby wzięła dziennik na wyprawę do lasu po trawkę. Nie mogłaby usiąść i pisać po ciemku: „Dziś pierwszy raz w życiu będę kupować zioło”.

– Mhm – odpowiedział. – Racja. A może go ukryła w drzewie? W książkach dragi albo coś takiego chomikuje się w dziuplach...

– Kto wie – odrzekła. – Chociaż to ryzykowne. Zniszczyłby się od deszczu albo ktoś by go znalazł. Dziennik chowa się w bezpiecznym, suchym miejscu – i to w zupełnej tajemnicy.

– Dobra, a jebnięci na punkcie sprawy? Zbieracze pamiątek. Gdyby ktoś odnalazł dziennik, byłaby niezła heca.

– Fani zagadek prawdziwych zbrodni to nie seryjni mordercy, więc nie trzymają takich znaleźsk dla siebie. Gdyby dziennik odszukał ktoś taki, na pewno by to rozgłosił. My już tak po prostu mamy.

Nate przytaknął ze zrozumieniem.

– Skupisz się na dzienniku, bo sama sprawa jest, według ciebie, nierozwiązywalna?

– Nie wiem, czy da się ją rozwiązać – odpowiedziała Stevie. – Nie wiem, czy jeśli to możliwe, jestem do tego zdolna tylko ja. Przypuszczam, że bez badań DNA się tutaj nie obędzie. W każdym razie będę się starała znaleźć dziennik – chociaż tyle mogę zrobić dla osoby, która żyje.

– Nie wspomniałaś o tym Carsonowi.

– Carson nie musi wiedzieć – odparła. – Chrzanić Carsona.

– Zgoda. Według mnie to fajny plan. Naprawdę tak czuję. Jeżeli nawet pójdzie trudno, to i tak łatwiej niż szukanie seryjnego zbira z drugiej połowy lat siedemdziesiątych.

Chwilę słuchali cykania świerszczy, cykad czy innych owadów cykających całe lato. (Bo gdy coś cyka, to się słucha).

– Wtedy nie było nic do roboty – stwierdził Nate refleksyjnie. – Zanim powstał internet, ludzie musieli prowadzić dzienniki. Bo jakby inaczej pamiętali, co się dzieje?

– Mhm – odmruknęła Stevie.

– Od jutra będą tu dzieci – przypomniał Nate. – Dzieci. Z dziecięcymi paluszkami.

– Dziecięcymi paluszkami?

– Przestaniemy być bezpieczni. Oby ten drugi wychowawca wyzdrowiał jak najszybciej.



Gdy Stevie weszła do domku, Janelle kończyła rozmowę z Vi. Stevie zobaczyła na ekranie jej krótkie srebrne włosy i różowe lenonki. Romantyczne pogaduchy zostały szybko ucięte. Stevie się przywitała i zaraz padła na łóżko. Łóżko nie było

zbyt pobłażliwe – sprężyny skrzypnęły głośno w proteście. W powietrzu unosił się ostry chemiczny zapach, a wiadomość zniknęła ze ściany.

– Usunęłaś – zauważyła Stevie, kiedy Janelle skończyła rozmawiać.

– Tak, zmiękczyłam kapką denaturatu, a później zeszkrobałam.

– Denaturatu?

– Używa się go do kuchenek turystycznych, był w domku. Smród się szybko ulotni.

– A mógłby zostać dłużej, bo tego lata pewnie nie upoję się zwycięstwem.

Liczyła, że Janelle się poderwie i będzie zaprzeczała. Janelle zawsze dodawała jej otuchy, ale też była realistką. Jej milczenie potwierdziło obawy Stevie.

Zaraz jednak coś ją rozchmurzyło. Nadszedł esemes od Davida:

„Biorę urlop o dzień wcześniej. Do zobaczenia jutro”.



XVI

Stosownie do pogody w Barlow Corners Stevie zbudziła się w cudownym nastroju. „Dzisiaj będzie tu David”. Dziś też miała coś do dania krewnej jednej z ofiar ze skrzyni w lesie. „No i przyjeżdżają dzieci; to jeszcze jeden powód do radości”.

Znowu pojechała na rowerze. Trasa do miasteczka była łatwa – skręcało się tylko dwa razy. Ale większość tutejszych dróg nie miała ścieżek rowerowych ani też poboczy – musiało się jechać wzdłuż krawędzi drogi i liczyć, że nic się nie wydarzy. Kołysała się chwilami i niespokojnie wciskała hamulce, niepewna, czy zaraz nie wpadnie w poślizg i nie zjedzie na trawiaste przydroże albo wpadnie pod rozpędzony samochód. Najwyraźniej tylko ona zmagala się z takimi problemami. Ludzie, którzy śmigali obok na kolarzówkach, całkowicie panowali nad drogą.

Kiedy dotarła do miasteczka mniej więcej pół godziny później, była cieniem siebie, ale za to znacznie wzrosła jej samoocena. Przejechawszy chodnikiem kilka ostatnich przecznic tej podróży, zatrzymała się i przymocowała rower łańcuchem do stojaka pod biblioteką.

Zlaną potem Stevie ogarnął w bibliotece przenikliwy chłód. Allison była w nowej czytelnicy; segregowała książeczki z obrazkami. Miała na sobie wesołą żółtą szmizjerkę i żółty naszyjnik z dużych kulek. „Cytrynowy kolor i świetnie dobrana ozdoba na pewno spodobałyby się Janelle”.

– Dzień dobry – rzekła cicho Stevie.

Allison się odwróciła.

– Mam coś dla pani – powiedziała Stevie. Sięgnęła do plecaka i wyjęła zamówienie na przybory plastyczne. – Znalazłyśmy to, porządkując pawilon sztuki. Było w wielkim pudle śmieci, ale... Wiem, że zależy pani na wszystkim, co wyszło spod rąk Sabriny, no więc...

Allison spojrzała na papier, a później na nią – z dziwnym wyrazem twarzy.

– W pawilonie sztuki? – zapytała.

– Tak. Sprzątałyśmy go. Właściwie Janelle, no i ona to znalazła, więc pomyślałam...

Allison skierowała wzrok na papier. Minę miała nieprzeniknioną, ale Stevie poznała po oczach, że jest bardzo przejęta. Nioswojona z silnymi emocjami Stevie poczuła, że najlepiej będzie się wycofać.

– Chyba już pójdę – bąknęła.

– Tak... – odparła Allison nieobecny tonem. – Tak.

Stevie była w połowie drogi do drzwi, kiedy Allison podbiegła i delikatnie ujęła ją za rękę.

– Dziękuję – rzekła. – To... miło z twojej strony. Serdecznie dziękuję.

– Żaden kłopot – odparła Stevie zgodnie z prawdą.

– Sabrina nie miała pojęcia o pisaniu na maszynie – wyznała Allison. – Śmiała się z niej cała rodzina. Sabrina potrafiła wszystko, ale na maszynie nie napisałyby bez błędu, nawet gdyby od tego zależało...

Allison rozważyła dokończenie zdania, zamrugła i zmieniła temat.

– Jak ci idzie research?

– Nie najlepiej – odrzekła Stevie. – Przez to, co zrobił Carson, nikt pewnie nie zechce z nami rozmawiać.

– Jeśli ja poproszę, to zechcą – odpowiedziała pogodnie Allison. – A z kim zamierzasz pomówić?

– Z każdym, kto się tylko zgodzi – odparła Stevie. – Ze świadkami tamtych zdarzeń. Z Shawnem Greenvale'em, Susan Marks, Paulem Penhale'em...

– Spieszysz się?

– Niekoniecznie.

– Chodźmy – rzekła Allison. – Gabinet Paula jest zaledwie kilka drzwi dalej.



Przychodnia Weterynaryjna Barlow Corners mieściła się dokładnie czworo drzwi dalej – obok studia pilatesu. Był to niezwykle pogodny gabinet utrzymany w jaskrawych kolorach. Wszędzie wisały namalowane kredkami przez dzieci portrety ich ulubieńców, w większości opatrzone podziękowaniami dla doktora Penhale'a za opiekę nad nimi. Obok ekspresu do kawy stała misa pełna ciasteczek prosto z pieca. Za biurkiem siedział starannie przystrzyżony siwy mężczyzna w stroju chirurga w komiksowe szczeniaki. Stevie przypomniała sobie jego twarz z pikniku.

– Cześć, Joe – rzekła Allison. – Paul ma pacjenta?

– Tak, ale powinien zaraz skończyć.

Ledwie to powiedział, drzwi się otworzyły. Wyłonił się zza nich mężczyzna w kasztanowym uniformie, z kędzierzawym pieskiem w ramionach. Piesek miał głupiutką minę i zabandażowane ucho.

– Może pani zdjąć mu bandaż dziś wieczorem – powiedział lekarz, oddając pieska kobiecie w poczekalni. – Ale kołnierz będzie musiał nosić przez tydzień, dopóki nie rozpuszczą się szwy. No i przez jakiś czas nie ma mowy o kontakcie z innymi psami.

Gdy właścicielka zapłaciła za usługę, podszedł do nich, by się przywitać.

– Cześć, Allison. – Nieco zmieszany, spoglądał raz na nią, raz na Stevie. – Co słychać?

– To Stevie z tego pikniku... – odrzekła Allison. – Pamiętasz.

– Niezapomniany wieczór – odparł, ale grzecznie uklonił się Stevie.

– Stevie jest w porządku – uspokoiła go Allison. – Byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś się zgodził udzielić jej wywiadu na temat sprawy.

Paul uniósł brwi, zaskoczony.

– Poważnie?

– Poważnie – zapewniła. – Stevie jest w porządku.

Gdy kobieta z pieskiem wychodziła, Paul pomachał jej na pożegnanie. Potem zwrócił się do mężczyzny za biurkiem, który wklepywał coś w harmonogram

z prędkością światła.

– Kochanie, kiedy jest następny?

– Masz czterdzieści pięć minut – poinformował mężczyzna. – Właściciel prosił o przeniesienie sterylizacji z piętnaście po dziesiątej na dzisiejsze popołudnie.

– Wygląda na to, że mam trochę czasu – rzekł Paul. – Przyda mi się łyk kawy. Co ty na to, Joe?

– Możesz wyjść – zgodził się Joe. – A ja rozpakuję narzędzia chirurgiczne.

– To mój mąż – wyjaśnił Paul. – Dzięki niemu to wszystko się kręci.

Joe nie zaprzeczył. Spojrzał zza biurka na Stevie.

– Więc obóz teraz należy do gościa od Zapakuj? – zapytał.

Stevie pokiwała głową.

– I chce robić podcast o... tym, co się wtedy stało? Ma szeroki zakres kompetencji. Ale trzeba przyznać, że te jego pudełka są super.

Stevie wzruszyła ramionami, bo Joe się nie mylił. „Iście wybuchowa mieszanka zainteresowań”.

– Joe lubi porządek – wytłumaczył doktor Penhale. – Raz nawet zażartowałem, że gdyby mógł, urządziłby nasz miesiąc miodowy w sklepie z pojemnikami.

Joe uniósł ręce w geście „Przyznaję się do zarzucanych mi czynów”.

– Zatem wszystko ustalone – podsumowała Allison. – Gdybyś czegoś potrzebowała, to zwróć się do mnie.

Skinąwszy, wyszła.

– Widać wywarłaś na Allison duże wrażenie – rzekł Paul. – A skoro jesteś w dobrych układach z Allison, jesteś w dobrych układach ze mną. Przespacerujmy się do Patty. Weźmiemy kawę, colę czy coś.

Przeszli na drugą stronę ulicy – do Słonecznych Wypieków. Patty Horne była na zapleczu, dekorowała tort. Pokiwała im, nie przerywając pracy, a kawy wbiła na kasę i przygotowała jej asystentka. Paul uparł się, że zapłaci. Wszystkie stoliki były wolne, więc usiedli przy oknie. Zgodnie z nazwą, cukiernia była bardzo słoneczna. Ozdobiony czerwoną gerberą w słoju miły żółty stolik tonął w promieniach słońca.

– No więc jak ci mogę pomóc? – zapytał Paul.

– Pozwoli pan, że będę nagrywała? – pytając, Stevie wydobyla komórkę. – Nie do podcastu. Dla siebie. Żeby czegoś przypadkiem nie zapomnieć.

Paul wykonał zamaszty gest wskazujący, aby robiła, co uważa za stosowne.

– Zdaje się... – zaczęła Stevie – i pożałowała tych słów. „Powinnam mówić bardziej pewnie, z większym przekonaniem. Tylko że to nie takie proste”. Miała przed sobą kogoś, kto stracił brata tak, jak Allison siostrę, a Patty przyjaciół. Każdy tutaj kogoś stracił i każdemu współczuła.

Paul czekał. „Muszę być bardziej kategoryczna”.

– Pana brat – rzekła. Nie pytając, ale Paul najwyraźniej zrozumiał. – Jeśli to panu nie przeszkadza – dodała.

Przytaknął, ale spuścił wzrok.

– Daj spokój – odpowiedział. – Od siedemnastego roku życia opowiadam o tym, co spotkało brata... o wszystkim, co tu się stało. Towarzyszy mi to prawie całe życie. Brat zginął w grudniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku, mniej więcej siedem miesięcy przed morderstwami. Przed samymi świętami Bożego Narodzenia. Grał w szkolnej orkiestrze. Na trąbce. Mieli długą próbę przed gwiazdkowym koncertem. Ja byłem w domu. Oglądałem na dole *Starsky'ego i Hutch'a* i odrabiałem zadanie. Zadzwoił telefon i usłyszałem... z góry... ten krzyk...

Przerwał i na moment zapatrzył się w kawę.

– Krzyczała pani Campbell, nasza sąsiadka – podjął. – To się stało tuż za rogiem. Minuta, dwie i byłby w domu. Ktoś wyjechał z za rogu i go potrącił. Pani Campbell usłyszała i wybiegła, była przy nim, kiedy...

Potrząsnął głową.

– Nie umarł od razu. Została z nim do przyjazdu karetki. Umarł w drodze.

– Ludzie sądzą, że to Todd Cooper...

– Ja nie sądzę – wciął się. – Ja wiem. Wiem, że potrącił go Todd Cooper. Wszyscy wiedzą, że to Todd Cooper go potrącił.

Podniósł głos, aż Patty spojrzała na niego znad tortu. Odchrząknął lekko.

– Nie wyszlibyśmy na dwór? – zaproponował. – Tak dzisiaj ładnie.

W ciągu zaledwie kilku minut, kiedy siedzieli w cukierni, zrobiło się cieplej, więc Stevie natychmiast zaczęła się pocić.

– To mała miejscina – powiedział Paul, gdy byli z dala od drzwi i przechodniów. – Tutaj naprawdę wszyscy się znają. W kwestii Todda i mojego brata nie ma więc żadnych tajemnic. Patty, rzecz jasna, wie wszystko. Ale czuję, że ta rozmowa powinna zostać między nami... Zresztą sam nie wiem. Taki odruch.

Niespiesznie ruszyli w stronę skweru – i usiedli na ławce pod pomnikiem.

– W tamtych latach miasteczko wydawało się jeszcze mniejsze – ciągnął Paul. – Wszyscy się ciągle odwiedzali. Wiedzieliśmy, co kto porabia. Znałem Todda. Byliśmy w bliskiej przyjaźni. Todd jeździł brązowym jeepem z czerwonym paskiem. Prowadził szybko, przy głośnej muzyce. No i na haju, pijany. Robiło to wtedy wielu. A Todd robił to często. Nieraz mu towarzyszyłem. Nieraz mało brakowało do wypadku, a my obracaliśmy to w żart. Tamtej nocy doszło do wypadku. Ktoś go widział. Dana Silverman, która też grała w orkiestrze. Wracała do domu z tej samej próby. Z jej relacji wynika, że tuż po wypadku widziała, jak rozpędzony jeep Todda skręca za róg Mason Road i Prospect Avenue. Widziała nawet zwisające z lusterka kosmate zielone kostki... Nazajutrz po wypadku Todd nie przyjechał do szkoły jeepem. Przyjechał autem swojej dziewczyny Diane. Co się dotąd nigdy nie zdarzyło.

– Czy ktoś spytał o powód? – zainteresowała się Stevie.

– Pytałem Diane ja, wiele osób ją pytało. Odpowiadała, że ojciec zabrał Toddowi kluczyki, bo dostał dwóję z jakiegoś ważnego sprawdzianu. Jak już ci wspomniałem, znałem Todda. Woził mnie tym jeepem, więc znałem jego życie na wylot. Jego ojciec pewnie wkurzyłby się o dwóję, ale kluczyków nie zabrałby mu nigdy.

– Nie przesłuchiwała go policja? – spytała Stevie.

– Twierdzili, że tak. Zeznał, że całą noc spędził w domu. Potwierdzili to jego rodzice – zeznali, że wszyscy siedzieli w salonie przed telewizorem.

– Ale na samochód chyba raczej ktoś spojrział...

– Tak powinni byli zrobić – odrzekł Paul z wymuszonym uśmiechem.

– Nikt nie sprawdzał samochodu?!

– Po wypadku jeep nie stał – jak zazwyczaj – na podjeździe. Nikt nie widział tego samochodu przez tydzień. A później, po tygodniu, dostaliśmy od policji raport czy odpis z kartoteki. Wynikało z niego, że ktoś obejrzał jeepa – który nie

wykazywał śladów zewnętrznego uszkodzenia. Mimo że papier był datowany na dzień po wypadku, to nikt – podkreślam: nikt – nie daje wiary, że go naprawdę badali. Pamiętaj, Stevie, to mała miejscina. Ojciec Todda był burmistrzem. Skoro zeznał, że syn całą noc spędził w domu, to syn całą noc spędził w domu. Jeep zniknął, a kiedy się pojawia tydzień później, policja stwierdza, że jest nienaruszony. No to był nienaruszony.

– Czy ktoś zachował rower? – spytała Stevie. – Mogliby sprawdzić stan lakieru.

– Nie daje mi to spokoju – odparł Paul, kręcąc głową. – Był rok siedemdziesiąty siódmy. Kto by się przejmował drobiazgami. Gdy po latach znów pytałem, co się stało z rowerem, usłyszałem, że protokół na ten temat zaginął. Przypuszczam, że się go pozbyli. Rozumiesz: prowincja, wypadek jakich wiele... Przykre, ale cóż poradzić? Tak to na ogół traktowano.

– Skoro wszyscy wiedzieli, że to Todd, jak się potem zachowywali?

– Podzielili się na trzy obozy. Jedni, którzy uznali go za sprawcę, wspierali nas, rodzinę. Inni – nieliczni – sądzili, że tego nie zrobił. Ci doprowadzają mnie do furii, ale najobrzydliwsza dla mnie jest największa chyba grupa – ci, którzy nie zareagowali w żaden sposób, wiedząc, że to Todd. Wiedząc, że Dana go widziała. Wiedząc, że samochód ulotnił się na tydzień. Wiedzieli wszystko, a mimo to stwierdzili, że to przecież tylko wypadek. „Żeby przez byle wypadek niszczyć chłopakowi życie?” Wiedzieli, że burmistrz kłamie – ale kto nie chroni własnych dzieci? Zwłaszcza tak dobry ojciec. Tym ludziom nie potrafiłbym wybaczyć nigdy.

Na moment przerwał, by zmienić pozycję. „Upłynęło tyle czasu, a jego serce wciąż krwawi” – pomyślała Stevie.

– Musiałem dalej chodzić do szkoły z chłopakiem, który przejechał mi brata i nie poniósł kary – kontynuował Paul. – Musiałem go codziennie widywać. Unikaliśmy się. Ponadto musiałem sobie radzić z tym, że jestem gejem, a w istocie to ukrywać. W latach siedemdziesiątych homoseksualizm nie był jeszcze normą, więc kompleks inności starałem się nadrabiać wyglądem. Udawałem bardzo męskiego hetero, macho. Dla mnie i bliskich był to niełatwy okres, ale przetrwaliśmy. Moi rodzice byli niezwykli. Ojciec pragnął sprawiedliwości. Uczciwości. Nie chciał odwetu. Nie był mściwy. Pragnął, żeby ludzie robili to, co do nich należy. Nigdy nie zwątpił, że ktoś się tym zajmie poważnie. Bez przerwy chodził i prosił. Odprawiony z kwitkiem przez policję

lokalną, poszedł do stanowej. Kiedy ta nie pomogła, zwrócił się do miejscowej prasy. Rozmawiał z każdym, kto go nie ignorował... Zatrzymała go śmierć Todda. Siedem miesięcy później.

Paul uniósł dłoń jakby na znak „To tyle”.

– Tamtej nocy był pan w obozie – rzekła Stevie. – W noc morderstw.

– Owszem, tak jak każdy nastolatek z miasteczka. Wszyscy wiedzieli o ich nocnej wyprawie. Było tajemnicą poliszynela, że Eric chodzi kupować zioło. Nielegalny handel był wtedy na porządku dziennym. Sam od niego kupowałem. Kupowali wszyscy. Co tydzień pytał, czego się potrzebuje, dawało mu się kilka dolców, a on gdzieś łąził i odbierał towar.

– Kto mógł wiedzieć, dokąd się udawał? – zapytała Stevie.

– Wszyscy wiedzieli, że gdzieś do lasu – cały proceder odbywał się niemal jawnie. Eric nie zdradzał tylko kryjówki, żeby przypadkiem nie doszło do kradzieży. Zabrał tam Sabrinę, która należała do ich paczki od niedawna. Ta noc pod wieloma względami nie różniła się od innych. Było trzech ratowników – Todd, Greg Dempsey i Shawn Greenvale. Todd wybył do lasu, a Greg miał areszt domowy w którymś z biur zarządu obozu, więc poszedłem odwiedzić Shawna, który mieszkał w domu nad jeziorem. Z Toddem ani Gregiem pewnie bym się tam nigdy nie wybrał. Shawn uczył się gry na gitarze i – jak co drugi chłopak w latach siedemdziesiątych – chciał się nauczyć *Stairway to Heaven* Led Zeppelin. Skontrolowała nas Susan. Potem wróciłem do domku. Chwilę chyba coś czytałem i położyłem się spać. Pamiętam, jak nazajutrz rano obudził mnie krzyk. To naprawdę wszystko, co wiem. Ludzi naturalnie zainteresowała moja rodzina z uwagi na to, co spotkało Michaela, ale teraz los się do nas uśmiechnął. Po śmierci Michaela stale odwiedzali nas sąsiedzi, dokarmiali, otaczali troską, dotrzymywali nam towarzystwa. Oni też, państwo Atkinsowie, wpadli tamtego wieczoru na kolację i zostali pooglądać telewizję. Mama jak codziennie wzięła środek na sen i około pół do dziewiątej poszła spać. Pani Atkins wróciła do domu, a jej mąż został do drugiej – popijał z tatą piwo na werandzie, a potem jeszcze grali w karty. Dzięki temu rodzice uniknęli przykrości. A ja byłem z Shawnem, dopóki się nie położyłem. Drugi wychowawca widział, jak wchodzę. Ogólnie rzecz biorąc, miejscowi dali nam spokój. Choć czasem patrzyli na nas podejrzliwie, wiedzieli, że nie mamy z tym nic wspólnego.

– Jak pan sądzi, co się zdarzyło? – spytała Stevie.

– Gdy odkryto ciała, zapanował chaos – odrzekł Paul. – Policja stawiała na rzesach, ale ją to przerosło, więc od początku wszystko było sknocone. Najpierw twierdzili, że chodzi o narkotyki, ale na letnim obozie nikt nie morduje czterech osób za ziolo, które zostawia na miejscu zbrodni. Kompletny absurd. Zaczęto mówić o seryjnym zabójcy. Brzmiało to poważnie, dlatego ludzie uznali, że musi być sprawcą, ale z czasem ta teoria też upadła. Więc co sądzę?

Podniósł głowę i rozejrzał się wkoło.

– W naszym miasteczku działo się za dużo złego. Wiedziałem o tym i sam tego doświadczyłem. Nie wierzę w klątwy. Nie jestem przesądny. W Barlow Corners najgorsze rzeczy nie wychodziły na światło dzienne. Zawsze wydawały się... swojskie. Coś takiego było w znalezieniu akurat tego miejsca w lesie, właśnie tego dnia, o tej, a nie innej godzinie.

Paul zgniótł kubek po kawie.

– Oby coś ci to dało – powiedział. – Szczerze mówiąc, minęło zbyt wiele czasu. Wątpię, czy kiedykolwiek poznamy prawdę. W każdym razie: powodzenia. Niech przynajmniej pobyt w obozie będzie dla ciebie udany.

Uśmiechnął się i zostawił Stevie samą z myślami, siedzącą w cieniu Johna Barlowa i jego konia.



XVII

Gdy Stevie wyjeżdżała z miasteczka, zmierzając do obozu, coś wpadło jej do głowy. Gwałtownie skręciła w jedną z bocznych ulic, aż zarzuciło rowerem.

Rowerowe odwiedziny miejsca potrącenia rowerzysty to kuszenie losu, zwłaszcza w przypadku kogoś, kto porusza się rowerem dość niepewnie. Ale Stevie nie kierowała się rozsądkiem. Sprawdziła w komórce, jak się tam dostać. Było to, otoczone niską zabudową, anonimowe skrzyżowanie na przedmieściach. Okazało się, że nie ma chodnika, bo trawniki sięgają aż po krawężnik. Rosły tam drzewa i panował niezmacony spokój, a punktu, gdzie tamtej grudniowej nocy Michael Penhale spadł z roweru, nie oznaczono. Nietrudno sobie wyobrazić, w jaki sposób doszło do wypadku. „Wieczorem – wiadomo, panowały tu ciemności”. Nie widząc żadnych świateł, stwierdziła, że wtedy pewnie też ich nie było. „Samochód zasuwa i nie staje albo przecina krawędź...”

Wychyliła się nad kierownicą i uważnie przyjrzała układowi ulic wokół siebie.

Wracając, natknęła się na ostry zakręt na drodze, która wiodła do miejscowego ogólniaka. Patty zeznała, że w tygodniu po wypadku Greg Dempsey rozbił się tutaj motorem. „Fatalne miejsce” – pomyślała Stevie. – „Nic dziwnego”. Zakos okalały gęste drzewa i ogromna skalna ściana. „Zagapił się, nie wyhamował i wpadł na nią. Zakręt śmierci”. Szczątki dawnych pamiątek –

zatopiony w trawie zbutwiały krzyż i pluszowy miś rozlatujący się ze starości – wskazywały, że chwila nieuwagi zdarzyła się tu nie tylko Gregowi...

Ogarnąwszy wzrokiem drogę, Stevie zobaczyła groteskowo wielki billboard szkoły średniej. Sama, na poboczu, w letnim skwarze, czuła się nieciekawie. „W krótkim czasie między grudniem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego a lipcem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego zdarzyła się w miasteczku masa niedobrych rzeczy. Siedem miesięcy tragedii... Okropność”. Zmierzając z powrotem do centrum, trzymała się porośniętego trawą skraju szosy, często zsiadała i prowadziła rower pełna obaw, że ktoś znieścacka napadnie ją od tyłu. Kiedy wróciła, obóz Słoneczne Sosny był odmieniony. Przybyły dzieci. W autach i autobusach, pojedynczo i parami. Z lśniącymi plecakami i w kaskach na skuter. Dotarły, zaburzając piskiem bezbrzeżny spokój jeziora.

Zachowywały się całkiem normalnie, a mimo to ich obecność zmieniała przestrzeń do tego stopnia, że Stevie wpadła w popłoch. A już zaczęła się oswajać z tym miejscem, połaciami pól, które pachniały świeżo skoszoną trawą, brunatnymi domkami, rurami na dworze, oznaczeniami. „To mój pierwszy obóz w życiu, najpierw z ludźmi w moim wieku, a teraz? Dzieci są wszędzie”.

Nagle dotarło do niej, na co się tak naprawdę zgodziła.

Mijała rodziców uwalniających się od zapłakanych pociech. Widziała też, jak uszczęśliwione szkraby wieją, nieświadome, że rodzice nadal mają je na oku.

W stołówce obok Nate'a i Janelle zostało tylko kilkoro wychowawców. Śniadanie już się właściwie skończyło, ale Stevie zdołała uprosić bufetową o zdjęcie folii z porcji zimnych naleśników. Nie zawracała sobie głowy sztucami ani talerzem, wzięła naleśniki przez serwetkę. Złapała kubek ciecicy markującej sok pomarańczowy i dosiadła się do przyjaciół. W tej samej chwili na ławce obok usiadła Nicole.

– Rano byłeś w miasteczku?

Stevie łyknęła kwaśnej podróbki soku.

– Mhm – mruknęła.

– Pamiętam, że dostałaś specjalną zgodę od Carsona, ale przyjechały dzieci.

– Wiem – odrzekła Stevie. „Nie da się ukryć”. Patrzyła, jak wychowawcy zbierają podopiecznych i prowadzą do ich domków w oddali.

– Więc masz coś do zrobienia.

– Tak – odpowiedziała Stevie. – Powrót mi się trochę przedłużył...

– Ja tylko przypominam. – Po tych słowach Nicole wstała i odeszła.

– Lubi cię – stwierdził Nate.

– Nie przejmuj się – dodała Janelle. – Zadbałam o wszystko.

Wyciągnęła segregator z ułożonymi według kolorów tabelami, z których każda była oznaczona karteczką samoprzylepną.

– Uporządkowałam rękodzieło według wieku – wyjaśniła. – To teraz sobie zobacz...

Więc tego ranka i popołudnia Stevie sobie zobaczyła. Przykłady tego, co spisała Janelle, robiły, uczestnicząc w licznych zebraniach, gdzie się należało uczyć imion, poznawać zasady i ze wszystkimi się witać. Dzieci – przynajmniej w większości – były urocze. Najstarsze miały po jedenaście lat, więc poniekąd naturalnie uznały swoich wychowawców za rówieśników. Stevie co chwila zerkała na telefon, sprawdzając wiadomości, aż wreszcie przed czwartą doczekała się najważniejszej. „Jestem na miejscu” – napisał David.

– Na razie – rzekła Janelle z uśmiechem.

Mimo że ktoś ją właśnie upomniał, by nie wychodziła, Stevie nie mogłaby się powstrzymać za żadne skarby świata. Wymknęła się z jednego spotkania i mijając domki, pognąła przez pola i bramę do drogi, która dzieliła obóz i park. Biegła ścieżkami jak na skrzydłach, aż dotarła do miejsca, skąd zobaczyła parking, gdzie przy starym szarym nissanie stał David.

Ostatnio byli razem w szkole w grudniu. Rozdzielił ich los, a także kilka morderstw i pewien senator. Wysyłali sobie filmiki i zdjęcia, więc właściwie się nigdy nie rozstali. Ale od zimnego śnieżnego poranka, gdy Davida zabrano z Vermontu, Stevie nie widziała go na żywo. Znała każdy szczegół jego twarzy utrwalony przez aparat i swą pamięć, ale mając go teraz przed sobą, doznała dysonansu poznawczego. „Zawsze był taki wysoki, smukły, mocno umięśniony? Włożył za dużą koszulę czy zeszczupłał? Zawsze miał takie nogi?” Skrócił zapuszczone w Akademii niesforne, ciemne, kręcone włosy... Wiedziała, bo znała zdjęcia, a jednak nic się nie zgadzało.

Ale zmysły Stevie były nieomyślne. W podskokach pobiegła do Davida, a on niezdarnie ją złapał. Gdy się oparli o drzwiczki, pocałowała roześmianego

chłopca.

„Znów wszystko ma sens”. Obraz poskładał się sam. Wtuliła ufnie twarz w zagłębienie szyi Davida. Gdy ją wziął w ramiona, znowu stali się jednym ciałem. „Jego oddech. Bicie serca. David. David”.

Jak zwykle stała na palcach. Przesuwając się na boki, potykali się, śmiali.

– Czy my się znamy? – zapytał.

Objęła go w pasie.

– Pomożesz mi się rozbić? – poprosił. – Dobrze by było mieć legowisko przed zmrokiem.

Wyjęli z bagażnika ekwipunek – namiot, kuchenkę turystyczną, dwa składane krzesła i stolik. Zanieśli wszystko na puste pole nieopodal brzegu jeziora.

– Śpiwór jest mój – wskazał David. – Używam go w drodze, bo nie zawsze śpimy u czyściochów. Reszta wypożyczona w miasteczku. Wynająłem nawet kajak na przystani. No więc jak się stawia namiot...

Z pozoru proste, rozbić namiotu okazało się niemałym wyzwaniem. Trzeba było wbijać śledzie, odpowiednio się turlać i wtykać rurki do tuneli. Lecz po jakichś dwu godzinach Stevie i David weszli do (stabilnego już) namiotu i od razu wypróbowali podłogę.

„Jakie to intymne. Niepodobne do niczego, co dotąd przeżyłam... nawet w naszych pokojach w Akademii. Totalne szaleństwo w oderwaniu od świata. Nie bez powodu znaleźliśmy się tutaj razem... Żeby być przy mnie, David pokonał szmat drogi. Jedyne powód, dla którego przyjechał, to ja”.

– Niedługo muszę wracać. – Westchnęła.

– Musisz wracać?

Rozważała to dobrą minutę. Pokusa, żeby zostać, żeby się nie ruszać ze śpiwora i namiotu, była ogromna. Ale Nicole wyraźnie ostrzegęła, czym grozi wymykanie się z obozu na noc.

– Muszę iść – stwierdziła Stevie.

– Odprowadzę cię – odrzekł David. – To mordercze lasy, prawda?

– Ale będziesz wracał sam. A te lasy są rzeczywiście mordercze.

– Słuszna uwaga. Zostań.

– Przestań – odparła. Odpychając go, wcale nie chciała, by przestał. W jednej chwili zaczęli się całować, a skończyli dopiero, gdy do Stevie zadzwoniła Janelle z informacją, że Nicole kręci się w pobliżu i wkrótce zamkną na noc bramę.

– Naprawdę muszę iść – powiedziała Stevie. – I to zaraz.

– Więc cię odwiozę – zaofiarował.

„Ale wygoda – mieć tu teraz samochód”. Starając się doprowadzić do porządku, Stevie wkładała skarpetki i buty po drodze. David wyprowadził samochód z parkingu, po czym ruszyli drogą dzielącą park i Słoneczne Sosny. Przejechawszy prawie cały podjazd, zatrzymali się przed bramą i światłami. Stevie wyskoczyła w ciepłą noc. Machając do Davida i bacznie się rozglądając, pobięła prosto do domku. Kiedy Nicole sprawdziła je ponownie, Stevie leżała w łóżku, wpatrzona w tablet, tak jakby w ogóle się stamtąd nie ruszała.



XVIII

– *Dzień dobry w Słonecznych Sosnach!*

Stevie zamrugała w poduszkę i odwróciła głowę, by spojrzeć na Janelle. Janelle nie było. Gdy Stevie zebrała rzeczy i wyszła, żeby wziąć prysznic, zastała pod łazienką długą kolejkę dzieci. Janelle stała gdzieś w połowie.

– Jest niedobrze – powiedziała na głos.

Kolejka była tak długa, że Stevie zrezygnowała z kąpieli i poszła z Janelle na śniadanie. W stołówce już czekał Nate. Chwycił tacę i stanął w kolejce między nimi, a potem wszyscy usiedli przy stole.

– Jak pierwsza noc? – zapytała Nate’a Janelle.

– Widziałyście tego małego rudego? – odrzekł. – W niebieskiej koszuli? Na imię mu Lucas. To mój arcywróg.

– Nie można mieć ośmioletniego arcywroga – zauważyła, wybierając winogrona z pucharka owoców.

– Nie ucz mnie żyć. Jest... Rany boskie, idzie do nas!

Rzeczywiście – Lucas arcywróg spostrzegł Nate’a i zmierzał w ich stronę, jedząc palcami kiełbaski. Usiadł przy stole bez pytania o zgodę i popatrzył na dziewczęta.

– Kolegujcie się z nim? – rzucił.

„Bezpośredni ten Lucas” – pomyślała Stevie.

– Tak – odparła słodko Janelle. – Razem chodzimy do szkoły.
– Czytałem jego książkę siedem razy – oznajmił.
– Ojej! – zdziwiła się Janelle. – To dużo!
„To bardzo dużo, zwłaszcza że ma dopiero osiem lat”.
– No – zgodził się Lucas. – Ciągłe czekam na następną. Mówi, że nie skończył.
Głowa Nate’a zapadała się w ramiona niczym zjeżdżająca winda.
– Możecie mu kazać skończyć? – zapytał Lucas.
– Raczej nie – odrzekła Janelle. – Ale skończy na pewno.
– Mam pomysły.
– Napisałem ją – burknął Nate, gdy Lucas wrócił do stołu swojej grupy. – Nie potrzebuję pomysłów.
– Poniekąd potrzebujesz – mruknęła pod nosem Janelle.
– Trafiłem do piekła.
– Ma osiem lat – przypomniała. – A już przeczytał twoją książkę. To miłe.
Nate wzdrygnął się ze zgrozą.
– Niedługo będziesz miał więcej czasu – ciągnęła Janelle. – Jeszcze tylko dzień, dwa i przyjedzie nowy wychowawca.



Sądząc, że poranek był gwałtownym rozpoczęciem akcji, Stevie nie wiedziała, co może jeszcze przynieść dzień. Z chwilą sprzątnięcia tac ze stołów wszyscy obozowicze przenieśli się na plac – gdzie, zebrani pod sztandarem, ślubowali mu wierność i wysłuchali obwieszczeń. Później grupy się rozeszły – i zaczęły się zajęcia.

„Całe szczęście, że Janelle jest taka, jaka jest”. Pawilon sztuki był gotowy. Zapewne nigdy w dziejach obozu nie był gotowy tak jak tego ranka. Janelle marzyła o tej chwili całe życie i marzenie w końcu się ziściło. „Te dzieci nie mają pojęcia, co je czeka. Będą tu tworzyły rękodzieło jak szalone”.

Przez kilka godzin nie było śledztwa, nie było Davida. Były natomiast kolorowe druciki, markery i zaokrąglone nożyczki. Z palcami oblepionymi klejem, z rękoma po łokcie w farbie, Stevie pomagała robić sześć trzepocących

skrzydłami sów z papierowych talerzy, kilka koralikowych naszyjników i malunek (za pomocą stóp) na papierze pakowym. W czasie krótkich przerw, gdy dzieci opuszczały pawilon, Janelle zamiatała po nich tak rozanielona, jakby jej trójca święta – rękodzieło, organizacja, sprzątanie – doprowadzała ją do kosmicznego orgazmu. Nadszedł obiad i się skończył. Minęło popołudnie. Nate spędził kolację schowany za jednym z filarów stołówki, a potem gdzieś się ulotnił – i tak dobiegł końca pierwszy dzień.

– Przyszykuję się na jutro i pogadam z Vi – rzekła Janelle. – Do zobaczenia w domku.

W drodze powrotnej Stevie zadzwoniła do Davida.

– Nareszcie – westchnął. – Zastanawiałem się, gdzie jesteś.

– Strasznie tu dużo... – Rozejrzała się nerwowo. – ...małych dzieci.

– Na letnim obozie? Nie do wiary! Więc trzeba kogoś o tym powiadomić.

– Ponadto muszę wyjść tak, by nie połapała się szefowa obozu. Przy dzieciach pewnie będzie trudniej. Dzieci są bardzo spostrzegawcze.

– To może ja się tam przejdę? Raczej – podpłynę kajakiem. Do południa wiosłowałem po drugiej stronie jeziora i nurt jest w pewnym miejscu na tyle głęboki, że spokojnie da się przepłynąć. Zajmie mi to ze trzy minuty.

Plan Davida był niezły. „Obejście jeziora trwa przeraźliwie długo, ale przepłynięcie to pestka, a poza tym miejsc, gdzie można zacumować kajak, jest pełno”. Stevie miała niejasne wrażenie, że tego robić nie wolno, ale niejasne wrażenie to przecież nie pewność.

Zapał fioletowy zmierzch, gdy Stevie siedziała sama po drugiej stronie domu nad wodą. Z daleka dobiegały śpiewy dzieci, a wkoło latały mrugające świetliki. Noc była nasycona magią, nim jeszcze, wyłoniwszy się z lśniącej czerni, David wyciągnął żółty kajak na piach.

– Megawejście – oznajmił. – Co?

Stevie z miejsca zauważyła, że tej nocy postarał się bardziej. Włosy jak zwykle miał zmierzwione, lecz niebywale artystycznie. Włożył obcisły czarny tizert, w którym go nigdy dotąd nie widziała, więc natychmiast stwierdziła, że go kupił, aby podkreślić swe walory. Do tizertu idealnie dobrał długie kąpielówki i japonki. Schylił się i szepnął jej do ucha:

– Czy pani tutaj mieszka?

Ciałem Stevie wstrząsnął dreszcz. Omal się nie rozleciała, jakby z niej naraz wypadły wszystkie śrubki. Wzięła Davida za rękę i trzymając się z dala od światła i ludzi, powiodła go przez cały obóz do siebie. W ułamku sekundy przemknęło jej przez głowę, jak wieki temu Sabrina i inni wymykali się do lasu. „Podnieta grzesznej przygody w mrocznym ciepłym miejscu nieopodal jeziora...” Wczuła się w nich i zjednoczyła z nimi do głębi. Olśnienie zaraz uleciało. Dotarli do domku i zamknęli drzwi. Chwilę potem leżeli w łóżku. Ni stąd, ni zowąd rozległo się walenie do drzwi. Gdy rozchyliła powieki, oczy boleśnie zapiekły ją od światła. Zerwała się i wyprostowała, przyglądając ubranie. David nie miał się gdzie schować, w domku nie było szaf. Nie miała wyboru, więc otworzyła drzwi, przygotowana na najgorsze.

Na schodku stała Nicole z ponurą miną. Zajrzała do środka i zaparło jej dech.

– Coś ty za jeden? – spytała Davida, który siedział na skraju łóżku, nieco zbyt ubawiony.

– Jestem... – Spojrzał na Stevie, jakby znała klucz do jego prawdziwej, nigdy nieujawnionej tożsamości. – ...David?

– Jaki David? Jak się tu dostałeś?

– Kajakiem?

– Masz się stąd oddalić i to już.

Nicole odczekała, aż David wstanie i doprowadzi się do porządku.

– Odprowadzę cię do kajaka – rzekła. – Nie powinieneś pływać po zmroku. Masz latarkę?

– Yyyyy...

– Stevie, daj mu latarkę.

Sterie usłuchała, więc David wziął latarkę z lęklwym uśmiechem. Nim wyszli, Nicole odwróciła głowę i spojrzała ponad drzwi.

– Czy to kamera?

– Nagrywam ptaki – odparła Stevie, nie mając pojęcia, skąd to nagle wytrzasnęła.

– Zaraz wrócę. Musimy porozmawiać.

Niedługo później Nicole wróciła. Pod jej nieobecność Stevie zdążyła posprzątać w domku, tak jakby schludnie ułożone przybory kąpielowe miały

poprawić jej sytuację.

– Musimy sobie coś wyjaśnić – rzekła Nicole. – Wiem, że przyjechałaś na zaproszenie Carsona, ale jeśli cię przyłapię na sprowadzaniu znajomych bez pozwolenia, to stąd wylecisz i nie pomoże nawet Carson. To jest obóz. Dla dzieci. Co oznacza, że spoczywa na nas obowiązek należytej troski. Odpowiadam za każdą osobę na tym terenie. Obcy mają bezwzględny zakaz wstępu. Nikomu nie wolno pływać po jeziorze po zmierzchu. To jezioro bywa niebezpieczne. Słyszysz to ode mnie po raz pierwszy i ostatni.

Wygłoszony śmiertelnie poważnie srogi komunikat dotknął Stevie do żywego.

– Jasne – odbąknęła. – Rozumiem. Jasne.

Sekundę po wyjściu Nicole do domku weszła Janelle. Stevie zorientowała się, że słyszała wszystko. Zamknąwszy drzwi, Janelle spojrzała na nią z szeroko otwartymi oczami.

– Fajny wieczór? – spytała.

– Ja i David zostaliśmy przyłapani na gorącym uczynku.

– Wiem – odrzekła z odrobiną irytacji. – Wróciłam wcześniej. W ogóle mnie nie słyszeliście. Zamknęłam drzwi, no i się wycofałam. Widziałam, jak nadchodzi Nicole, ale mnie wyprzedziła, więc już nie zdążyłam dobiec. Posłałam ci esemesa, ale...

Stevie sprawdziła wiadomości – miała siedem nieodebranych od Janelle.

– Przepraszam.

– Na drugi raz... może mnie chociaż zawiadom. Tyle że drugiego razu już raczej nie będzie, bo dobrała ci się do tyłka. Ale wiesz, o co chodzi. Gdybym miała randkę z Vi, na pewno bym cię uprzedziła.

– Przepraszam – powtórzyła Stevie.

– Nie ma za co. – Janelle podeszła do komody i zaczęła przeglądać kremy i toniki do twarzy, by się przyszykować na noc. Z jej tonu wynikało, że się jeszcze trochę gniewa, lecz już po kilku minutach odwróciła się do Stevie.

– Wietnam jest daleko – rzekła. – Nie każdemu są tu dane nocne schadzki.

Stevie pokiwała głową ze współczuciem.

– Miałabyś przypadkiem dwa tysiące dolców? Potrzebuję pożyczyć na bilet na samolot.

– Mam prawie wykorzystaną kartę na darmową kawę.

Janelle przeciągle westchnęła.

– Za chwilę wracamy do szkoły – chciała ją pocieszyć Stevie.

– Teraz wiem, co czuje Nate – odpowiedziała Janelle. – Nie ma nic dłuższego od chwili.



Kiedy weszły do stołówki następnego dnia rano, Stevie odwróciła wzrok, gdy mijaly Nicole. Nate, który już tam był, nie siedział przy swoim stole, tylko krył się w kącie z tacą naleśników i bekonu.

– Myślałem, że się już was nie doczekam – jęknął, dosiadając się do nich.

– Nie powinieneś siedzieć tam? – wskazała Janelle.

Spostrzegłszy Nate'a, Lucas utkwiał w nim spojrzenie. Nate zgarbił się nad tacą.

– Całą noc – rzekł. – Calutką noc głądził o mojej książce. Głównie o tym, co mu nie pasuje. No i kiedy wyjdzie druga. Wie o tej książce więcej niż ja. Jest jak fanpage w ludzkiej skórze.

– Ma dopiero osiem lat – przypomniała znowu Janelle.

– Nie wiesz, o czym mówię – odparł Nate, kręcąc głową. – Gdzie ten drugi wychowawca? Czemu jeszcze go nie ma? Była mowa o jednym dniu.

– Nicole mówiła o kilku – odrzekła Janelle wbrew wczorajszemu wyznaniu, że go rozumie.

– Ja się na to nie pisałem.

Stevie jadła bekon i obserwowała sprzeczkę przyjaciół. Bardzo jej ich brakowało, kiedy się wszyscy rozstali.

– Nadchodzi twój kolega – oznajmił Nate. – Kapitan Duże Pudło. Torba od Opakowań.

Stevie się obróciła i podążyła za wzrokiem Nate'a. Rzeczywiście: przez trawnik sunął Carson i omijając grupki dzieci, zmierzał w stronę ich stołu. Najwyraźniej z misją, bo mocno marszczył brwi.

– No nie – westchnęła Stevie. – A ten tu znowu czego? Nicole znów mnie okrzyczy, że sprowadzam do obozu świrów.

Nate spojrział na nią z nadzieją, że to zaraz wyjaśni, ale Carson już ich dopadł. Przysiadł na końcu stołu.

– Musimy porozmawiać – szepnął do Stevie zdyszany.

Stevie popatrzyła na gwałtownie stygnące naleśniki.

– Mogłabym dokończyć?...

Pokręcił głową.

– Nie ma czasu.

– Podkast nie czeka – rzucił złośliwie Nate.

Stevie rozplatała stos naleśników, desperacko próbując je pochłonać.

– Posłuchajcie – rzekł Carson. – Allison Abbott nie żyje.



XIX

Stevie zamarła z widelcem w połowie drogi do ust.

– Cooo? – spytała.

– Czubek Grotu – odpowiedział Carson. – Spadła podczas rannego joggingu.

Stevie poczuła, jak świat wolno odpływa. „Dopiero co się z nią widziałam, byłam z nią na porannym bieganiu. Pokazywała mi to miejsce na Czubku, skąd roztacza się olśniewający widok na jezioro...”

– Musimy iść – upomniał Carson.

– Niby po co? – zapytał Nate.

Stevie nie potrzebowała wyjaśnień. Musiała pójść, zobaczyć, zrozumieć. Odruchowo odłożyła sztucce, chwyciła telefon i torbę. W pół drogi do wyjścia zatrzymała ich Nicole.

– Co to ma znaczyć? – spytała Carsona. – Co ty wyprawiasz?

– Stevie jest mi potrzebna.

– Ona tu pracuje.

– Dzisiaj nie – uciął Carson.

Oddalili się, nie czekając na reakcję Nicole. Chwilę potem wsiedli do tesli i wyrwali (a ściśle: w miarę cicho i spokojnie wyjechali) z obozu. Zostawiwszy

w tyle bramę, skierowali się do parku. Stevie zobaczyła przy chatce strażnika radiowóz, który blokował drogę wjazdową.

– Jak się dowiedziałeś? – zapytała tępo.

– Spacerowałem rano, medytując – odrzekł Carson. – Minęły mnie dwa radiowozy i ambulans; jechały w kierunku jeziora. Więc za nimi pobiegłem. Chciałem się tam dostać, ale zatrzymał mnie gliniarz. Pobiegłem do domu i wypuściłem drona, żeby się rozejrzeć i coś podsłuchać. Nakręciłem to i owo, ale zbliżyć się nie mogłem.

Stevie odwróciła się z niesmakiem, lecz nie była zdolna wydusić słowa. Szok był jeszcze zbyt silny, wszystko jej się zamazywało.

– Zamykają główne wjazdy – wskazał Carson, przejeżdżając koło radiowozów.
– Ale możemy się tam dostać przez las.

Zabuczała komórka Stevie. Na ekranie pojawił się esemes od Davida: „Wpadnij, jak możesz”.

David przybył na pięć dni. „Cały nasz czas razem tego lata. Co teraz będzie?” Nie potrafiła o tym myśleć. Wirowało jej w głowie. Odpisała.

„Dzieje się tam teraz coś dziwnego?”

„Nie” – odpowiedział. „A co?”

„W sumie to się zgadza. Jezioro jest wielkie, a Czubek Grotu jest na drugim końcu. David jest bliżej środka, przy Szczybie Dwudziestu Trzech”.

Carson zatrzymał samochód na poboczu.

– Masz – rzekł, podając Stevie małe mikrofon. – Lepsze audio do komórki. Przejdź tędy i zobacz, czy dasz radę nagrać jakichś świadków. Ja się spróbuję podkraść bliżej Czubka Grotu i coś nakręcić.

Stevie o to nie dbała. Musiała wejść do lasu i na własne oczy i uszy przekonać się, co spotkało Allison. Wzięła mikrofonik, wyskoczyła z auta i przebiegła cichą wiejską dróżką. Ledwo otoczył ją las, straciła orientację w terenie. Według telefonu była gdzieś na szosie albo pośrodku jeziora. Błądząc wśród drzew, w końcu dostrzegła rozbłysk wody i odnalazła jedną z wijących się wokół jeziora ścieżek. Zmierzając w stronę Czubka Grotu, starała się trzymać poza zasięgiem wzroku policjantów i pracowników służb ratunkowych, którzy mogliby się tam kręcić. Nie napotkała jednak nikogo oprócz wyprowadzającej psa kobiety, która najwyraźniej nie miała pojęcia, że coś się stało. „Można by w tym lesie zginąć

i nic by nie zauważono – niesamowite. Ten las pożera ludzi w całkowitej tajemnicy”.

Mimo upału Stevie było zimno. Parła naprzód, skołowana, wędrując po drewnianych pomostach nad jamami i wysypanych wiórami ścieżkach, pilnując, aby cały czas mieć jezioro po lewej, kątem oka wypatrując choćby najmniejszego ruchu.

Wreszcie usłyszała przed sobą strzęp rozmowy.

Zboczyła z drogi i przemykając wśród drzew, ujrzała na plaży grupkę starszych kobiet. Widziała stąd stromiznę Czubka Grotu i garstkę osób na jego szczycie, poza tym już nic. Wyłaniając się z gąszczu, westchnęła i chrząknęła, by nie wystraszyć obcych niespodziewanym nadejściem. Wsunęła wtyk mikrofonu w gniazdo komórki, którą wepchnęła do kieszeni najgłębiej jak się tylko dało – i starała się zachowywać, jakby po prostu wyszła na spacer.

– Coś się stało? – spytała, zbliżając się kobiet i zezując w górę.

– Jakaś kobieta stamtąd spadła – odrzekła jedna z pływaczek i kiwnęła głową w stronę Czubka.

– Jak to... spadła?

– Usłyszałyśmy krzyk, no i zleciała...

– Jakby się potknęła – dorzuciła inna.

– Tak, pewnie się potknęła. Mhm.

„Przed przesłuchaniem świadków nie wolno dopuścić, żeby rozmawiali między sobą, bo kiedy coś widzieli razem i o tym dyskutują, zamazują się szczegóły. Wiadomo tylko tyle, że Allison krzyknęła i spadła, ale już powstała historyjka, że się wcześniej potknęła”.

– Barbara podpłynęła do brzegu, bo jej telefon był najbliżej wody, schowany w szortach. Ja wróciłam i czekałam na policję. Koleżanki popłynęły tam z pomocą, ale...

– ...poniewczasie – dokończyła Barbara.

– Spadła na tamte skały. Nikt by tego nie przeżył.

– Czy na górze był ktoś jeszcze? – zapytała Stevie.

– Znaczy: czy ktoś ją popchnął? – odpowiedziała Barbara. – Mój Boże. Nie. Nie było nikogo. Z pewnością byśmy zauważyły. Ją widziałyśmy wyraźnie. Na górze

nie było nikogo prócz niej. Krzyknęła. Musiała się potknąć.

– Musiała się potknąć – powtórzyła ta pierwsza kobieta.

Stevie postanowiła dłużej nie naciskać Barbary i nie-Barbary. „Są przygnębione i już przekazały, czego były świadkami – jakaś kobieta spadła ze skały, z krzykiem... Nie jakaś. Allison Abbott. Bibliotekarka, archiwistka życia siostry. Biegaczka. Doświadczona przez los osoba, która kochała siostrę jak nikt na świecie”.

Stevie zrobiło się niedobrze, więc ruszyła z powrotem do lasu. Wracając tą samą drogą, wdychała wielkimi haustami rześką woń igliwia, szukała ukojenia pod przetykaną słońcem chłodną zielonobrazową zasłoną.

„Krzyk i upadek. Toczące się po ziemi ciało”. Napędzany tysiącami godzin przyswajania prawdziwych i fikcyjnych zbrodni, umysł Stevie odmalowywał tę scenę z najdrobniejszymi szczegółami.

A potem nastąpił gorączkowy przyływ lęku. Paniki, która wyolbrzymia cienie i usuwa grunt spod nóg. Poranek stał się nagle kpina, szyderstwem. Stevie zaczęła tracić kontakt z rzeczywistością.

– Nie! – Przystanąła. Zamknęła oczy. Wolno i głęboko wciągała powietrze i jeszcze wolniej wydychała. „Wdech. Wydech”. Świat jej drżał i falował pod powiekami.

Otworzywszy po chwili oczy, stopniowo odzyskiwała poczucie sensu, kierunku. Ruszyła tam, gdzie czekało wytchnienie. Chwiejnym krokiem mijała pola kempingowe, by w końcu dotrzeć do kilku znajomych namiotów – a wśród nich czerwonego, którego szukała. Podbiegła do niego i na moment zastygła, zmieszana. „Do namiotu się nie puka”.

– Hej! – rzekła co tchu. – Hej?

W namiocie zaszeleściło.

– Stevie? – odrzekł senny głos.

Zaszurało. A potem zamek rozpiął się od środka. Wyjrzał rozczochrany David w szortach i tiszercie. Na widok jej twarzy w sekundzie zbladł mu uśmiech.

– Co się dzieje?

Stevie siadła na jednym z krzeseł kempingowych przed namiotem i utkwiała wzrok w ziemi.

– Nie żyje Allison Abbott.

– Allison... Abbott? – powtórzył David. Schylił się i wyszedł z namiotu. – Kto to?

– Siostra Sabriny. Ta bibliotekarka. Spadła ze skały nad jeziorem. Z Czubka Grotu.

– Cholera! – Przejęty, potarł podbródek. Nie znał Allison ani Czubka Grotu, znał jednak Stevie, więc czuł jej ból i szok. Przez chwilę się rozglądał. Otworzył lodówkę turystyczną i wyjął kawę w puszcze.

– Masz ochotę? – Podał Stevie kawę.

Kiedy ją wzięła, przyciągnął drugie krzesło i usiadł obok.

– Jak się czujesz? – spytał. Ostatnio kolejny już raz.

– Nie rozumiem – odrzekła.

– Ja też, ale ja nie mam pojęcia, co jest grane.

Stevie pokrótce wyjaśniła mu, o co chodzi w śledztwie, nie zagłębiając się zbyt w szczegóły swoich działań. Opowiedziała naturalnie o tym, co było dla niej najfajniejsze, jak zdekonspirowała Carsona itede. Nie ujawniła zaś Davidowi, jak się czuła w domu Allison, otoczona rzeczami Sabriny – i nie wspomniała, że mogła jej ofiarować (choćby tak drobną) pamiątkę po siostrze.

David bacznie przyglądał się twarzy Stevie.

– Ktoś nie żyje – powiedział. – Osoba związana z popełnionym tu morderstwem. Skądś już to znamy.

Miał na myśli sytuację z ich szkoły. W słynnej ze zbrodni Akademii Ellinghama też ktoś zginął po latach. Stevie spróbowała kawy. „Gorzka i mocna”. Niezachwycona smakiem, wypiła – dla przejaśnienia myśli – duży łyk.

– Twój kajak pomieści dwie osoby? – zapytała.

– Tylko jedną. Ale mają kanoe. W nich się spokojnie mieszczą trzy.

– Więc musimy wypożyczyć.

David nie zawracał sobie głowy zmianą ciuchów. Włożył buty i poszli do małej wypożyczalni w pobliżu Słonecznych Sosen, gdzie wzięli kanoe. Gdy pomagali zdjąć je ze stojaka, a później pchali po piasku, Stevie stwierdziła, że jest znacznie większe, niż się jej wydawało. A gdy już znaleźli się w środku, na wodzie, wbrew jej nadziejom straszliwie zachybotało. Zdeterminowana, usiadła jednak na ławce

i zaczęła się uczyć wiosłować. Po chwili chaotycznego rozchłapywania wody i kręcenia się w kółko wypłynęli na spokojną toń jeziora Wodospad Cudów, kierując się ku Czubkowi Grotu. Policja ewakuowała ludzi z linii brzegowej pod szczytem, a wokół miejsca upadku Allison rozwieszała brezent, aby nikt nie dojrzał zwłok. Ale Stevie i David, niepowstrzymani, podpłynęli bliżej. Podobnie jak oni, kilka osób śledziło bieg wypadków z kanoe, dętek i tratw. Ale nie dało się niczego zobaczyć. Brezent zasłaniał prawie wszystko. Nad krawędzią skały stało, badając ją, kilku policjantów. Stevie obserwowała to w milczeniu, a David wiosłował, starając się unieruchomić kanoe. Jeden z policjantów poczołgał się wzdłuż Czubka, wstał i wrócił na ścieżkę. „Najpewniej szukają przyczyn upadku Allison” – pomyślała Stevie.

– Nie rozumiem – rzekła w końcu.

– A co tu jest do rozumienia?

– Chodzi mi o to, co widziałam u niej w domu – wyjaśniła. – Allison była niesamowicie pedantyczna. Przy niej nawet Janelle wydaje się bałaganiarą. Dokładnie wszystko na właściwym miejscu. Zero opóźnień, każda czynność zgodnie z terminarzem. Tak, między innymi, radziła sobie ze śmiercią siostry. Biegała tą ścieżką codziennie o tej samej porze. Kiedy się z nią wybrałam... znała najmniejszy wybór. Stałyśmy razem na szczycie. Ostrzegła mnie, że się zwięża.

– Tak czy inaczej to stroma krawędź. Ze stromych krawędzi się spada.

– Nie – odrzekła Stevie stanowczo. – To nie był wypadek.

– Zawsze podejrzewasz, że to nie wypadek.

Fakt: ilekroć w szkole Ellinghama zdarzały się wypadki, Stevie podejrzewała, że to coś wręcz przeciwnego.

Ani razu się nie omyliła.

Dzisiaj też.

Stevie patrzyła na błękitną ważkę śmigającą nad matowym zwierciadłem. Woda była nieruchoma, więc – choć mąciły ją zielone glony – miejscami odbijała niebo i wbrew, a może właśnie dzięki zniekształceniom zachwycała jeszcze bardziej. Gdyby nie pracujący na skałach policjanci, Stevie by nie uwierzyła, że coś się tutaj stało.

Wielokrotnie dzwonił Carson, więc włączyła pocztę głosową. Wychylona do tyłu, usiłowała pojąć, jak – między puszystymi obłokami a ich odbiciem w dole –

przestała istnieć Allison Abbott.



XX

Reszta dnia śmierci Allison przemknęła jak w zamroczeniu. Stevie obijała się po pawilonie, na próżno walcząc z natłokiem myśli. Zanim nadeszła kolacja, była totalnie wykończona. Nie tknąwszy jedzenia, bodaj piętnasty już raz powtórzyła wszystko przyjaciółom.

– Z tego, co mówisz, wynika, że spadła – podsumowała Janelle. – Wiesz, większość wypadków zdarza się na najlepiej znanych drogach. Włączy człowiek autopilota i myśli, że już nie trzeba uważać. Może coś ją rozproszyło.

– Nie – odparła znowu Stevie. – Coś tutaj nie gra.

– Czy, gdy jej dałaś ten spis, zachowała się dziwnie? – spytała Janelle.

– Nie. Ucieszyła się po prostu.

Stevie poznała po ich minach, że tak jak David myślał, iż prawie niczego nie uważa za wypadek. Nie wyrazili tego jednak głośno, widząc, w jak podłym jest stanie. Wracła do domku oszołomiona i senna. Zadzwoiła do Davida.

– Hej – przywitała się.

– Masz nieswój głos – zauważył.

– Zmęczenie – odpowiedziała.

– Wyprawa kajakiem nie wypaliła. Wybierzesz się do mnie? Spotkajmy się przy ścieżce, co?

Stevie potarła twarz. „David będzie tu tak krótko – liczy się każdy dzień...” Ale z wyczerpania niemal ślaniała się na nogach. Odejście Allison ją znokautowało.

– Powinnam się przespać – odrzekła. Usłyszała, jak David wzdycha.

– Odpocznij – odparł. – Zobaczymy się jutro?

– Jutro. – Stevie była na schodach domku.

Weszła do środka i z mety padła na łóżko, nie zdejmując nawet butów. Minęła dopiero siódma wieczór, więc się jeszcze nie ściemniało, ale Stevie już się wyłączyła. Zamknęła oczy. Domek, obóz i niepojęty dzień zaczęły stopniowo odpływać. Gdy usypiała, zabuczał telefon. „Nieznany numer spoza okolicy”.

– Stephanie Bell? – odezwał się obcy głos.

– Tak, słucham.

– Mówi Susan Marks – przedstawiła się kobieta. – Prowadziłam obóz, gdy jeszcze nazywał się Wodospad Cudów.

Słyszając to, Stevie poderwała się na łóżku.

– Allison... – kobieta sprawiała wrażenie przybitej. – Allison Abbott podała mi twoje nazwisko i kazała się z tobą skontaktować. Znałyście się, więc pomyślałam, że cię powiadomię...

– Wiem – odpowiedziała Stevie cicho.

Susan milcząco przytaknęła.

– Kazała mi z tobą pomówić o tym, co się tutaj zdarzyło... Wahałam się, ale chcę uszanować jej życzenie. Jeśli się zgodzisz ze mną porozmawiać...

– Jasne – odparła Stevie. – Tak. Może bym przyjechała do miasteczka? Rano?

– Świetnie. Wstąp do mnie po ósmej.

Susan Marks podyktowała Stevie adres i rozłączyła się. Stevie przekazała najnowsze wieści Davidowi i zapadła w głęboki, niczym niezmacony sen.



– To z kim się spotykamy? – zapytał David rano, gdy wyjeżdżali z obozu.

Przybył po Stevie samochodem, oszczędzając jej zdradliwej i spoconej wycieczki na dwóch kółkach. Przedtem jednak Stevie ostentacyjnie weszła do pawilonu sztuki – i chyłkiem go opuściła natychmiast po rannym obchodzie

Nicole. Dzień był nieznośnie parny. Klimatyzacja w starym nissanie nie działała, więc musieli pootwierać okna. Zza chmur już przedzierało się palące słońce. Nadchodził jakiś pogodowy szal.

Przespawszy dwanaście godzin, Stevie wyraźnie odżyła. Po pełnym odcięciu i resecie zmysłów znów nabrała czujności, wręcz nadczujności. Lęk czasem tak właśnie działa – spowalnia albo podkręca.

– Z Susan Marks – odpowiedziała. – Kierowała obozem w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku.

– Jak się zachowywać podczas tego przesłuchania? Kiedy powinienem grzmotnąć pięścią w stół? A może mam wam proponować kawę? Mów, czego ode mnie oczekujesz.

– Nikogo nie przesłuchuję – odrzekła.

Dziwnie się czuła w samochodzie z Davidem. W szkole Ellinghama samochodu nie miał nikt. Bywali tam razem we wszelkich miejscach, zakątkach. Mieszkali w tym samym akademiku, przytulnej małej Minerwie z kominkiem, pełnej wiekowych sof. Odwiedzali się w pokojach, widywali od świtu do nocy i wspólnie jadali. Zajmowali razem szafy i spali w sali balowej, jedno przy drugim czołgali się przez mrok podziemnych tuneli.

„Więc czemu nagle drzę przy nim w samochodzie?” A jednak nie odrywała oczu od jego profilu, gdy jechał z jedną ręką na kierownicy, a drugą wystawioną niedbale za okno. Pęd powietrza rozwiewał mu włosy i odrzucał je z czoła. David złapał w trasie trochę opalenizny.

Uczucia, jakie żywiła wobec Davida, wezbrały w niej i jakby w poszukiwaniu ujścia rozlały się po całym jej ciele wrzącą falą. Buchający endorfinami ocean namiętności porywał Stevie, unosił w kosmos. Zapomniała o bożym świecie. W oszołomieniu przestała myśleć, skupiona jedynie na nim. Czas stracił sens i rwał się, płynął za szybko i zbyt wolno... Miłosny żar opanowywał ją zniecka, tak jak teraz, kiedy się przyglądała Davidowi kierowcy. Puściły wszelkie hamulce – i bystre myśli się porozjeżdżały. Zapagnęła się w niego wtulić, wycałować tę ponętnie szczupłą twarz, wykrzyknąć, by się zatrzymał, odrzucić na bok spotkanie z Susan. „Susan poczeka. Moglibyśmy skryć się w lesie...”

– Gapisz się – rzekł David, ze wzrokiem utkwionym w drodze. – Chcesz mnie ugryźć w policzek czy co?

– Mhm – przytaknęła.

– Tak myślałem.

Głęboko wciągając powietrze, nakazała sobie: „Ochłoń”. David uśmiechał się porozumiewawczo, jakby doskonale wiedział, co się dzieje w jej głowie. Minęli liceum Liberty z gigantycznym niebieskim billboardem.

– Powinni postawić większy – stwierdził David. – Tego prawie nie widać.

– Kompletnie mi umknął – zgodziła się Stevie.

– Małe miściny ubóstwiają swoje ogólniaki i są w tym cholernie krzykliwe. Jak sądzisz, z czego to się bierze?

– Człowiek lubi krzyczeć.

– Coś w tym jest. – David odwrócił się do Stevie, wyszczerzony. – Ja pasjami.

„Nie rozpraszaaj się!!!” Już dojeżdżali.

Susan Marks mieszkała przy jednej z bocznych uliczek w śródmieściu. Zaparkowali nieopodal biblioteki i skweru. W miasteczku było prawie całkiem cicho. Tu i tam ktoś robił sprawunki. Kilka osób popijało kawę w Słonecznych Wypiekach. Kierując się planem w komórce Stevie, powędrowali uroczymi zaułkami odchodzącymi od głównej ulicy. Stożące tam zadbane wiktoriańskie domki ugiwały się pod ciężarem koszów z kwiatami, ozdobnych chorągiewek i wiklinowych mebli na werandach. Ostatni w docelowej alejce, dom Susan miał mniej chorągiewek, ale dużo więcej kwiatów i krzewów.

Na rabacie przed domem klęczała siwa kobieta z fryzurą na pazia. Gdy Stevie i David weszli na ścieżkę, podniosła się i otrzepała kolana. Susan Marks była po siedemdziesiątce, lecz – choć wstała nie bez trudu – sprawiała wrażenie tak dziarskiej, jakby co dzień przez godzinę uprawiała jogę dla rozgrzewki... przed godziną sesją jogi.

– Stevie – rzekła tonem nieznoszącym sprzeciwu, jakby sprawdzała listę obecności. – A ty jesteś...?

– Asystentem – odparł David. – Od zadawania głupich pytań.

– Watsonem?

– Właśnie – odpowiedział z uśmiechem David.

– Chciałam dzisiaj skończyć plewić wcześniej, bo zapowiada się patelnia. No, wchodźcie.

Wmaszerowała do domu, Stevie i David za nią. Wewnątrz było prawie tyle samo roślin co na zewnątrz. Paprocie i inne w dziesiątkach doniczek. Wszędzie pełno bujnej zieleni. Na zalanym słońcem parapecie przeciągały się leniwie dwa rude koty.

Stevie przystanęła przed oprawionym w ramę kolażem zdjęć Susan z drugą panią.

– To moja żona – wyjaśniła Susan, spostrzegłszy, co ogląda Stevie. – Magda. Umarła przed ośmiu laty.

– Współcz...

– Daj spokój – przerwała Susan. – Nie zamierzałam psuć ci humoru. Była pielęgniarzką w obozie. Tam się poznałyśmy. Z tym obozem wiążą się też miłe wspomnienia. Była również artystką. To wszystko jej.

Wskazała półki i blaty wypełnione ceramiką.

Stevie na ceramice się nie znała, ale spodobały jej się formy i żywa kolorystyka prac.

Susan zaprowadziła ich do kuchni – zaskakująco całej różowej. Różowe ściany, mikser, ręczniki, nawet dywaniki.

– Magda lubiła róż w kuchni – powiedziała. – Siadajcie.

Kiedy posłusznie usiedli, Susan postawiła przed nimi kubki z kawą.

– Bardzo mi przykro z powodu Allison – rzekła Stevie.

– Mnie również – odparła Susan. – Strasznie mi jej szkoda. Potwornie. Dzieje się tu tyle okropności. Przechodziła istny koszmar, ale i tak sobie dobrze radziła. Gdy dawniej biegałam, zatrzymywałam się w tym samym miejscu. Jest popularne, bo nigdzie nie ma lepszego widoku. Ale spaść stamtąd to nieciekawa...

– Odebrałam ją jako bardzo ostrożną – wtrąciła Stevie.

– Istotnie... – Susan odwróciła wzrok. – Była niezwykle ostrożna. W przeciwieństwie do innych nigdy nie popełniała błędów. Na pewno coś ją zaprzętnęło.

Głęboko westchnęła i spuściła głowę. Zapatrzona w kawę, starała się opanować.

– Jaką macie pewność... ty albo facet z pikniku... że rozwiążecie sprawę, skoro nie umiał tego nikt inny?

– Nie mam pewności – odrzekła Stevie. – Nam raczej chodzi o opowiedzenie tej historii...

– Ta historia jest powszechnie znana. Ludzie przyjeżdżają tu od lat, kręcą programy, piszą książki, trzepią pieniądze na tragedii. Niby czym się od nich różnisz?

– To rzemiecha. – David kiwnął w stronę Stevie. – Tam, gdzie inni zawalają, jej się zawsze udaje. Dopóki się jej nie pozna, nie wolno jej odrzucać. Poza tym Stevie nie zależy na kasie.

Stevie spiekła raka. Rozmowa miała fatalny początek i wymykała się spod kontroli. Susan spojrzała ciekawie na Davida.

– Ona ci za to płaci? – zażartowała sucho.

– Mnie? Ma się rozumieć. Jestem tani jak barszcz.

Susan skinęła z ironicznym uśmiechem.

– Wyguglowałam cię – zwróciła się do Stevie. – Wiem, że Allison ci ufała, to co mi szkodzi powspominać. Od czego zaczniemy?

„Susan Marks jest rzeczowa, więc będę taka sama”. Na pytanie Stevie, czy może ją nagrywać, Susan szybko przytaknęła, lecz zrobiła kwaśną minę.

– Przypuszczam... – Stevie upomniała się, aby już więcej tak nie mówić. „Moje zachowanie ma dobitniej świadczyć o tym, że wiem, co robię”. – Jak pani trafiła do obozu Wodospad Cudów?

– W latach siedemdziesiątych kierowałam studium wychowania fizycznego i zdrowia w Liceum Ogólnokształcącym Liberty – odpowiedziała Susan. – W ciągu roku szkolnego uczyłam, a latem objęłam wakacje kierowniczką obozu. Odpowiadało mi to, bo nie lubię siedzieć z założonymi rękoma – w obozie prowadziłam całą masę zajęć, naturalnie też sportowych. Pamiętnego lata pracowałam w obozie piąty raz.

– Czyli znała pani wszystkich... że tak powiem, zainteresowanych?

– Oczywiście: znałam wszystkich – odparła Susan. – Todd, Diane, Eric, Sabrina... byli moimi uczniami. Dorastali w Barlow Corners. To miasteczko jest trochę jak rodzina, ale nawet w rodzinie...

Na moment zawiesiła głos.

– Nie wszystkich pani lubiła. – Stevie próbowała odgadnąć z wyrazu twarzy Susan jej myśli.

– Istotnie, nie wszystkich. Nigdy nie mówię w taki sposób o młodzieży, ale... Todd Cooper był zepsuty. Czarujący. Zawsze taki grzeczniutki. Ale był synem burmistrza – przepraszam za słowo – niezłego skurczybyka.

– Myśli pani, że Todd miał coś wspólnego ze śmiercią Michaela Penhale'a? – zapytała Stevie.

– Ależ tak, zdecydowanie! – Susan podniosła głos, wyraźnie wzburzona. – I raczej nikt w to nie wątpi. Był winny jak diabli. Mimo że wiedzieliśmy o tym wszyscy, zachowaliśmy się haniebnie. Niegodziwie. A ten nasz szeryf nieudacznik nawet nie kiwnął palcem, po morderstwach zresztą tak samo. Więc idźmy dalej – Diane McClure. Przyznam ci się, że Diane lubiłam. W głębi duszy to było dobre dziecko. Jej rodzice prowadzili Mleczną Księżną, tę lodziarnię po przeciwnej stronie. W każdy razie Diane to była twarda sztuka. Silna. Świetna sportsmenka. Nieraz ją namawiałam, by dołączyła do drużyny biegaczy, ale nie chciała. Diane lubiła dobrą zabawę i niegrzecznych chłopców. Takich jak Todd. Martwiło mnie, że się spiknęli, aczkolwiek niezbyt zdziwiło.

– A Sabrina? – spytała Stevie. – Nikt nie rozumie, skąd się wtedy wśród nich wzięła.

– Sabrina była dokładnie taka, jak się o niej mówi. Nieprawdopodobnie inteligentna. Pracowita. Przemiała. Na pewno wyjechałaby z miasteczka, osiągnęła w życiu więcej... Rodzice strasznie ją cisnęli, chcieli mieć w domu ideał, więc się o nią niepokoiłam. Była wobec siebie surowa. Liczyłam, że tego lata, po maturze, choć troszkę sobie odpuści. Zaczęła spotykać się z Erikiem Wilde'em... – Susan urwała i się uśmiechnęła. – Erica znałam od małego. Jego ojciec uczył w szkole, a mama pracowała w bibliotece. Bystry chłopak z poczuciem humoru. Psotny, ale nie złośliwy. Nie byłam specjalnie zdumiona, jak się dowiedziałam, że dostarcza do obozu trawę. Dziś to już nic strasznego – marihuana nie jest u nas zakazana – ale w tamtych czasach traktowano to poważnie. Gdy go znalazłyśmy na tej ścieżce...

Głęboko westchnęła, wyciągając rękę do rudego kota, który podszedł i wyprężył się, czekając, aż podrapie go po łebku.

– Z czasem coraz łatwiej mi się o tym rozmawia, ale to, co wtedy czułam, ciągle siedzi mi w głowie. To chyba dobrze. Bo znaczy, że jest dla mnie istotne. Kierowałam, prowadziłam ten obóz. Byłam za nich odpowiedzialna. Nikt mnie nigdy nie obwiniał, co uważam za wielką wspaniałomyślność. Sama nie wiem, czy powinnam się winić. Byłam rygorystyczna, miałam wszystko na oku. Nikomu nie postało w głowie, że może się zdarzyć coś takiego. Może świat był bardziej niewinny. Trudno powiedzieć. Teraz mamy monitoring. Dzieci nie bawią się bez nadzoru. Każdy ma telefon. Wtedy nawet najmłodsze wychodziły bawić się same. Na cały dzień – i nikt ich nie pilnował. Dzieciaki szalały na rowerach po miasteczku. Sprawdzałam domki z zaskoczenia i egzekwowałam dziesiątki zasad, więc uchodziłam za bardzo surową. Dlatego, kiedy to się stało, tutejsi traktowali mnie życzliwie. Nie usłyszałam, żebym zaważyła, gdy wypuścili się do lasu. Bo młodzi wtedy tak robili. Poniekąd za naszą aprobatą. Jeszcze kawy?

Nie czekając na odpowiedź, wzięła kubki i podeszła do lady, by je ponownie napełnić.

– Wieczór morderstw przebiegał bardzo prozaicznie – ciągnęła, podstawiając kubki pod dyszę ekspresu. – To było kilka dni po Świącie Niepodległości. Kolację podawano między siedemnastą a osiemnastą, a od osiemnastej do dwudziestej dzieci mogły bawić się na dworze pod nadzorem wychowawców. Na noc wracały do domków punkt dwudziesta. Zawsze musiał być obecny jeden wychowawca, a drugi miał trochę czasu dla siebie. Ja robiłam wieczorny obchód. Sprawdzałam, czy wszystko gra. Najwięcej kłopotów nastęrczało nam jezioro, nocne pływanie groziło utonięciem. Toteż w domu nad jeziorem mieliśmy ratowników i po zmierzchu któryś zawsze czuwał nad maluchami i opiekunami. Tamtej nocy wstąpiłam do domu nad jeziorem i zastałam w nim Paula i Shawna. Grali na gitarze. Uczyli się *Stairway to Heaven*, wtedy wielkiego hitu. Powtarzali tę piosenkę bez końca. Później jeszcze sprawdziłam kilka domków z zaskoczenia – i wróciłam do siebie. Odfajkować ten dzień i przygotować się na następny. Nocą bez przerwy mnie budzono – a to obozowiczka, bo dostała mdłości, a to dzieci, bo się bały węży, a to znowu co innego. A poza tym w obozie panowały cisza i spokój.

Susan postawiła przed gośćmi świeżą kawę. Twarz Davida obwąchiwał rudy kot, który wskoczył mu na kolana.

– A na drugi dzień? – spytała Stevie.

– Właśnie zrobiłam pobudkę. – Susan odwróciła wzrok, wspominając. – Przeglądałam harmonogram, kiedy usłyszałam krzyk. Ten dźwięk... Czegoś takiego, dzięki Bogu, nie słyszy się w życiu często... a gdy się usłyszy, od razu wiadomo, że dzieje się coś strasznego. Wyszłam zobaczyć, skąd dobiega. Po drodze wezwałam Magdę przez krótkofalówkę. Ona też słyszała krzyk i zmierzała w tamtą stronę. Dotarliśmy do ścieżki wiodącej do teatru i strzelnicy.

Krzyczała Brandy Clark. Nigdy nie zapomnę jej twarzy – zupełnie poszarzała. Wskazała kierunek, więc poszliśmy dalej ścieżką i zobaczyliśmy Erica. Jak szczegółowo to opisać...?

Wbiła w Stevie uporczywe spojrzenie. David lekko uniósł brwi.

– Tak jak pani uzna za stosowne – odpowiedziała Stevie.

– Nie chcę nikogo epatować. Podaję szczegóły, by ludzie wiedzieli, że to było wyjątkowo okrutne. Te dzieciaki zginęły straszną śmiercią. Eric miał gęste, kręcone jasne włosy. Spostrzegłam te włosy, gdyśmy się do niego zbliżyły. Pamiętam – bo nie do końca wiedziałyśmy, na co patrzymy – że zwolniłyśmy kroku, a potem pobiegłyśmy. Leżał twarzą do ziemi. Lodowaty. Z tyłu głowy miał krew – ciemną, skrzepniętą. Później zobaczyłyśmy rany klute.

Przerwała na chwilę. Kot wlaź jej na kolana, zwinął się w kłębek i rozmruczał.

– Była za kwadrans siódma rano. Musiałyśmy stawić czoło poważnej sytuacji. Wtedy, rzecz jasna, jeszcze nie miałyśmy pojęcia, jak poważnej. Wiedziałyśmy, że Eric został zamordowany, więc musiałyśmy zadbać o bezpieczeństwo dzieci i wychowawców, no i ich stamtąd zabrać. Przyleciała Patty Horne i zaczęła pytać o resztę – wtedy się okazało, że jeszcze kogoś brakuje. Gdy usłyszałam ich imiona – Diane i Todd... nie zdziwiłam się szczególnie. Ale brak Sabriny Abbott był dla mnie niezrozumiały. Patty, która normalnie pewnie byłaby z nimi, wpadła w tarapaty i musiała sypiać w lecznicy. Przyłapałyśmy ją z chłopakiem... w niedwuznacznej sytuacji. Mogły zobaczyć to maluchy. Magda cierpiała na bezsenność, co się bardzo przydało. Ilekroć ktoś z pracowników naruszał regulamin, musiał karnie spać w lecznicy, gdzie Magda miała go na oku. Greg naturalnie nie mógł odbywać kary z Patty, więc kazałam mu spędzać nocę w domu. Ta kara skutecznie zniechęcała opiekunów. Widząc, co spotyka

kolegów, byli mniej skłonni do łamania zasad. Człowiek poddany presji społecznej rezygnuje z takich zachowań... W każdym razie gdyśmy się dowiedziały, że zaginęły jeszcze trzy osoby, wezwaliśmy policję. Przeszukiwali las. Reszta już jest wam znana.

Susan wciągnęła powietrze nosem, jakby wszystko odegrało się przed nią znowu.

– Nie muszę dodawać, że po tragedii zamknięto obóz. Musiałyśmy obdzwonić kilkaset osób, zapewnić wszystkim powrót do domu. W tamtym tygodniu nie spałam prawie wcale. Jak już mówiłam, miejscowy szeryf nie wzbudzał mojego zaufania. Ledwo znaleźli trawę, uznał, że sprawa dotyczy narkotyków. Pod koniec tygodnia przyjechali federalni – o ile pamiętam, gdy zaczęły krążyć pogłoski o Drwalu. Zapanował chaos. Wszyscy się bali, że w lesie grasują dilerzy albo seryjni mordercy.

Susan skrzywiła się z dezaprobatą.

– To jeszcze nie koniec – ciągnęła. – Chłopak Patty, Greg, ten, z którym ją przyłapano... Wiecie, że zginął w tym samym tygodniu. W wieczór uroczystego zgromadzenia mieszkańców miasteczka cała młodzież zebrała się na boisku za szkołą. Akurat jechałam w tamtą stronę. Na końcu szkolnego podjazdu stała, machając latarką, Patty, zapłakana, nieopisanie przybita, jak nie ona. Chciałam się zatrzymać, spytać, o co chodzi, gdy przede mną w górze coś błysnęło. Greg rozbił się o skałę. Wtedy tego nie wiedziałam. Taki to był tydzień: makabra za makabrą.

– Jak pani myśli, co się stało? – spytała Stevie.

– Czworo zadżganych w lesie nastolatków... Nie wiadomo, co o tym myśleć. Coś tak chorego musiał popełnić degenerat, obcy, ktoś spoza miasteczka. Intuicja zawsze mi podpowiadała, że to nie ma nic wspólnego z marihuaną czy seryjnymi mordercami, ale, prawdę powiedziawszy, nie wiem, co się mogło zdarzyć tamtej nocy. Takie bestialstwo nie mieści mi się głowie.

– Więc skoro nie narkotyki ani seryjny morderca... – naciskała Stevie.

– Nie wiem – powtórzyła Susan. Zabrzmiało to kategorycznie. Skończyła. Stevie zerknęła na Davida, który osuszył kubek jednym haustem.

– Jeszcze jedno – powiedziała. – Wspomnienia Sabriny...

– A tak. Allison zależy... Allison szukała jej dziennika latami. Pytała mnie o niego wielokrotnie. Pakowałam rzeczy Sabriny dla rodziców, ale go tam nie było.

– Czyżby go ktoś ukradł?

– Jasne – odrzekła Susan, jakby rozśmieszona pytaniem. „Jest trochę głupie – fakt. Bo przecież zwędzić można wszystko”.

– Wygląda na to – podjęła Stevie – że Sabrina chowała go przed obozowiczami.

– Musiałam zadbać o setki rozhisteryzowanych dzieci – i dorosłych. Trwało to kilka dni; niektórzy byli na urlopie, rozumiesz. Pakowałam i odprawiałam do domu każdego malucha. Później przez dwa dni pakowałam rzeczy tej czwórki. Dopilnowałam, by rodzice odzyskali wszystko, co po nich zostało, bez żadnych uszkodzeń, w porządnym, schludnym paczkach. No, prawie wszystko, bo papierosy i używki powkładałam do osobnych pudeł.

– Nie przeglądała tego najpierw policja?

– Nie – odparła Susan ze zjadliwym uśmiechem. – Nie zadali sobie trudu, żeby przeszukać ich rzeczy w domkach. Ja się tego domagałam, lecz nie byli zainteresowani.

– Ma pani jeszcze te pudła? – zapytała Stevie.

– Nie. W końcu, po jakichś piętnastu latach, policja zażądała pudeł. Całe to śledztwo było do kitu. Ale – nie, nie mam. Wysprzątałam każdy centymetr domku Sabriny. Dziennika tam nie było. Zapewniałam o tym Allison, zapewniam i ciebie.

Wzięła na ręce kota, który krążył koło jej łydek.

– Powodzenia, Stevie – rzekła. – Przydałoby się wreszcie rozwiązać tę sprawę. Niechże ten drań dostanie to, na co zasłużył. Chcę to zobaczyć. Wszyscy chcemy.



XXI

– Dowiedziałaś się czegoś? – spytał David, kiedy zmierzali z powrotem do samochodu.

Stevie wepchnęła ręce do kieszeni szortów i skoncentrowała się na pęknięciach chodnika.

– Nie wiem – odrzekła. – Niby już to wszystko znam z artykułów. Ale coś mi nie pasuje. Sama nie wiem, co... Coś mi w jej zeznaniach przeszkadza.

– Sądzisz, że była w to wplątana?

– Nie. – Stevie spojrzała na Davida. – W sumie pewności nie mam, ale wątpię. Coś odstaje. Tak jakby...

Czasem wyobrażała sobie myśli jako klocki, które się układają, scalają. Słowa wypowiedziane przez Susan łączyły się w miarę logicznie, ale jeden element gdzieś uciekał. „Co to jest?”

– Zmieniając temat – powiedział David. – Wiesz, we wrześniu...

– Hm?

– Wrzesień.

– Co „wrzesień”? – nie zrozumiała.

Myśli umknęły jej jak myszy, gdy człowiek wejdzie do piwnicy i zapali światło. Zmarszczyła brwi, rozeźlona.

- O co chodzi? – spytał. – Skąd ta mina?
- No, co z tym wrześniem? O czym ty mówisz?
- Mówię, że we wrześniu zaczyna się szkoła.

Stevie czekała na rozwinięcie tego frapującego komunikatu. „A już byłam tak blisko! Że też musiał zacząć gadkę o szkole. Do szkoły jeszcze daleko”.

– Cóż. – Widząc jej irytację, David poczęstował ją uśmiechem doprowadzającym do szału. – Wrócisz na wierzchołek góry, więc...

Stevie znowu się skupiła na ulicy. „Senne Barlow Corners w słońcu. W śródmieściu jest tak zacisznie, przytulnie. Przy skwerze z głupim pomnikiem stoi dumnie biblioteka. Dalej Słoneczne Wypieki, Mleczna Księżna... Sklepiczek z gadżetami i prezentami, jak śmieszne skarpetki i «inspirujące» kubki... Przychodnia dla zwierząt doktora Penhale’a... Apteka... Gabinet stomatologiczny..., z którego wychodzi Shawn Greenvale... Shawn Greenvale!”

– ...będziesz zajęta, nie wiem, może mordowaniem kogoś w lesie i...

David nie przestawał głądzić o szkole. Stevie złapała go za rękę i szarpnęła.

– Tam – wskazała. – Widzisz tego gościa? W niebieskiej koszuli. Idzie do ciężarówki. To Shawn Greenvale.

– Shawn...

– Eks Sabriny Abbott – wyjaśniła Stevie, przyspieszając. Shawn był na jej liście. „Oto moja wielka chwila”. Utrzymując tempo chodźca, starała się nie zwracać na siebie uwagi i nie tracić Shawna z oczu. Ostatnie pół kwartału musiała przebiec.

– Przepraszam! – Zziajała się stanowczo za szybko. „Susan Marks, jako była wuefistka, nie byłaby zachwycona moją pojemnością płuc”. – Shawn?

Mężczyzna spojrział na zastawiającą mu drogę spoconą blondynkę w czerni i dryblasa, który jej towarzyszył.

– Nazywam się Stevie Bell...

– Wiem, kim jesteś. – Jego głos nie zabrzmiał serdecznie ani przyjaźnie.

– Moglibyśmy pomówić?

– O czym? – spytał Shawn.

– O tym, co się tutaj zdarzyło w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku. Właśnie rozmawiałam z panią Marks i...

Sięgnąwszy do samochodu, zdjął z szyby srebrną osłonę przeciwsłoneczną, którą złożył i rzucił na tylne siedzenie.

– Nie – odpowiedział.

– Ja...

– Nie – powtórzył.

Stevie przygryzła wargę, by uspokoić emocje. Shawn zaczął wsiadać do ciężarówki. „Zaraz odjedzie i stracę szansę. Muszę próbować”. Przesunęła się bliżej drzwiczek. „Musiałby mnie walnąć, bo inaczej nie zamknie”.

– Nie chcę panu zawracać głowy...

– Więc nie zawracaj – uciął krótko. – Możesz się cofnąć?

Kiedy Stevie cofnęła się o krok, zatrzasnął drzwiczki i odjechał. Zła na siebie, Stevie potarła twarz. „Pospieszyłam się bez sensu, powinnam była spokojnie zaczekać, przedstawić się jak trzeba – zamiast ganiać za nim z krzykiem po ulicy”.

– Chyba cię lubi – stwierdził David. – Szkoda, że się nie krygowałaś bardziej...

Stevie wcisnęła pięści do oczu, z jękiem.

– Jest aż tak ważny dla śledztwa? – spytał David.

Przytaknęła. David wyciągnął ręce, ujął ją za nadgarstki i delikatnie odciągnął jej dłonie od twarzy.

– Człowiek uczy się na błędach – rzekł cicho. – Jest dobrze.

„Wcale nie jest dobrze, ale nic już na to nie poradzę”. Wszystko, co przyszło jej na myśl w związku z relacją Susan, dawno uleciało, a Shawn odjechał w siną dal. Stevie wróciła do chwili obecnej i do Davida.

– Co mówiłeś o szkole? – zapytała.

Na wargach Davida zaigrał osobliwy półuśmiešek.

– Nic. Chciałem tylko podtrzymać rozmowę.



Gdy David podrzucił Stevie z powrotem do obozu, większość dnia przeminęła i było zabójczo gorąco. Drogę z parkingu do pawilonu sztuki Stevie pokonała mokra od potu. Janelle siedziała otoczona grupką dziewięciolatek, które pod

jej czujnym okiem napełniały butelki kolorowym piaskiem, wyraźnie nią zachwycone. Stevie pomyślała, jak mogłaby się przydać, ale to, co robiły, nie wymagało dodatkowych wyjaśnień. Zainstalowała się więc przy wolnym stole i wyjęła komórkę, żeby odsłuchać nagranie rozmowy z Susan. Zaczęła zapisywać najważniejsze jej punkty:

- nic szczególnego na temat zeszłej nocy
- Paul i Shawn puszczali *Stairway to Heaven* w domu nad jeziorem
- pobiegła, poznała Magdę McMurphy (Magda i Susan się chajtnęły)
- zebrała wszystkich w stołówce
- znaleziono jeszcze troje zaginionych
- lokalizację знаła Patty Horne
- obozowiczów odesłano do domu
- w noc czuwania poszła na boisko, widziała płaczącą Patty Horne, zobaczyła na drodze światło – wypadek
- w zasadzie wyklucza deal narkotykowy i Drwała, ale nie umie wyjaśnić, dlaczego



Po przesłuchaniu nagrania po raz drugi Stevie wbiła wzrok w notatki, nie bardzo wiedząc, co dalej. Poskubała paznokieć. *Stairway to Heaven*. Słyszała o tej piosence, ale nie miała pojęcia, jak idzie. Nieraz zdarzało się jej słuchać muzyki, aby przywołać miejsce i czas zdarzeń, które chciała przeniknąć. W szkole Ellinghama słuchała muzyki z lat trzydziestych, by wejść w klimat, który towarzyszył wprowadzeniu się małżonków na górę.

„Może i teraz pomogłaby muzyka”. Znalazła w sieci Led Zeppelin, potem piosenkę. Wcisnęła „play”.

Brzdąkanie na gitarze przy akompaniamencie fletu stopniowo przeszło w coś ostrzej rockowego. Niejasne słowa mówiły o tajemniczych schodach, dudziarzu i lesie, w którym rozbrzmiewa echem śmiech. „Muzyka dla aspirujących czarodziejów... O co chodziło w tych latach siedemdziesiątych? Czy życie wtedy

sprowadzało się do jarania, słuchania takiej muzy i jazdy wielką bryką bez pasów? Ta rozlazła piosenka – jak mogła porywać tłumy?”

*Gdy wędrujemy krętą drogą
Nasze cienie większe są od dusz
I spotykamy tam znajomą panią*

„A słowa Susan zawierały coś głębszego. Co to jest? Co? Co? Co? Co? Co?” Muzyka w końcu zaczęła to odsłaniać; przez myśli Stevie przemknął cień ukrytego znaczenia. „Co to jest, do cholery?!” Przebiegając wzrokiem zapiski, odczytywała je po cichu, otwierała na nie swoją podświadomość. „Paul, Shawn, Magda, Patty, Patty...”

Tylko jedna osoba pojawiała się dwukrotnie: Patty Horne. „Szkopuł w tym, że Patty ma żelazne alibi – była widziana dosłownie przez całą noc. Poza tym nie miała powodu mordować przyjaciół. Todd, Eric i Diane należeli do jej paczki, tak jak do mojej należą Janelle, Nate i Vi. No, a Greg Dempsey, który zginął, rozbijając się o skałę? Martwy motocyklista w Barlow Corners, a poprzednio był martwy rowerzysta...”

W głowie Stevie coś się pomału wykluwało.

„Patty powiedziała, że gdyby ich nie przyłapano na dymanku, to prawdopodobnie też by zostali zamordowani. Chyba że zabójca (albo zabójcy) nie ośmieliłby się zaatakować tak licznej grupy. Już cztery osoby to było dużo, a co dopiero sześć? Chyba żeby się miało zamiar uśmiercić kogoś z tej grupy? I wiedziało, że zamiast sześciu osób tej nocy będą tylko cztery, bo Patty z Gregiem mają szlaban. Może by się dostrzegło w tym szansę... Ale właściwie dlaczego? Czemu Sabrina, Diane, Todd i Eric?”

Kolejny raz przejrzała zdjęcia, zatrzymując się na twarzy Todda.

Włożyła słuchawki i przesłuchała część nagrania, w której Susan opowiada o Toddzie:

„Nigdy nie mówię w taki sposób o młodzieży, ale... Todd Cooper był zepsuty. Czarujący. Zawsze taki grzecznutki... Był winny jak diabli. Mimo że wiedzieliśmy o tym wszyscy, zachowaliśmy się haniebnie”.

Todd Cooper zabił Michaela Penhale'a i wszyscy o tym wiedzieli. „Z tej czwórki tylko on zasługiwałby na «karę śmierci». Rodzina Penhale'ów była wolna od podejrzeń, a Paula Penhale'a widziano z Shawnem w domu nad jeziorem. Potwierdziła to Susan. Nawet gdyby Shawn i Paul chcieli połączyć siły, by zgładzić tych, przez których zostali skrzywdzeni, prawdopodobieństwo udziału Susan jest znikome. Ale w miasteczku nie tylko Penhale'om mogło zależeć, aby Todd dostał za swoje – i przy okazji pewnie nie tylko oni załatwiliby z chęcią kilka osób. Prawie wszyscy podkreślali, że Todd jeździł niebezpiecznie. Może Michael Penhale nie był pierwszy? Czyżby przedtem Todd potrafił jeszcze kogoś?... Autostopowicza? Włóczęgę? Albo kogoś z kempingu? I może tamci przy tym byli. Może dlatego musieli zginąć wszyscy...”

Stevie kręciło się w głowie od wątpliwości. Niby widziała, ale nie dostrzegała.

Rozejrzała się po pawilonie. Nikt jej nie potrzebował. Wyjęła i zaczęła kartkować *Badania niewyjaśnionych śmierci w pigułce*, czekając, aż ktoś się do niej odezwie. Każda scena nosiła prostą nazwę: „Ciemna łazienka”, „Strych”, „Pasiasta sypialnia”...

„Na tym, między innymi, poległ geniusz Frances – niczego nigdy nie upiększała”.

Nie zajmowała się najślawniejszymi morderstwami; nie bywała w szeroko znanych miejscach zbrodni. Lubiła pokazywać zwykłe mieszkania, mieszkania ludzi ubogich. Ludzi, których śmierć nieraz lekceważono, pomijano. Od detektywów wymagała jak największej uwagi. Spójrz na ten maleńki nóż do owoców, leżący na schludnie złożonych ręcznikach. Zwróć uwagę na stopień zużycia odzieży. (Czasami sama nosiła ubranie, by je odpowiednio podniszczyć, a później cięła i z kawałeczków szyła stroje na potrzeby badań – tak bardzo była oddana tej pracy). Przyjrzyj się nieschowanemu do lodówki mięsu, ułożeniu poduszki, zawartości kubła na śmieci. Pomacaj przedmioty, zauważ, w których miejscach się znajdują.

„Gdybym umiała zauważać, poskładałabym to do kupy. Słowo wypisane wewnątrz ambony myśliwskiej. Czerwony sznurek, który nie był właściwego typu. Rany na rękach Sabriny. Pozycja Erica Wilde'a na ścieżce. Zaginiony pamiętnik. Śmiertelnie potrącony chłopiec. Brązowy jeep, który w miasteczku znał każdy. Wytrawna biegaczka spadająca ze skały, na której bywała codziennie.

Nie wszystko tu jest ważne – w badaniach chodzi o dostrzeżenie pewnych elementów. Muszę tylko obczaić, których...”

– Cześć.

Stevie podniosła głowę i wyjęła słuchawki. Tuż przed nią stał Lucas. Zdążyła wejść już nowa grupka dzieci, a ona nawet tego nie spostrzegła. Nate, który wszedł z grupką, trzymał się z dala od Lucasa.

– Co to? – spytał Lucas, zaglądając jej do książki. – Ten facet wisi?

Stevie chciała zamknąć książkę, ale położył rękę na stronicy.

– Dlaczego wisi? Co to ma być?

– Badanie – wyjaśniła.

– A niby czego?

W nadziei na pomoc, Stevie rozejrzała się za Janelle, ale ona demonstrowała killkorgu dzieciom, jak się powinno wsypywać piasek do butelek. Pewnie według niektórych Janelle „robiła, co do niej należy”, lecz według Stevie po prostu ją opuściła.

– Czytałaś *Cykle księżycowego blasku*? – zapytał Lucas.

Stevie czytała książkę Nate’a tuż przed rozpoczęciem nauki w Akademii Ellinghama. Najbliższe jej były relacje o morderstwach, kryminały i powieści oparte na zbrodniach z realu – więc ośmiusetstronicowe tomisko o potworach zamieszkujących jaskinie oraz smokach i mieczach nie bardzo odpowiadało jej potrzebom i gustom. Uważała *Cykle* za dobre. Ale poświęciła im czas głównie z sympatii do Nate’a. Poza tym podziwiała jego trud – zwłaszcza że sama nie umiałaby napisać książki.

– Yyy... mhm.

– Nie myślisz, że Księżycowy powinien zostać w Solarium? Głupio, że wyjechał. Mógłby walczyć z Marlakiem.

„Jego pomysły nijak się mają do książki”.

– On nie lubi wskazówek – ciągnął Lucas.

– Nie przejmuj się. Pisać też nie lubi.

Na twarzy Lucasa odmalowało się coś niepokojącego.

– Polubi – odparł i odpłynął do przeciwległego kąta pawilonu, by napełniać butelkę piaskiem. Kiedy się oddalił, Nate podszedł do Stevie i usiadł.

– Zdaje się, że Lucas szykuje ci *Misery*^[10] – ostrzegła Stevie. – Współczuję.

– Daję słowo, że ten mały obserwuje mnie we śnie – odpowiedział Nate, chowając się w ramionach. Zauważył książkę leżącą przed Stevie. – To przerażające. – Przysunął sobie książkę i otworzył, po czym przekartkował bez pytania, po co Stevie bada miniaturowe sceny strasznych zgonów.

– Muszę wymyślić, co dalej robić w kwestii Allison – rzekła Stevie.

– A co tam jest do robienia?

– Ta sprawa, to miejsce... Jest tego za dużo, a zarazem jakby wszystko do siebie pasuje. Jak wtedy, gdy układa się puzzle: otwiera się pudełko i najpierw widzi masę przypadkowych elementów, ale później, w miarę układania, coraz łatwiej je dopasowywać, łączyć. Przeczuję rozwiązanie, ale trochę mi jeszcze zostało. Czuję, jak ma się do morderstw śmierć Allison. Czuję, że to nie był wypadek. Mam wręcz wrażenie, jakbym na własne oczy widziała, jak to się stało. W gruncie rzeczy wiem wszystko, ale jakby gdzieś mi to utknęło i nie mogę do tego dotrzeć... Rozumiesz?

Nate przytaknął.

– Też tak miewam przy pisaniu. Ogólnie wiem, co chcę osiągnąć, ale nie piszę tygodniami, bo to jest poza moim zasięgiem, więc dostaję szału, ale gdy to już zobaczę...

Stevie wyłączyła się na chwilę i zajęła tym, co się działo za ramieniem Nate'a. Nate obejrzał się za siebie. Zamaszystym krokiem zmierzała do nich Nicole.

– Kurde – mruknęła Stevie. – Przecież tym razem nic nie przeskrobałam.

Położyła *Badania niewyjaśnionych śmierci w pigułce* na kolanach pod stołem. Nicole podeszła, lecz nie patrzyła na Stevie.

– Fisher – powiedziała. – Przyjechał Josh Whitley, drugi wychowawca. Możesz już przenieść rzeczy do chatki na drzewie.

Nate wybałuszył oczy.

– Mogę ci pomóc – zaofiarowała Stevie. – Pawilon ma na oku Janelle.

Gdy szli do domku po rzeczy, Nate był jak nowo narodzony. Stevie zaskoczyło to, co zastała w środku. Chłopcy mieszkali w bałaganie, więc mimo dobrej wentylacji nieciekawie tam pachniało. Zmierzając za Nate'em do jego pośłania, ominęła używane gatki leżące na środku podłogi. Nate się w ogóle nie

rozpakował. Był przygotowany do ucieczki o każdej porze dnia i nocy. Tymczasem Dylan rzucał wszystko, gdzie popadnie. Miał lampę do selfie i całe tony sprzętu. Jego komodę zaścielało dziewięć czy dziesięć par okularów, kilka podejrzanych suplementów i niezliczone akcesoria do surfingu, jazdy na deskorolce i influencingu.

– Masz. – Nate podał Stevie torbę z laptopem.

W kieszeni Stevie zabuczało. Wyjęła komórkę – esemes od Davida:

„Policji nie ma. Znów otworzyli szlak”.

Więcej informacji nie potrzebowała.



XXII

Mimo że Stevie chciała czym prędzej zbadać Czubek Grotu (jak również Davida, bo emocje z tego ranka bynajmniej nie ostygły), wstąpiła jeszcze na chwilę do domku. Stwierdziła, że prysznic potrwałoby zbyt długo, ale może uda jej się przebrać w biegu. Przerażona odkryła, że skończyły jej się tiszerty na zmianę. Został tylko, wydany jej w dniu przyjazdu, wściekle biały z logo Słonecznych Sosen. Narzuciła go ze wstrętem. Uszyty z grubej, sztywnej bawełny, był niemal prostokątny – czuła się w nim jak w kartonie po mleku. Nie bardzo wiedząc, co jest, a co nie jest sexy, Stevie nie miała jednak wątpliwości, że nie wygląda ponętnie. Zastanawiała się, czy nie pożyczyć szminki Janelle, bo przyjaciółce by to nie przeszkadzało, ale ostatecznie odpuściła. „Umalowana rzucałabym się w oczy; byłoby jasne, że coś się święci. Ktoś mógłby to uznać za wołanie o pomoc. David zadzwoniłby pod dziewięćset jedenaście”. Wybiegła więc nieumalowana, w oślepiającym prostokątnym tiszercie.

Przystanęła pod kabiną prysznicową, by napęlnić wodą butelkę i zobaczyła w lustrze swoje odbicie. Jej twarz zdobiła nierówna opalenizna. Pod wpływem nieznośnej wilgoci powietrza krótkie jasne włosy kleiły jej się do głowy.

– Ależ ze mnie piękność; istna księżniczka – mruknęła.



David już czekał na Stevie na kempingu. Najwyraźniej dopiero co wyszedł z wody; był zupełnie mokry, sklezione loki miał odgarnięte do tyłu. Stevie stwierdziła, że całkiem mu do twarzy z tą fryzurą. „Może oklapnięte włosy są okej?” Wyciągnął się na krześle w samych kąpielówkach – i wyglądał jeszcze bardziej szalowo niż zwykle. W takich chwilach Stevie uzmysławiała sobie, jak onieśmieleni musieli być najtwardsi nawet detektywi, kiedy zjawiały się u nich uwodzicielskie kobiety w woalkach. „Hormony to silny narkotyk”.

Pomyślała, że zdążą na chwilę wstąpić do namiotu, i widząc, że David się tam kieruje, już-już robiła sobie nadzieje – kiedy on sięgnął do środka i chwycił tiszert.

– Dałem ci znać, jak tylko odjechali – powiedział. – Uważałem na ciebie.

„To super i bardzo miło z twojej strony, ale troszkę szkoda, że teraz nie można...”

– Świetnie – odparła, przytakując. – Świetnie, mhm.

Zaczęli okrążyć jezioro, co oznaczało sto szans na przystanek i pieszczoty – ale David był wyraźnie zatopiony w myślach. Mimo że wziął Stevie za rękę i trzymał przez większą część drogi, domyślała się, że jest nie w sosie. Coś się szykowało.

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

– No. – Spojrzał na nią z leniwym uśmiechem. – Jasne.

Gdy dotarli do Czubka Grotu, znowu zajęła się bieżącą sprawą. To piękne miejsce, które pokazała jej Allison, otrzeźwiało umysł.

– Rety – rzekł David, stając przy niej. – Niezły widok. – Niepokojąco prędko zbliżył się do krawędzi przepaści. – Strasznie łatwo stąd zlecieć... Gdyby ją coś rozproszyło.

Stevie ruszyła wolnym krokiem nad krawędź. „Gdzie by się zatrzymała Allison? Prawdopodobnie w najbezpieczniejszym punkcie z najlepszym widokiem. Nie wystarczy patrzeć – trzeba widzieć”.

Co więc widziała? Ciemny skalny zadziór, stromiznę, ale lekką.

Przykucnąwszy, Stevie otworzyła butelkę i wylała na skałę odrobinę wody. Woda popłynęła wolną krętą strużką. Nieco przyspieszyła mniej więcej w połowie drogi, gdzie występ miał wgłębienie, a potem zaczęła kapać jak szalona. Stevie położyła się na brzuchu i przywarła do skały jak wąż. Popęzła naprzód, a gdy znalazła się na skraju, zerknęła w dół. Pionowe zbocze kończyło

się skałami; spostrzegła tam też skrawek ścieżki, kępę drzew i – jakieś półtora metra dalej – brzeg jeziora. Choć nie było ani śladu zwłok i tego, co się zdarzyło, przeszył ją dreszcz zgrozy.

„Co za potworna śmierć!”

Wycofała się i podniosła dopiero, gdy trawa musnęła jej kostki. Dołączyła do Davida, który siedział na ziemi.

– No i co myślisz? – zapytał.

Stevie próbowała strzepnąć błoto z białego tiszertu.

– Nie wiem – odparła. – Wiem, że depresji nie da się zobaczyć, więc czasem trudno stwierdzić, że ktoś przeżywa załamanie, ale nie wydaje mi się, by stała nad przepaścią celowo. Świadkowie zeznali, że runęła w dół z krzykiem.

– Czyli: się potknęła. Byłoby to megaproste. Biegniesz. Jesteś zmęczona. Coś cię rozprasza, więc się rozglądasz, potykasz, moment – i spadasz.

Zdaniem Stevie zabrzmiało to rozsądnie. Było nie tylko możliwe, ale i prawdopodobne. Z pewnością odpowiadało relacjom naocznych świadków.

W oddali rozległ się cichy grzmot i choć do zmierzchu zostało kilka godzin, niebo pociemniało.

– Czeka nas nocna burza. – David położył się na plecach i spojrzał w niebo.

Stevie położyła się obok, wtulając mu głowę pod pachę. Obrócił się i przywarł wargami do jej ust.

Stevie starała się nie zastanawiać, czy figle w miejscu, z którego spadła Allison, to zachowanie odbiegające od powszechnie przyjętych norm. Coś długo wzbierało i domagało się ujścia. David przeturlał się na nią i zaraz ona na niego. Byli niby na publicznym szlaku, ale też sami z tym lasem i niebem. Wkrótce oboje mieli we włosach pełno igieł i zabrakło im tchu. A potem całowanie skończyło się równie niespodziewanie, jak się zaczęło. David znowu poczęstował Stevie pytającym uśmiechem, po czym oparł się na łokciach i siadł prosto.

– A więc... – westchnął. – Jesień. Szkoła.

Wrócił do rozmowy, którą chciał rozpocząć tego ranka, kiedy wyszli z domu Susan.

– Jesień – powtórzyła Stevie. – Szkoła.

– Wracasz do Akademii. A ja chwilowo nie mam planu.

– Myślałam, że będziesz dalej współpracował z tą grupą, co teraz – odparła.

– Tak zamierzałem, fakt... ale coś się wyłania. Dostałem pewną propozycję.

Stevie też usiadła prosto.

– Pojawił się ktoś, kto zna mnie, odkąd byłem mały – ciągnął David, wbijając wzrok w ziemię między nimi. – Nie lubi mojego ojca... niewiele osób, które znają Eastmana, go lubi. Nawiązał ze mną kontakt, bo przypuszczał, że się przyczyniłem do popadnięcia ojca w niełaszkę, no i wie, że ojciec odciął mi środki. Zaproponował mi pomoc.

– Finansową?

– Tak jakby. Tu raczej chodzi o moją przyszłość. Domyślił się, i słusznie, że pokrewieństwo z moim ojcem może utrudniać życie i w ogóle pobyt w kraju. Ma kontakty w Anglii. Obiecał podzwonić, żeby mi załatwić udział w jakimś programie na angielskiej uczelni. Pokryłby też koszty.

Stevie zamruwała. Czy to przez nieznośny upał, czy też natłok zdarzeń, nie była w stanie sobie wyobrazić, o czym mówi David.

– Do Anglii? – zapytała.

– Do Anglii – powtórzył. Po jego twarzy przemknął cień zdenerwowania.

– Do szkoły?

– Do szkoły.

– No więc co odpowiedziałeś? – zapytała.

– Odpowiedziałem, że to przemyślę. Ale muszę oddzwonić szybko. Zdecydowanie w tym tygodniu.

Za sprawą wielomiesięcznego związku z Davidem Stevie uświadomiła sobie, że skomplikowane emocjonalnie rozmowy znosi fatalnie. Nie trzeba jej było wiele, by wpadła w spiralę niepokoju. Od poczucia bliskości, totalnej więzi z Davidem, z ciepłych głębin rozpierającej ją ekstazy przeszła w jednej chwili do lodowatego przestachu. Ledwie odzyskała Davida, znowu odchodził, i to dalej niż poprzednio.

– I oznajmiasz mi to teraz? Gdy osoba, którą znałam, spadła z urwiska?

– Nie tak to miało wyglądać – odrzekł nieco czupurnie. – Chciałem ci to powiedzieć, odkąd tutaj przyjechałem. Z tobą to zawsze jest nie ten moment. Wkrótce muszę się stąd zbierać, więc...

– Więc mnie o tym informujesz i spadasz?

– Stevie. – Głos Davida przybrał chłodniejszy ton. – Przyjechałem najszybciej jak mogłem. Próbuję...

– Wiem, co próbujesz osiągnąć – odparła, nie mając bladego pojęcia, co próbuje ani do czego zmierza. „Tak już jest z mówieniem – można mówić bez ustanku i bez pojęcia, po co i dlaczego”.

– To dla mnie szansa – wyznał. – Potrzebuję to obgadać, muszę się zastanowić.

– Nad czym tu się zastanawiać? – rzuciła. – Byłoby strasznie, gdybyś musiał płacić za naukę jak normalny człowiek.

David wyciągnął przed siebie ramiona.

– Mhm – mruknął. – Jak normalny człowiek.

Nastąpiło oziębienie.

Stevie nie chciała powiedzieć tego, co powiedziała. Nie miała złych zamiarów, tak tylko jej się wyrwało. „Przecież to nic złego, że ktoś mu proponuje opłacenie szkoły, i że powinien postanowić tak czy tak. Chociaż to nie całkiem fair, że znów dostaje wszystko na srebrnej tacy. Ludzie pokroju Davida nie muszą kierować swoim losem. Idę o zakład, że choć rozwiązałam zagadkę zbrodni, mnie nikt by nie zabrał do angielskiej szkoły za darmochę... David miałby wybyć za ocean akurat teraz, gdy jesteśmy szczęśliwi. Czy jest jakieś niepisane prawo, według którego nie może się między nami układać?”

– Nie mogę się tym teraz zajmować – rzekła, podnosząc się z ziemi.

„Przymknij się, przestań gadać, jakbyś występowała w reality show...”

– Szkoda, że świat nie zawsze odpowiada twojej rozpisce – odwarknął złym tonem.

Stevie się oddaliła, mimo że nie wiedziała dlaczego. Zalała się łzami. Przyspieszyła i pobiegła, lecz zaraz zwolniła, bo wciąż była nędzną sprinterką.

Ciemniejące coraz bardziej niebo przybierało zielonkawą barwę.

W pewnym momencie, gdy już zbliżała się do drogi pomiędzy parkiem a obozem, Stevie postanowiła zawrócić. Wtedy też jednak niebo stwierdziło, że się otworzy – i zaczął padać grad. Musiała wziąć nogi za pas, żeby się skryć pod bramą Słonecznych Sosen. Przebiegając od domku do domku, w końcu dotarła do siebie.

Padalo całe popołudnie i noc, uparcie, jak nigdy od rozpoczęcia obozu. Wszyscy siedzieli w domkach, gdzie panował zaduch i ciasnota. Odwołano wszelkie zajęcia poza, rzecz jasna, kolacją. Nie mając nic do roboty, obozowicze gapili się w tablety i komórki, aż zaczęło im się troić w oczach.

Pod wieczór gdzieś niedaleko rozległo się potężne uderzenie pioruna. Dzieci wrzasnęły jak jeden mąż – ze strachu i zachwycone, że mogą wrzeszczeć. Po chwili padł prąd i tak zostało niemal do rana. W domkach nie było generatorów. Stevie zapomniała naładować tablet i komórkę, więc w ciągu pierwszej godziny burzy baterie się wyczerpały, odcinając jej kontakt z Davidem po przeciwnej stronie jeziora.

Deszcz lał tej nocy z istic biblijną zaciekłością, walił o dach domku, przenikał siatki w oknach, rosił twarz Stevie i jej pościel. Raz po raz budziły ją potworne błyskawice i grzmoty. Janelle spała jak zabita, z zatyczkami w uszach. W sprzyjających okolicznościach tak miłe dla wielu odgłosy burzy cieszyłyby i koily nawet Stevie.

„To nie są sprzyjające okoliczności”.

Najpierw długo stała przy oknie, a później wyszła na werandę i po ciemku obserwowała burzę. Zastanawiała się, czy by nie iść na kemping, ale instynkt samozachowawczy odradził jej wędrowkę przez morderczy las w strugach wody. Cichutko dreptała po werandzie. Przed świtem, znużona, wróciła do środka i legła w pościeli. Ni stąd, ni zowąd przeszył jej bębenki znajomy komunikat:

– Dzień dobry, Słoneczne Sosny! Wszystkiego najlepszego z okazji czwartego lipca!

Przez siatkę okienną zobaczyła z łóżka niebo. Wielkie, błękitne zdawało się mówić: „Co? Ja wczoraj nic nie zrobiłem. O co ci w ogóle chodzi?”.

Łóżko Janelle było puste – już powitała dzień i poszła wziąć prysznic. Stevie, nim w końcu zasnęła, przezornie podłączyła do prądu telefon i tablet, więc już działały. Od razu sprawdziła, czy ma esemesy od Davida. Ale nie napisał.

Bez namysłu włożyła, upačkany wściekle błotem, kwadratowy biały tiszert. Nie miała czasu czekać na Janelle i (nawet esemesowo) jej informować, dokąd idzie. Musiała spieszyć do Davida. Pomknęła przez obóz i ścieżkę na ogólnodostępny brzeg jeziora.

Stevie słyszała o tak zwanych kąpielach leśnych, które polegają na tym, że wchodzi się do lasu i wdycha jego wonie, nawiązując kontakt z naturą – co ma działać leczniczo. Kiedyś pewnie nie dałaby temu wiary, ale dzisiaj rano las naprawdę uspokajał. Głęboki zapach liści i ziemi po deszczu, chłodzący cień poranka kołysały ją i rozjaśniały jej umysł. „Więc się pokłóciliśmy. Klóciliśmy się już nieraz. Cały nasz związek jest naznaczony konfliktami. Będzie okej. Wszystko obgadamy i po krzyku. Wycalujemy to z siebie. Będzie to jedna z tych scen pojednania, o których zawsze słyszałam”. Byłoby super, gdyby nie drobny szczegół.

Tam, gdzie stał namiot Davida, było pusto.



XXIII

„Pająkom się wie. Weźmy choćby tę”. Stevie nie miała wątpliwości, że patrzy na samicę kosiarza. „Siedzi, wyluzowana, w kącie pod ławką przy oknie i pilnuje pajęczyny w oczekiwaniu na przekąskę. Żyje w wiecznym szczęściu, pokarm podfruwa do niej sam, nikt jej się o nic nie czepia...”

– Musisz z tym skończyć – stwierdził Nate.

– Z czym?

Głos Stevie zabrzmiał płasko, bo leżała na podłodze, odwrócona twarzą do ściany.

– Tym, co wyrabiasz. Wyglądasz jak chodzący remake *Blair Witch Project*^[1].

Nie zmieniała pozycji od godziny. „Albo dłużej. A może nawet jeszcze dłużej. Któż to wie?” Przystawiła się na czas pajęczy.

Gdy opuściła niedawne obozowisko Davida, pogubiona, skonsternowana, spacerowała chwilę nad jeziorem. Do obozu wróciła nieco po obiedzie i od razu poszła do chatki na drzewie, gdzie zastała Nate’a siedzącego nad laptopem, zadowolonego, że jest sam. Później położyła się na podłodze i zaczęła dumać o pająkach. Tak do tej pory upłynął jej dzień.

Nate szturchnął ją nogą (w tenisówce).

– Chodzi o Davida – orzekł. – Wiadomo.

Nie odpowiedziała.

– Jak widać, „miłość to cud”.

– Przestań.

– Ja nic nie mówię. Nie wiem i wcale nie chcę wiedzieć, co zaszło. Ale musisz się ogarnąć, cholera jasna! Nie masz nic do roboty?

– Wszystko robi Janelle. Nie jestem jej potrzebna.

– Nie chodzi mi o to. – Podszedł, usiadł przy oknie i spojrzał na nią z góry.

– Wszystko schrzaniłam. Zniszczyłam wszystko.

Nate walnął głową w siatkę za sobą i szybko ją wycofał, bo siatka okazała się luźniejsza niż przypuszczał.

– Stevie.

Wypowiedział jej imię z takim rozdrażnieniem, że oderwała brodę od podłogi i pomału się podniosła. Od długotrwałego patrzenia w nicość dostała zawrotów głowy. Spojrzała po sobie, na biały tiszert, wczoraj nieskazitelny. Wciąż prostokątny, nie był już czysty ani sztywny. Zmienił się w pomarszczony, upačkany, zawilgły wór. Ślady z Czubka Grotu były niemal czarne. Próbowwała je zetrzeć, ale nie ustępowały. Tiszertu nie pokrywał brud, lecz coś atramentowego, nie do zmycia. Stevie zniszczyła tiszert dokumentnie.

Uznała to za złą wróżbę, mroczny znak. Komunikat. Odarto ją z celu. David odszedł. Lato się rozleciało jak mokra papierowa torba.

– Stevie.

Stevie zamrugła i spojrzała w górę.

– Mam na tiszercie jakieś gówno – odparła.

– Może byśmy stąd wyszli? – zaproponował Nate. – Nie mam tu już nic do zrobienia i super. Opuściłaś posterunek. Wybierzmy się do miasteczka.

– Niby po co?

– Żeby się czymś zająć. Jest tam bistro, no nie? Więc się do niego przejedźmy.

Już-już miała odmawiać, ale przelękała się miny Nate'a. Jego wściekle zmarszczonych jasnych brwi.

– Niech ci będzie – odrzekła.

Wstając z podłogi, ukradkiem zerknęła na wiadomości.

„Nic”. Nie zdziwiło jej to, bo komórka cały czas leżała przy jej głowie i nie zapikała ani razu.

Zdjęli rowery ze stojaka, wzięli zamki i kluczyki – i wyruszyli ścieżką ze Słonecznych Sosen, kierując się ku oswojonej już drodze otoczonej drzewami. Dzięki tym zajęciom Stevie zrzuciła z siebie część bólu, ale też niestety przywołały one smutne myśli. „Pewnie niedawno jechał tą drogą David. A może jeszcze gdzieś na niej jest. Powinnam się zatrzymać i zadzwonić do niego. Albo nie. Może lepiej, gdy dotrzemy do miasteczka. Zadzwonię, nim się zbytnio oddali, wjedzie na autostradę, opuści Massachusetts i moje życie. Na zawsze... Anglia. Wybiera się do Anglii? Dlaczego życie się kończy, gdy mam dopiero siedemnaście lat? Osiągnęłam szczyt. Już nie będzie niczego. A poza tym niech go diabli! Jak mógł wyskoczyć z taką wiadomością, gdy rozkminiałam, co się zdarzyło Allison Abbott! Spokojnie mógł mi o tym powiedzieć przez telefon. Miał całą masę szans. No i, no i? Studia za friko? Biedny bogaty chłopczyk. Rodzice w życiu nie opłaciliby mi studiów, bo jakim cudem? Musiałabym się zapożyczyć i spłacać to do śmierci. Ach, przykro ci z powodu z ojca? Wszystko dostajesz za darmo”.

Zaczęła kręcić pedałami szybciej. Zmagając się z wszelkimi możliwymi emocjami, od pewnego czasu już nie trzymała się pobocza. „Żeby tak teraz ktoś we mnie uderzył od tyłu!” Prowokowała kolizję. Nate, który z trudem usiłował za nią nadążyć, krzyczał co chwila, że „jedzie, kurna, środkiem jezdni”. Pedałowanie oddalało myśli, więc droga należała teraz do niej. „Niech mi ją który spróbuje odebrać!”

Przybyli do Barlow Corners w rekordowym czasie, Nate – czerwony ze złości, że w ogóle wpadł na taki pomysł. Stevie natomiast troszkę odżyła. Wreszcie poczuła głód. „Zawsze to jakiś początek”. Przypięli rowery pod biblioteką w pobliżu czytelni Sabriny.

– O Jeezu – westchnął Nate, gdy przechodzili przez ulicę, zmierzając do Mlecznej Księżnej. – Nigdy więcej, bądź pewna. Następnym razem cię tam zostawię.

Dopiero kiedy znaleźli się po drugiej stronie ulicy, Stevie, widząc w witrynach sklepów czerwone, białe i niebieskie chorągiewki, przypomniała sobie, że to przecież święto Czwartego Lipca.

Wieczorem miał się odbyć pokaz sztucznych ogni. Zerknąwszy na komórkę, stwierdziła zdumiona, że dochodzi szósta. A wydawało jej się, że jest dopiero

druga, najpóźniej trzecia. Nie wiedzieć kiedy strwoniła niemal cały dzień na smutki. „Nic dziwnego, że Nate musiał mnie odklejać od podłogi”.

Mleczna Księżna okazała się staroświeckim bistrem, jakie się widuje w telewizji, a w realu spotyka rzadko albo wcale. Był tam długi kontuar z czerwonymi stołkami i stoły o laminowanych blatach, a także klimatyzacja, zbawienie we wszechobecnej duchocie. Jako jedyni klienci, Stevie i Nate zajęli najlepszy boks przy oknie z widokiem na ulicę i skwer. Nad wetkniętą za butelki keczupu kartą dań wystawała główka kapelusza Johna Barlowa.

Podzielając poglądy w kwestii odżywiania, oboje zamówili koktajl mleczny i burgera. Ku zaskoczeniu Stevie, Nate wyciągnął laptop i od razu zaczął pisać.

– Co robisz? – zapytała.

– Nic.

– Piszesz?

– Yyy... tak tylko notuję.

– Piszesz, prawda?

– Rozwiązuj – odpowiedział. – Rozwiązuj.

– Nie mogę rozwiązywać.

– Okej, to siedź. Przynajmniej już nie leżysz. Zrobiłem swoje.

Stevie poczuła się zdradzona.

Otworzyła plecak i wyłożyła rzeczy na stół.

Tablet. Komórkę. Notes. Miała w nich wszystko, co wiedziała o sprawie, wyjąwszy strzępy myśli, skojarzeń. „Mam wszelkie niezbędne narzędzia. Najwyższy czas się zastanowić”.

Spojrzała na tablet, komórkę i notes.

Spojrzała na keczup.

Spojrzała na kartę dań i na kapelusz Johna Barlowa.

Spojrzała na bibliotekę.

Stwierdziła, że zaczyna widzieć.

„Allison Abbott nie żyje. Allison Abbott została zamordowana, co prawie na pewno wiąże się ze sprawą. Allison nie spadła z urwiska bez przyczyny. Moje problemy są teraz kompletnie nieistotne. Allison Abbott już nie ma, więc ktoś musi coś zrobić. Obiecałam Allison, że dostanie dziennik – i wtedy Allison

zginęła. Nasuwa się więc logiczny wniosek, że ktoś wiedział, że Allison jest blisko zdobycia dziennika, wobec tego dziennik musi zawierać coś wartego zabójstwa. Czyli, że cała ta historia toczy się wokół wspaniałej, idealnej Sabriny Abbott”.

Gdy przyniesiono burgery i koktajle, Stevie zaczęła się posilać, kierując teraz uwagę na czytelnikę po drugiej stronie ulicy. Zmrużyła powieki. Kontury budynku się zamazały... „Sabrina. Czyta. Píše. Wypożycza książki do samej śmierci”.

W umyśle Stevie coś się zarysowywało. Próbując nie zgubić myśli, sięgnęła po tablet i otworzyła zdjęcia izby pamięci w domu Allison. „Starannie poukładane rzeczy. Książki, ubrania, bibeloty, fotografie, longplaye. Życie nastolatki zatrzymane w czasie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku”. Obejrzała zdjęcie karty biblioteczej z tytułami, które Sabrina zamówiła przed śmiercią. „*Kobieta w Berlinie i Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy*. Poważna lektura dla poważnej osoby, planującej studia na Columbii”. Przypomniał jej się pamiętnik Sabriny z siedemdziesiątego siódmego roku, z wykazem przedmiotów i liczbą godzin nauki. „Sabrina była nad podziw dokładną kronikarką”.

Znów coś zamajaczyło w głowie Stevie. Po chwili znowu. I znowu. Gra cieni na ścianie. Duchy. Odpowiedzi. Odpowiedzi szyderczo nieuchwytnie.

– Cholera – mruknęła.

– Co?

Zdegustowana, Stevie uderzyła dłońmi w stół.

– Widzę to – odparła. – Skrawki. Nikłe przebłyski. Tak jak wtedy łosia za drzewami. Coś zobaczyłam. Albo usłyszałam... I nie jestem w stanie dociec co.

– Mam tak samo, kiedy piszę – odrzekł Nate. – To jest coś okropnego. – Upił łyk koktajlu.

Stevie przywarła czołem do stołu. Nate kontynuował:

– Ludzie pytają: „Jaką masz metodę?”. Nie wiem, jaką mam metodę. Siadam i piszę o potworach. Albo nad tym myślę. Albo pisanie mi się splata z myśleniem.

Ściana zamigotała cieniami, niejasne przeczucia nabierały kształtu.

Stevie podniosła głowę.

– Co mówiłeś? – spytała.

– Co? Kiedy? Co mówiłem?

– Pisanie. Myślenie. Że co?

– Co?

– Przestań powtarzać „co” – odpowiedziała. – O czym mówiłeś? Pisziesz i myślisz?

– No – przytaknął Nate. – Tak jakby myślę palcami, rozumiesz? To brzmi fatalnie. Wiesz, o co chodzi.

– Pisziesz coś – odparła. – Wklepujesz. Kurde, kurde, kurde... Dawaj laptop.

– Chcesz mi dokończyć książkę? – zapytał, podsuwając jej laptop. – Bo to dla mnie niezły news.

Zamiast pisać czy choćby spojrzeć na ekran, Stevie wbiła wzrok w klawiaturę i delikatnie powiodła palcem od klawisza A aż do Enter – i z powrotem.

Po czym wzięła tablet i – gorączkowo cofając strony – znalazła wreszcie to, co chciała.

– O Boże – rzekła. – Muszę jechać.

– Co?

– Przestań powtarzać „co”! Muszę jechać.

– Przestań powtarzać, że musisz jechać – odwarknął Nate, chwytając klucz do blokady rowerowej. – Dokąd się wybierasz?

– Do domu Allison. – Stevie kiwnęła na kelnera, że chce zapłacić.

– Nic z tego. Zapomnij. Allison nie żyje.

– Więc się nie zmartwi. Oddawaj klucz. Wiem, gdzie Sabrina schowała dziennik. Nie zginął.

– Stevie, tłumacz.

Stevie aż skreśliło, ale otworzyła zdjęcie.

– Masz – powiedziała, podając mu tablet. – To zdjęcie listy zamówień do pawilonu sztuki w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym wraz z kosztami.

Ceramika: szkatułki na pierścionki, stojaki na kolczyki, koty, pieski, słoiki na ciasteczka; kubek na śmieci, żółw, misio, wrotka (28 dolarów)

– Maszyny do pisania były beznadziejne – ciągnęła. – Nie miały klawisza „backspace”. Zobacz, co jest po „słoikach na ciasteczka” – średnik. Bez sensu, prawda? W latach siedemdziesiątych, kiedy się uderzyło w nie ten klawisz co trzeba, nie można było łatwo poprawić błędu. A teraz spójrz na swoją klawiaturę. Średnik i dwukropek to jeden klawisz. Wychodzi średnik, jeżeli się zapomni wcisnąć „shift”. Jak wciśniesz „shift”, zrobisz dwukropek, co się bardziej zgadza. Dwukropek oznaczałby...

– Że to była lista.

– Bezspornie. To znaczy, że zamówili słoiki na ciasteczka w następujących kształtach: kubła na śmieci, żółwia, misia, wrotek. Kto pisał tę listę? Sabrina. Kto w ramach pracy musi przygotowywać projekty? Sabrina. Kto uwielbia żółwie? Sabrina. Pamiętasz tego wielkiego żółwia w czytelnicy? – Stuknęła w okno, wskazując bibliotekę. – Sabrina mówiła, że dzieci grzebią w jej rzeczach, więc zrobiła sobie skrytkę. Słoik na ciasteczka w kształcie żółwia. W noc, gdy zginęła, nie mogła mieć go przy sobie. Był w domku. A teraz...

Znowu przesunęła zdjęcia i znalazła te z pokojem w domu Allison. Triumfalnie skierowała tablet z powrotem ku Nate’owi.

– Tu. – Pokazała palcem dużą figurkę żółwia na półce. – Co ci to przypomina?

– Żółwia – odparł. – Ewentualnie słoik na ciasteczka w kształcie żółwia.

– Daj mi ten klucz.

– Jadę z tobą – odpowiedział.

– Nie znosisz być przy mnie w takich razach.

– Zgoda – potaknął. – No i cię znam. Tym się zajmujesz. To jest twój ruch.

– Muszę to zrobić. To należy do pracy.

– Ależ ty to kochasz, co nie?

Stevie nie odpowiedziała, bo rzeczywiście ubóstwiała to robić.

– Wiesz, że ciebie też kocham, prawda?

– Powiedz to moim zrozpaczonemu rodzicom, gdy przez ciebie zginę – odrzekł, sięgając po portfel. – Zapłaćmy i chodźmy, bo się jeszcze rozmyślę.



XXIV

Dzień dogasał szybko. Gdy spoceni i nabuzowani podjeżdżali pod dom Allison, zostało niewiele światła.

– Kiedy... wej... dziemy... do... środka – rzekł, łapiąc oddech, Nate – piję... co... tylko... się znaj... dzie w lodówce. Może... to i... kradzież. Mam... to... gdzieś. Mam to... gdzieś.

Stevie pokiwała głową.

– Trzeba by chyba ukryć rowery – powiedziała.

– Po co? Wokół nikogo nie ma.

– Na wypadek, gdyby się ktoś napatoczył. No, bo to mimo wszystko...

Postanowiła pominąć słowa „włamanie i wtargnięcie”. Nate spojrzał na przyjaciółkę z miną oznaczającą coś pomiędzy znużeniem a zgrozą. Potoczyli rowery między drzewa i położyli na boku. Następnie przeszli ciemną dróżką na podjazd Allison.

– Może mieć wideowizjer – zauważył cicho Nate.

– Przecież już nie monitoruje drzwi – odparła Stevie.

Chociaż w pobliżu domu nie było nikogo, stwierdzili, że wchodzenie drzwiami od frontu to zły pomysł. Prowadząc Nate’a w stronę bocznego wejścia, Stevie pogrzebała w torbie i wyciągnęła rękawiczki nitryłowe.

– Włóż je – nakazała, podając mu parę. – Zobaczysz, jakie są wygodne.

Wydobyła portfel. Miała w nim kartę debetową, która była jej potrzebna. Miała też kartę kredytową, w zasadzie do niczego, uznała jednak, że lepiej ją zachować. „Identyfikator z Akademii jest solidny, wytrzymały, a tak czy owak dostanę nowy na jesieni”. Wyjęła identyfikator i zaczęła nim gmerać w szparze między drzwiami a futryną.

– Otwarcie drzwi to bułka z masłem, co? – zapytał Nate.

– Już to widziałeś w moim wykonaniu.

– Tak, ale sądziłem, że to dlatego, że zamki w Akademii są stare i nędzne. Łudziłem się, że domy zabezpiecza się lepiej.

– Ochrona to iluzja – odrzekła Stevie. – Wierz w to, w co chcesz.

Zamek otworzył się lekko i Stevie pchnęła drzwi. Oboje wkroczyli do pogrążonego w ciemnościach domu. Stevie już się zdarzało wkradać do prywatnych posesji – nawet świeżo zwolnionych przez osoby, które spotkał tragiczny koniec. Mimo że nie miała wielu podobnych doświadczeń, to, że je w ogóle miała, zasługiwało na uwagę. Akademia Ellinghama pozwoliła detektyw Stevie Bell wykazać się niejedną raz.

Ostatnio Stevie wchodziła do tego domu przez kuchnię. To wejście wiodło na niższy poziom, do umeblowanej sutereny, którą Allison zmieniła w siłownię. Pokonawszy schody na górę, znaleźli się na korytarzu obwieszonym zdjęciami w ramach. Z dala dobiegł ich huk pierwszych wystrzałów sztucznych ogni.

– Wszystkiego najlepszego w Dniu Niepodległości – rzekł Nate.

Pokój Sabriny, jak go teraz nazywała w myślach Stevie, mieścił się za zamkniętymi drzwiami na drugim końcu korytarza. Po chwili namysłu, czy by nie włączyć górnej lampy – z nadmiaru ostrożności postanowiła jednak użyć latarki. Omiatając światłem pomieszczenie, próbowała odszukać dużego żółwia. Tam, gdzie stał poprzednio, już go nie było. Tymczasem Nate wodził wzrokiem po półkach.

– Co ma być? – rzucił. – Szczotki do włosów? Stare ołówki? Toż to...

– Dzieło zrozpaczonej siostry – wcięła się Stevie.

– ...z powieści grozy.

Obracając się o trzysta sześćdziesiąt stopni, Stevie zeskanowała latarką każdą powierzchnię w pokoju.

– Żółw zniknął – orzekła. Chwilę się zastanawiała, kiedy uderzyła ją ta myśl: „Gdy pokazałam Allison wykaz przyborów plastycznych, zareagowała wzruszeniem – tak głębokim, że natychmiast mnie zabrała do przychodni weterynaryjnej Paula Penhale’a”. – Rozkminiła to. Zabrała żółwia. Musimy go odnaleźć.

Poszukiwania zaczęli na górze. Od razu wyeliminowali łazienkę. Najbardziej niezręcznie było wchodzić do pokoju Allison, ale Stevie odpuściła sobie wszelkie skrępowanie. Najpierw powierzchownie – na sekretarzyku i nocnych szafkach ani śladu żółwia. Zerknęła do szafy, gdzie wszystko schludnie wisiało na wieszakach i leżało na półkach. Żółwia tam nie było. Zajrzała pod łóżko, Nate rozglądał się po pokoju z nieszczęśliwą miną. Pobieźnie przejrzeni zawartość bielizniarki. I to na próżno.

Kiedy zmierzali z powrotem na dół, pokaz fajerwerków rozpoczął się na dobre. Za rzędem drzew pod domem było widać smugi światła. Stevie wysłała Nate’a, aby sprawdził salon, a sama wróciła do kuchni. Wkrótce odnalazła to, po co przyjechała – żółwia wepchnięto w kąt blatu, tam gdzie się stawia słoik z ciasteczkami.

– Mam cię! – Podniosła żółwia i siadła z nim na podłodze za wyspą kuchenną.
– Nate! Tutaj!

Nate dołączył do Stevie w kuchni i położył się na podłodze obok niej.

– Oświetlaj go – rzekła, opuszczając komórkę, żeby podważyć wieczko.

Nie otworzył się.

– Słoiki na ciasteczka mają gumowe uszczelki – wyjaśniła. – Trzeba...

Chwyła krawędź skorupy żółwia i szarpnęła mocniej. Na nic. Szarpnęła jeszcze raz. Poczowała, że leciutko się poddaje. Jeszcze raz szarpnęła.

– Może guma sparciała – pomyślał na głos Nate.

Stevie siadła wygodnie i długo przyglądała się żółwiowi. Pomalowany na jaskrawozielono i żółto, uśmiechał się z zadowoleniem. „Bardzo ładny żółw, wykonany troskliwie...” Kolejny zabieg Stevie był przykry, lecz niezbędny.

– Wybacz, Sabrino – westchnęła.

Wstała, spojrzała na kontuar, otworzyła parę szuflad i znalazła wałek do ciasta. Z całej siły uderzyła żółwia w skorupę.

– Można i tak – stwierdził Nate.

Skorupa pękła na trzy duże kawałki. Stevie usunęła je, odsłaniając sparciały gumowy pierścień i wgłębienie na ciasteczka. Ale zamiast ciasteczek leżała w nim czerwona książeczka w miękkiej oprawie, opatrzona złotym napisem „Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty ósmy”.

– Prawda w skorupie – wyszeptała Stevie.

Brzegi dziennika z upływem lat ściśle przyległy do kształtu słoja, tak że Stevie nie zdołałaby go wyjąć, nie niszcząc. Musiała rozbić głowę i jedną z nóg żółwia, żeby sobie zrobić trochę miejsca do manewru. „Jak się zacznie tłuc cenne żółwie z ceramiki, to już właściwie nie ma sensu przerywać”.

Dziennik się pogiął w hermetycznym słoiku, ale poza tym był świetnie zachowany. Niezakurzony, suchy, a nie kruchy. Stevie otworzyła go ostrożnie. Pierwsza strona dobitnie ujawniała, co znaleźli.

WŁASNOŚĆ SABRINY ABBOTT

– Już nigdy w ciebie nie zwątpię – przyrzekł Nate.

Stevie odwróciła pogiętą kartkę. Zobaczyli pierwszy wpis.

3 stycznia 1978 roku

Witaj, tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty ósmy roku. Miło mi cię poznać. Czas otworzyć ten nowiutki dziennik, który dostałam na gwiazdkę. Podoba mi się, że ma prostą czerwoną okładkę. Dziennik ze Snoopym z zeszłego roku podobał mi się, bo uwielbiam Snoopy'ego i to się nigdy nie zmieni, ale ten jest bliższy moich oczekiwań na przyszłość.

– Mamy go – powiedział Nate. – Powinniśmy go zabrać i jechać. Poczytamy w obozie.

Stevie przeczytała jeszcze kilka zdań.

Dziś wróciliśmy do szkoły po feriach świątecznych. Z powodu Michaela Penhale'a mówiono o przesunięciu otwarcia, ale byłoby to chyba zbyt skomplikowane, więc wróciliśmy tego dnia, co zwykle. Nie mogę uwierzyć, że to już dwa tygodnie od śmierci Michaela. Weszłam z kilkoma osobami do samorządu uczniowskiego.

– Stevie...

– Już, już. – Zamknęła dziennik i włożyła do plecaka. – Już...

Zakrył jej usta dłonią. Skonsternowana, rozwarła oczy, aż do niej dotarło, dlaczego to zrobił. Ktoś najwyraźniej otwierał frontowe drzwi.

Bohaterowie kryminałów i dreszczowców mówią, jak serce podchodzi im do gardła. W tym momencie Stevie zrozumiała, co dokładnie mają na myśli – miała wrażenie, jakby tam jej uwięzła wielka pulsująca bryła, od której albo wymiotuje, albo zacznie pluć krwią, albo się udławi. Nate przywarł do podłoża i się rozpląszczył, jakby udawał kuchenny dywanik. Potem, widząc, że to niewłaściwe posunięcie, przyjął pozycję na czworakach. Stevie wyciągnęła rękę w geście „Ani kroku!” i, nasłuchując odgłosów, usiłowała pojąć, co się dzieje.

Drzwi się otworzyły. Rozległy się kroki – ktoś wszedł. Sądząc po dźwiękach, przystanął pod drzwiami i nasłuchiwał jak Stevie, co się jej bardzo nie spodobało. Osobnik przeszedł przez salon na korytarz, a później zatrzymał się gdzieś poza przejściem do kuchni. Nastąpiła przeraźliwie długa pauza, po czym kroki cofnęły się ku schodom i osobnik ruszył na górę.

Stevie przełknęła ślinę, by się przekonać, czy jeszcze oddycha. Sprawdziwszy, czy Nate żyje, przekręciła głowę w stronę drzwi do kuchni. Podnosząc się najpierw na kolana, a potem na nogi, wstała i ruszyła do nich na palcach. Drzwi miały zasuwkę i jakby pokrętko nad klamką. Ostrożnie poruszyła nimi równocześnie. Poszło jej nieźle, lecz gdy uchylała drzwi, wydały osobliwy terkot. Odgłos kroków nad ich głowami ustał.

Nie było czasu na podchody, nie było czasu na udawanie, że ich nie ma. Stevie złapała Nate’a i pchnęła przez drzwi, ledwo ukrywając odgłos ich wyjścia. Na dworze zapadła noc, więc w nagrzanym ogrodzie za domem migotały świetliki. Gdyby wybiegli od razu, tajemniczy ktoś mógłby ich spostrzec przez okno. Dała znak Nate’owi, żeby szedł za nią, i zaczęli się skradać blisko domu. Dotarli do frontu, zwróconego ku drzewom i podjazdowi.

– Start! – szepnęła do Nate’a.

Zerwali się i przebiegli zwirowany podjazd najszybciej i najciszej jak się dało. Księżyc niestety świecił wysoko i raz po raz odpalano sztuczne ognie, więc uciekali nieosłonięci – ale mimo to przemknęli wśród drzew do lesistej części

podjazdu, chowając się przed wzrokiem intruza. Kiedy dotarli do ulicy, Stevie nagle zawróciła.

– Czeka! – Złapała Nate’a za rękę. – Czeka, czekaj, czekaj...

Odwróciła się i postąpiła kilka kroków w stronę domu.

– Stevie.

– Patrz – nakazała. Nie drgnęła, dopóki nie podszedł, by zobaczyć, co wskazuje.

– Co? – syknął. – Przecież nic nie ma.

– Otóż to. Nic nie ma. Nie ma samochodu.

Nate na moment zamilkł.

– Co to znaczy? – spytał w końcu.

– To znaczy, że ten ktoś przybył tu na piechotę.

– Ale co to znaczy? – powtórzył Nate.

– Pewnie coś złego – odrzekła Stevie. – Chodźmy!

Pospieszyli z powrotem alejką. Nate nieco wyprzedził Stevie i dał nura między drzewa. Chwilę potem wyłonił się zza nich i zaczął na Stevie.

– Rowery znikły – oznajmił po prostu. – Może to nie tu, no ale przecież zostawiliśmy je przy tym szyldzie...

Sterie to przeczuwała, odkąd spostrzegła, że na podjeździe nie ma samochodu. „Kiedy się knoci, to na całego, wiadomo”.

– Chodź! – Pociągnęła Nate’a między drzewa. – Pójdziemy z powrotem, ale z dala od drogi. Pójdziemy dookoła jeziora.

Gdy szli, wyjęła telefon, aby zajrzeć do mapy. Mapa ładowała się wieki, bo był słaby zasięg. Kiedy się wreszcie otworzyła, była bezużyteczna.

– Myśli, że jesteśmy na środku jeziora. – Stevie wepchnęła telefon do kieszeni.

– Trzeba się będzie jakoś dostać nad jezioro i je obejść. To na pewno ten kierunek.

– Mamy się włóczyć po morderczym lesie po ciemku, kiedy ktoś jest w domu, do którego się włamaliśmy?

– Chyba że masz inną propozycję – odrzekła.

– Chciałem się upewnić, czy nadążam.

Stevie sięgnęła po klucze. Jeden z breloków był pojemniczkiem na pigułki. Odkręciła go po drodze i wytrząsnęła maleńką tabletkę. Zawsze miała przy sobie jeden ativan – na wypadek napadu paniki. „Pora się przygotować na zaginięcie w morderczym gąszczu. W domu po atiwaniu czułabym się senna. A tutaj, w lesie, pomoże mi się nie rozsypać”. Bez trudu połknęła małą tabletkę na sucho. Wsuwając klucze z powrotem do torby, zauważyła kątem oka nikły błysk światła za nimi. Jednym ruchem popchnęła Nate’a za drzewo. Kiwnął głową na znak, że się nie odezwie.

Usłyszeli kroki.

Cisza. Osobnik przystanął.

Mieli dwie opcje. Przyjąć, że człowiek, który był w domu, ruszył w ślad za nimi do lasu z całkiem sensownych pobudek. Wszedł po coś do domu i podejrzewając, że ktoś tam jest, rozejrzał się, spostrzegł zmierzające do lasu dwie postaci i postanowił za nimi pójść. Mogli więc zwyczajnie wyjść z za drzewa, zobaczyć, kto to, i się przyznać.

„Tyle że ten ktoś nie przyjechał samochodem i zabrał nam rowery. Więc pozostaje opcja numer dwa”.

– Musimy wiać – szepnęła Nate’owi do ucha.

Wybiegli prosto na wysypaną trocinami ścieżkę okalającą jezioro. Pod względem orientacji w terenie była to słuszna decyzja, ale niestety nie mieli żadnej osłony. Teraz jednak już się to nie liczyło. Ścieżką mogli się poruszać szybciej – i wiedzieli, dokąd zmierzają. Słyszac, że tamten, czy też tamta depcze im po piętach, Stevie się obejrzała, lecz nie zobaczyła nikogo. Biegła jak w swoich snach: zawzięcie, niemal przelatując przez czerń. Nate pędził tuż przed nią.

Poczuła, jak mija ją nabój, zanim go usłyszała. „Przedziwne”. Obok przemknęło coś ze świstem jak ważka. Wylądowało na pobliskim drzewie, bryzgając wkoło drzazgami.

– Ja pitole! – Nate obrócił się z krzykiem. – Ja pitole.

Instynktownie porzucili ścieżkę i skoczyli między drzewa. Co chwila robiąc uniki, przemykali w ciemności. Grunt – pełne jam kłębowisko korzeni – ustępował w najmniej spodziewanych miejscach.

Stevie czuła półświadomie, że smagają ją gałęzie, ranią skórę. Ledwie do niej docierał ból wykręcanych przez przeszkody i dziury kostek. Nie mieli pojęcia,

gdzie są – już ich wchłonął mroczny las. „Może zmierzamy w stronę obozu, a może kręcimy się w kółko. W ciemnościach drzewa wyglądają jednakowo”. Ale nagle przed nimi pojawiła się jakby polana – wizjer, przez który Stevie dojrzała radosne eksplozje fajerwerków. Czerwień, biel, błękit. „Punkt orientacyjny”. Ruszyła ku nim, chowając się za drzewami. Z napięcia nóg i kolan wynioskowała, że przesuwa się coraz wyżej, co przynajmniej oznaczało zmianę kursu.

Śśśświssssst. W coś nieopodal znów trafił nabój; Stevie poczuła siłę jego wybuchu. Dotarło do niej, że Nate krzyczy i klnie, lecz zagłuszyła to krew pulsująca jej uszach i crescendo sztucznych ogni. Podłoże stało się bardziej skaliste, więc łatwiej było się poruszać...

Wtem osłona drzew zniknęła. Las się otworzył i szli pod gołym niebem. Stevie uzmysłowiła sobie, że prześwit, do którego zmierzali, to w istocie Szczyt Dwudziestu Trzech. Wycofała się, próbując iść dalej przez teren zalesiony, lecz nieprzebyty grunt opadał odtąd kaskadowo, niebezpiecznie. W dodatku nie miała pojęcia, gdzie znajduje się ich prześladowca.

– Musimy – wydyszał Nate, pociągając Stevie za rękę.

– Co?

– Jesteśmy w potrzasku. Skacz najdalej, jak dasz radę. Stopami razem.

Zobaczyła pod sobą jezioro, nieme i ciemne jak czarne zwierciadło, odbijające księżyc i sztuczne ognie. Już się jej zdarzało znaleźć w nieciekawym położeniu – w tunelach Akademii Ellinghama, w śniegowej pułapce. „Tu to co innego. To wymaga działania – rozmyślnego skoku w nieznaną”. Nie tylko się bała, była śmiertelnie przerażona.

– Skacz najdalej, jak dasz radę – powtórzył Nate. – Staraj się spadać prosto; stopy ściągnięte w dół. Weź rozbieg i skacz!

Nie potrafiła. Stopy przywarły do ziemi. Usiłowała nimi poruszyć, ale się zbuntowały.

W drzewo obok trafił nabój.

Kilka kolejnych sekund upłynęło na zwolnionych obrotach. Nate krzychał: „Dalej! Dalej! Dalej!”. Z trudem się cofnęła, przykucając. Nate zrobił to samo, po czym pchnął ją w plecy. Z myślą, że może ostatni raz czuje pod stopami ziemię, Stevie skoczyła naprzód jednym susem.

Kiedy nawiązała kontakt z niebem – w strachu, że krawędź skały już czeka, próbowała zamknąć oczy, ale nie była w stanie. Spadała.

Lustro wody zbliżało się prędko, wtem...



XXV

Przez moment nie było niczego. Była nigdzie. Nie było Stevie. Była całkowicie i skończenie wolna od przestrzeni i czasu; powietrze przeciął ledwie słyszalny gwizd. Jej lewego boku dotknęło coś twardego. Lecz to nic wobec tego, co nadeszło sekundę później. Jakby przebiła szklaną taflę, roztrzaskując ją. Do jej nosa i ust wpłynęła zimna woda. Cała zapłonęła bólem i brakiem oddechu. Nie wiedziała, gdzie się podziać. Nie wiedziała, co jest powierzchnią, a co dnem. Mroczna głębia pochłonęła wszystkie jej zmysły.

„Umieram”.

Myśl w nikłym przebłysku świadomości: „To ciekawe”. Żadnego wysiłku z jej strony. Tylko kilka bąbelków w czerni i upadek w nieznaną otchłań. Dotarło do niej, że nadal ma plecak i że plecak ją przygniata. Poprzez zamęt, palenie całego ciała skręciła się, aby go zrzucić. Z jednego ramienia zsunął się szybko. Nie pojmując, jakim cudem działa w wodzie druga strona jej ciała, ostatecznie obróciła się i pozbyła plecaka. Dodało jej to trochę otuchy, ale wciąż nie rozpoznawała kierunków. Ogarnęła ją panika, spowiła jak całun. Świat się rozprysnął na czarno-białe okruchy, kiedy traciła przytomność. Chwilę potem eksplodował świat obok – diabelski wir? – szła na dno jeziora, a jej płuca...

Coś dopadło jej ręki, coś ją ciągnęło w górę. Krztusząc się i kaszląc, wypłynęła nad powierzchnię. Nie była zdolna oddychać. Wypełniała ją woda. Kiedy Nate grzmotnął ją w plecy, z jej ust i nosa buchnęły strumienie gęste od śluzu.

Walcząc z odruchem wymiotnym, nie wiedziała, jak zaczerpnąć powietrza ani jak się oczyścić. W uszach miała wodę, więc nie rozumiała jego słów. Morze łez w oczach przesłaniało jej wszystko.

Oślabła tak, że nie mogła iść przez wodę, ale do skał u podnóża klifu było niedaleko. W końcu dowlekli się tam jakoś wspólnymi siłami.

– Dzie-n-nik! – wrzasnęła, łapiąc oddech, rozdygotana. – Prze-p-p-p-adł.

– Nie-w-w-ważne. Zap-p-pom-nij. Stevie. S-s-s-t-t-te-vie.

Stevie chwyciła się skały prawą ręką, która jednak zaraz osłabła. Gdy ją zmieniła na lewą, ramię przeszył okropny ból. Już się zaczęła ześlizgiwać, ale Nate złapał ją za tiszert i podciągnął z powrotem.

– Z-z-zda-j-j-je się, że moje r-r-ram-m-mię... – wystękała. Resztę przekreślił ból.

Na nieruchomej smolistej wodzie kiwał się maleńki księżyc z kreskówki. Z trudem podniosła oczy, sprawdzając, czy nad nimi ktoś jest, ale widziała tylko skały i ciemność.

– M-m-mys-l-l-lisz, że s-s-sobie p-p-po-szedł? – wybełkotał Nate.

Pokręciła głową, niepewna, czy ma na myśli „Nie”, czy „Nie wiem”.

– Hej! – Dobięgl ich krzyk z drugiego końca jeziora. – Hej! Nic ci nie jest?

„Głos Davida. Czyżby halucynacje? Czy to się w ogóle zdarzyło? Strzały, upadek... Czy ja umarłam w tej wodzie?”

– N-n-n-ieee! – odkrzyknął Nate.

– Nate? Zaczekajcie! Czekać!

– D-d-dob-b-ra! – odpowiedział Nate, coraz bardziej się trzęsąc.

„Jednak nie halucynacje. To David”.

Stevie patrzyła, jak David zbliża się w kajaku. „Czy to potrwa pięć minut, czy pięć godzin, nie wiadomo...” Przemarzła na kość i ledwo trzymała się skały. Starła się wczołgać na skałę, by się wydostać z wody, lecz na to już zabrakło jej sił.

Gdy David podpłynął, Stevie stwierdziła ze zdumieniem, że wraz z resztą jej ciała z wody wynurza się złość.

– Co t-t-ty t-t-tu, do ch-ch-cholery, r-r-ro-b-b-bisz?

– Wyciągam ci tyłek z jeziora – odgryzł się David. – A co ty tu, do cholery, robisz?

– R-r-rany b-b-booos-k-k-kie, p-p-przes-s-stań-cie.

Ten drobny wybuch emocji wyszał ze Stevie resztki energii. Zdrętwiała z zimna i wyczerpania, zaczęła się zsuwać z głazu.

– Hola... hola... – David przełożył nogi przez bok kajaka i zanurzył się w wodzie, niezdarnie obejmując Stevie. Ważyła swoje, więc się chwilę szarpał, by jej nie wypuścić i utrzymać drugą rękę na kajaku. – Okej – powiedział, wyczuwając powagę sytuacji. – Jak to się robi? Nate, dasz radę przytaskać się tu i chwycić kajak?

– Chy-chy-chy-b-b-ba – odrzekł Nate, sięgając po kajak. Dopiero po chwili zdołał się mocniej chwycić liny z boku i wciągnąć do środka.

– R-r-ra-m-m-mię – wymamlała Stevie. – Nie cz-cz-czyn-n-ne.

– Dobrze. – David chciał ją uspokoić i poniósł porażkę. – Dobrze, że cię mam.

Wyciągnął z kajaka kamizelkę ratunkową i przełożył przez sprawne ramię Stevie. Nate trzymał rufę, więc David pomógł Stevie przyjąć pozycję spoczynkową.

– Okej – powiedział. – Do plaży jest blisko. Trzymaj się, Nate.

David wspiął się na skałę i wśliznął do kajaka. Odpychając się wiosłem, o mało nie walnął Nate'a w głowę. Zaczął wiosłować – nierytmicznie, by ich przypadkiem nie uderzyć. Najbliższy odcinek piaszczysto-żwirowej plaży był oddalony o niecałe trzydzieści metrów, lecz w obecnym stanie Stevie by tam nigdy nie dotarła sama. Chwilami ogarniała ją senność. Chciała zamknąć oczy, ale wewnętrzny głos i głos zewnętrzny (Davida) upominały ją, by czuwała i się nie poddawała. Kiedy znowu spróbowała poruszyć lewym ramieniem, by porządnie włożyć kamizelkę, zapiekło ją z bólu tak, że świat rozleciał jej się pod powiekami w milion drobinek. „Straciłam lewe ramię”. Więc postanowiła wymagać więcej od prawego. „Prawe ramię zagra teraz swoją życiową rolę”. Nakazała mu ignorować ziąb, ignorować zmęczenie. „Oto, droga publiczności, najsilniejsze, najlepsze ramię świata”.

Poczuła coś pod sobą – jej stopy wlokły się po podłożu.

– Już prawie – rzekł David. – Tutaj... tu.

Zwolnwszy uścisk, Nate obrócił lekko kajak. Słaniając się, wyszedł na plażę. Tymczasem przeciążone prawe ramię Stevie zdrętwiało. Stevie się osuwała. Walczyła dzielnie, dopóki ziemia nie uderzyła ją w kolana. David wysiadł z kajaka, zatoczył się, nie upadł, wziął Stevie pod pachę i przeciągnął na brzeg. Skończywszy swoją robotę, kajak radośnie się oddalił.

David pochylił się nad Stevie i Nate'em na lodowatym piachu.

– Jak się czujecie? – spytał. – Co jest grane, do jasnej chole...

Sterie podniosła na niego wzrok. Jego twarz zasłaniała księżyc i sztuczne ognie.

– Ch-chyba z-z-zła-m-m-ma-łam rękę...

I wtedy na szczęście zemdląa.



Następnych kilka godzin upłynęło jak we mgle. Ktoś z kempingu wezwał leśniczego, który znalazł ich na plaży. Stevie zarejestrowała strzęp rozmowy o tym, czy utrzyma się na nogach. Musiała oblać sprawdzian, bo ktoś ją położył na tablicy do koszykówki i założył jej coś na szyję. Odbyla dziwną podróż przez las, podskakując na tablicy trzymanej przez dwóch ludzi, którzy zjawili się znikąd. Potem jechała z Nate'em karetką.

– Dziennik... – zaczęła.

– Zapomnij o dzienniku – odrzekł, telepiąc się pod kocem termicznym.

Tępy ból ogarniał ciało, przenikał nawet kości. Wciąż usiłując przymknąć powieki, zwojowała tylko tyle, że zbudził ją sanitariusz i zaświecił jej w oczy. „Czemu nie dają mi spać? Może gdybym usnęła, przeczytałabym w snach dziennik Sabriny...”

To, na czym leżała, nagle się uniosło – i przewieziono ją do makabrycznie zimnej i nieprzyzwoicie jasnej izby przyjęć. Po drodze patrzyła na przesuwające się płytki na suficie. Na świetlówki, na tablice nad drzwiami. W przegrodzie za zasłonami pielęgniarka pytała Stevie o personalia. Wchodzące osoby o obojętnych minach nie dawały jej spokoju. Chciały oglądać źrenice, słuchać serca, poruszać ręką...

Na to ostatnie reagowała piskiem.

Nadal próbowała zamknąć oczy i przywołać pismo Sabriny, objąć myślami pamiętnik. A wtedy umysł podsunął jej coś lepszego. Twarz. „Ta twarz, te wielkie piwne oczy i ciemnobrązowe włosy. Sabrina”. Nie widziała jej wyraźnie, ale wyczuła w pobliżu jej obecność. Sabrina szeptała coś, co było trudno jej zrozumieć.

– Nie ruszaj się, Stevie. Świetnie ci idzie.

Otworzywszy oczy, uzmysłowiła sobie, że przemawia do niej nie Sabrina, tylko pracownica szpitala, która wsunęła jej głowę do wielkiego urządzenia. Wyjęto ją stamtąd po krótkim pobycie.

„O Boże, jak tu zimno”. Zadrżała spazmatycznie.

– Każę pielęgniarce przynieść ci koc – powiedziała kobieta.

Gdy Stevie odwieziono z powrotem na korytarz, pielęgniarka przyniosła obiecany koc i opatulila ją ostrożnie.

– Może cię uciska? Wołałabyś luźniej?

– Później?

– Luźniej.

– Później nie zdążę – odpowiedziała Stevie.

Marszcząc brwi, pielęgniarka poprawiła koc i zawiozła Stevie do kolejnego celu tej podróży: na oddział radiologii. Potem Stevie trafiła do niewielkiego pomieszczenia, w którym założono jej gips na lewą rękę. Kiedy wędrownka po szpitalu dobiegła końca, Stevie wróciła na izbę przyjęć. Przez kilka minut była sama. Zasłona się rozchyliła i zajrzał do niej Nate... w za dużych fioletowych spodniach do jogi i polarze z logo Zapakuj.

– Hej, wariatko – powiedział. – Już nigdy tego nie róbmy. – Zbliżył się i stanął przy samym łóżku. – Nic ci się nie stało. Sądzą, że to wstrząs. Nie byli pewni, czy się uderzyłaś w głowę, więc cię obserwują. Miałaś tomografię. Pamiętasz?

– Jak przez mgłę.

– Myślę, że skakaliśmy ze Szczytu Dwudziestu Trzech dla jaj. Uważają nas za dupków. Nie tłumaczyłem, że skoczyliśmy, bo ktoś do nas strzelał. Przemyslałem to, Stevie – bo ktoś do nas strzelał. Ale włamaliśmy się do domu, więc...

Stevie przytaknęła ociężale.

– Poprosiłem, żeby zadzwonili po Carsona. Dlatego jestem tak ubrany. Jako właściciel obozu ma dostęp do wszystkich formularzy zgody, które musieli podpisać rodzice, i do kopii naszych papierów ubezpieczeniowych, no wiesz. Jest tak nieodpowiedzialny, że nie da znać rodzicom, więc może wyjdziemy z tego cało.

Oczy Stevie zaszły łzami.

– Przepraszam – odrzekła.

– Daj spokój – odparł, spuszczaając wzrok. – Jak się z tobą idzie na miejsce zbrodni, dostaje się za swoje, normalna. Dzwoniliśmy do Janelle. Tak bardzo chciała się tu dostać, że już się bałam, że przyjdzie. Ale ją przekonałem, by zaczekała do rana. Chyba cię wezmą na oddział, żeby mieć cię na oku. Ja mogę wracać. David zostanie, dopóki nie zabiorą cię na górę.

– Wiesz, że cię kocham, prawda? – zapytała.

– Spróbowałabyś nie kochać.

Nate chciał uścisnąć jej sprawną rękę, lecz tylko ją po niej klepnął w skróconym geście czułości.

David nie dostał ubrań na zmianę. O niego nie zadbał nikt. Koszulę miał wilgotną, lepka, a włosy jeszcze mu nie doschły. Owinięty prześcieradłem, które dostał z łaski, wyglądał osobliwie, aczkolwiek też męsko.

Stevie przypomniała sobie, jak się pierwszy raz pocałowali – siedział na podłodze w jej pokoju w Domu Minerwy. Opierał się o ścianę, w wiekowych spodniach dresowych Yale, które podprowadził ojcu. Tłumaczyła mu kwestie związane z zeznaniami świadków, używając jako rekwizytów materiałów biurowych. „Był to poniekąd kluczowy moment naszego związku. Przed obecnym. Ja leżę w szpitalu po włamaniu się do domu, a on łązi po izbie przyjęć, opatulony w prześcieradło. Tacy jesteśmy. Oto cali my”.

David podszedł do łóżka, pochylił się i, opierając łokcie o poręcz, spojrzał na Stevie. Gdy powiódł po niej wzrokiem, wywnioskowała z jego miny, że jej twarz nie wygląda najlepiej. Postanowiła się tym nie przejmować.

– Co jeszcze chcesz dziś zmalować? – spytał cicho. – Zwędzić samochód?

Była zbyt wyczerpana na żarty. Pomyślała, czy by się nie uśmiechnąć, ale wzięwszy pod uwagę, że z twarzą jest coś nie tak, zrezygnowała.

– Mhm – odrzekła słabo. – Może jutro wieczorem.

Nie spuszczała oczu z jego głowy, otoczonej zielonkawą aureolą jarzeniówek.

– Nate nie chciał zdradzić, po co w środku nocy skakaliście z urwiska. Znając was, przypuszczam, że z uzasadnionego powodu. Albo że jakiś powód był.

– Zniknąłeś – wychrypiała. – Wyniosłeś się. Twój namiot...

– Został zalany. Całkowicie. Musiałem się przenosić.

– Esemesowałam...

– Namiot zalało – powtórzył David. – Komórka leżała na ziemi. Zaczęła działać dopiero, kiedy wyschła.

– Myślałam, że wyjechałeś – odpowiedziała Stevie.

– Nie miałem zamiaru wyjeżdżać – odparł zdecydowanie.

Pielęgniarka odsunęła zasłonę i stanęła za jego plecami.

– Czas na górę – ogłosiła, odpinając i układając kable podłączone do łóżka.

– Wróć rano – przyrzekł David. – W razie czego dzwoń. Telefon już działa.

Stevie zawieziono do pustego pokoju dwuosobowego.

Pielęgniarka podłączyła kable i sprawdziła poręcze, po czym się oddaliła, otwierając drzwi na oścież. Stevie, która miała wypoczywać, próbowała przymknąć oczy, przeszkadzało jej jednak jakieś migotanie. Były to odbicia czegoś z korytarza, tańczące na białej tablicy z nazwiskiem jej pielęgniarki. Odbiciom towarzyszył – niezsynchronizowany z nimi – dźwięk.

Błysk. Pauza. Piiip. Błysk. Pauza. Piiip.

Stevie starała się o tym nie myśleć, zamknąć oczy i usnąć, ale światełko wnikało jej pod powieki.

Błysk. Pauza. Piiip. Błysk. Pauza. Dłuższa pauza. Piiip.

„Nie wytrzymam”. Ale za to nie bolała jej już głowa ani ramię. „No tak – obiecali mi podać środek przeciwbólowy”.

Nawet mimo oszołomienia lekarstwem nie mogła uwierzyć, jak takie błyski rozpraszą. „Może się z nimi zaprzyjaźnię. Światełko mówi: «Zaśnij, Stevie. Dobranoc, Stevie. Dobranoc»... Guzik. Nie mówi. Błyskanie mówi co innego. To komunikat: «Spójrz na mnie! Spójrz na mnie! Coś się dzieje!». Cóż się ma dziać? Nic. Leżę w tym łóżku, zmęczona i bezsenna, z ręką porządnie zalaną gipsem”.

Błysk. Pauza. Piiip. Błysk. Pauza. Piiip.

Spójrz na mnie! Spójrz na mnie!

Stevie zaskoczyła.

„Gips jest dopasowany. Gips jest moją częścią. Gips...”

Spójrz na mnie!

Stevie pogmerała prawą ręką po łóżku, aż się domacała pstryczka, który pielęgniarka położyła jej przy dłoni. Nacisnęła raz i drugi. Po kilku minutach ktoś stanął w drzwiach.

– Nic ci nie jest? – zapytała pielęgniarka.

– Długopis?

– Słucham?

– Mogę prosić o długopis? – odrzekła. – Proszę. To ważne.

Pielęgniarka westchnęła prawie niesłyszalnie – ale wyjęła i podała jej marker.

– Dziękuję – zachrypiała Stevie. Gardło miała poranione od wykasływania wody.

Po wyjściu pielęgniarki zdjęła zębami nasadkę, nim do niej dotarło, że wtykanie do ust szpitalnych markerów to chyba nie najlepszy pomysł. „Nieważne. Mam marker!” Pomimo ciemności zdoła napisać na gipsie:

światło, błysk, kształt

„I teraz mogę spać”.



XXVI

Stevie obudziła się w dziwnym wąskim łóżku, ubrana w cieką szpitalną koszulę.

Pomału siadła prosto, wspierając się na sprawnej ręce. Zdumiona, że sprawia jej to ból, obejrzała obie dłonie. Okazało się, że są całe pokaleczone. Upadek z klifu nie był wytworny ani czysty. Powłokła się do łazienki w antypoślizgowych skarpetopantoflach, które jej założono minionego wieczoru. Lustro w łazience ujawniło zakres szkód – włosy sterczały jej na wszystkie strony, pod oczami miała sińce, a na prawym policzku długie zadrapanie. Fiolet stłuczonego ramienia podkreślało zielone włókno szklane ozdobiącego go gipsu.

Wszystko to wskazywało, że powinna wracać do łóżka. Wtedy jednak spojrzała na trzy słowa napisane wczoraj na gipsie. Ochlapała wodą twarz (nierozważnie: zabołało) i poczłapała do stacjonarnego aparatu, który stał przy łóżku na nocnej szafce. Zamrugła, by przypomnieć sobie numer, po czym go wykręciła.

– Potrzebuję cię – rzekła, gdy odebrano telefon. – No i ciuchów.

David zjawił się w godzinę. Czekając, Stevie wędrowała po korytarzach i szukała pielęgniarki – którą następnie zadreczęła: „Kiedy mi pozwolicie wyjść?”. Pielęgniarka grzecznie prosiła, aby wracała do łóżka. Mówiła, że lekarz będzie wczesnym popołudniem i pewnie wtedy ją wypiszą. „Ale do wczesnego popołudnia jest jeszcze daleko”.

Ledwie więc David wszedł z torbą ciuchów, zlazła z łóżka, wzięła torbę i zniknęła za drzwiami łazienki.

– Jak się miewasz? – spytał David.

– Wszystko boli – odparła. – Świetnie.

Przyniósł spodnie od dresu i wyciągnięty tiszert. Stevie usiłowała wyśliznąć się ze szpitalnej koszuli. Pociągając za troczki, poluźniła ją, tak że zsunęła się z jednej strony, ale z drugiej zawisała na temblaku. W końcu jakimś cudem zdołała ją strząsnąć na posadzkę. Wczoraj wieczorem zabrali jej ciuchy, a raczej ich szczątki, bo musieli je rozcinać. (Stevie z początku sądziła, że to gruba przesada, lecz okazało się to rutyną w przypadku pacjentów z podejrzeniem złamania kręgosłupa itepe). Została w samych wielkich, elastycznych majtkach.

– Wypisują cię, tak? – spytał David.

Nie odpowiedziała, zbyt zajęta myślą, w jaki sposób włożyć spodnie dresowe. Upuściła je na podłogę przy koszuli i w nie weszła, po czym prawą ręką podciągnęła nad biodra. Nawlekła tiszert na szyję i wsunęła prawe ramię do rękawa. Niestety z lewym już jej tak łatwo nie poszło.

– Ratunku! – Otworzyła drzwi kopnięciem, prezentując Davidowi pupę. „Jest moim chłopakiem, ale to trudna i krępująca sytuacja. Chcę włożyć ten tiszert”. David obszedł ją wkoło, ogarniając, co się dzieje. Rozsądnie nie komentując jej gołego biustu, wolno założył rękaw na gips.

– Okej – powiedziała Stevie. – Pora iść.

– Iść? A nie powinni cię...

Potrząsnęła głową.

– Pora iść – powtórzyła ciszej.

– Czy to dobry pomysł? Nie, zapomnij. Czy to wskazane z medycznego punktu widzenia?

– Nic mi nie jest. – Stevie przeszła do pokoju w antypoślizgowych kapciach i zaczęła się rozglądać za butami i jakimś nienaruszonym ciuchem. Buty i szczątki ubrań znalazła na krześle pod oknem w plastikowym worku z napisem „mienie pacjenta”. Wysypała i przejrzała zawartość. Porozcinany tiszert z logo obozu był wilgotny, więc wewnątrz worka zaparowało. Włożyła go pod zdrową pachę i podeszła do drzwi, by wyrzucić na korytarz. Pielęgniarki nie było. Gdyby

się pospieszyli, bez przeszkód mogliby dobiec do odnogi wiodącej do wind. Bez chwili namysłu Stevie wymknęła się z pokoju. David za nią.

– Jesteś pewna? – spytał, gdy dotarli do windy.

– Dajże spokój – odparła. – Złamałam rękę. Nic mi nie jest.

Przyjechała winda, więc do niej weszli. Nikt na nich nie zwrócił uwagi, kiedy zmierzali do nissana. David otworzył drzwiczki i Stevie – nie dbając o bóle – opadła na fotel pasażera. Oparła się i na moment zmrużyła oczy przed słońcem.



David siadł za kierownicą. Czują, że na nią zerka, lecz zamiast pytać, jak się czuje, jak gdyby nigdy nic uruchomił silnik.

– Dobra nowina dla ciebie – powiedział. – Gdy wybyliście do miasteczka i nie wróciliście, szefowa obozu wariowała. Carson i Nate wcisnęli jej kit, że potrąceni przez szybko cofające się auto, gwałtownie skręciliście z jezdni i spadliście z rowerów.

– Super mieć po swojej stronie lekkomyślnego dorosłego. Inaczej nic by człowiek nie zdziałał.

– Do obozu? – zapytał. – Do domu Carsona?

– Do obozu – przytaknęła. – Nie na stronę Słonecznych Sosen. Na twoją.

– Dowiem się, dlaczego wyszłaś ze szpitala, nie czekając paru godzin na lekarza? Bo na pewno nie bez powodu.

– Wczoraj wieczór ktoś do nas strzelał. – Stevie rozwarła powieki i wyjrzała przez okno. Poraziło ją jasne światło, ale po chwili przywykła.

– Ktoś...

– ...do nas strzelał – dokończyła.

– Kto?

Jej umysł pracował tak prędko, że nie była zdolna niczego wyjaśnić. Rozmaite wątki, ogniwa, splątane strzępy obrazów łączyły się jej w głowie w niewyraźalny sposób.

– Wkrótce się dowiem – odparła.



Kiedy dotarli do kempingu, Stevie wysiadła i chwiejąc się na nogach, z miejsca ruszyła do zalesionej ścieżki okalającej jezioro.

– Musimy iść naokoło – rzekła.

– Dokąd idziemy?

– Tam. – Wskazała Szczyt Dwudziestu Trzech.

Zaczęli długą wędrówkę wokół jeziora. Przez całą drogę Stevie zmagala się z bólami. Uderzając o wodę, nadwyrężyła wszystkie mięśnie, poza tym nadal ją piekło w płucach i gardle. Przy każdym kroku chlupało jej w przemoczonych tenisówkach. Co pewien czas zbaczała ze ścieżki, by ogarnąć spojrzeniem jezioro.

– Szukam plecaka – wyjaśniła. – W wodzie musiałam się go pozbyć. Albo utonął, albo ktoś go wyłowił.

– A czy to ważne? Plecak i tyle.

– Miałam w nim dziennik Sabriny Abbott – odrzekła. – Znalazłam go w końcu. Nie zdążyłam przeczytać, ale znalazłam.

– Znalazłaś? Gdzie?

– Wewnątrz żółwia u Allison. Już bym go przeczytała, ale ktoś próbował nas zabić.

– Więc miałaś co do niej rację.

– Na to wygląda – odparła Stevie.

Nigdzie nie było widać plecaka.

Gdy dotarli do miejsca, w którym las się przerzedzał, w całej swej koszarnej krasie roztoczyło się przed nimi urwisko. Zmierzając ku niemu, Stevie dostała zawrotów głowy.

Cofnęła się o kilka kroków i popęzła na czworakach przez poszycie i korzenie, podpierając się sprawną ręką.

– Liczysz, że znajdziesz nabój? – zapytał David.

– Kto wie...

David przyjął jej pozycję i skanował wzrokiem ziemię. Stevie na moment przystanąła, by się odwrócić i popatrzeć, jak przeczesuje palcami grunt. „Niezły

jest. Dziwaczny. Trudny. Ale zawsze wychodzi z opresji cało”.

– Może ktoś w obozie ma wykrywacz metali – podsunął. – Poszedłbym i spytał.

Stevie podjęła przeszukiwanie poszycia. Obmacywała ziemię, rozkopywała palcami.

– Gdy was wczoraj znalazłem, pieprzyłaś jak potłuczona.

– Chyba tak.

– Oboje mamy problemy – stwierdził David. – Poważne.

Stevie położyła się raptem na wznak i wyciągnęła, patrząc na błękit nad sobą.

– Znalazłaś?

– Nie.

– W porządku?

– Mhm.

– Zmęczona?

– Tak. Ale muszę dziś załatwić parę spraw.

– Zgłosić policji, że do was strzelano? Bez obaw, już znam odpowiedź. Tak sobie gładzę dla hecy.

– Muszę urządzić sesję myśli – odparła. – A Janelle zrobić coś ręcznie. Zapytaj, dlaczego.

– Czy aby na pewno nie rozwaliałaś sobie głowy?

– Miło, że pytasz. – Spojrzała na niego z uśmiechem. – Otóż dlatego, że tak by postąpiła Frances Glessner Lee. Czas już pokazać Barlow Corners prawdę w pigułce.



XXVII

W wielu ukochanych powieściach kryminalnych Stevie detektyw zbiera w pokoju podejrzanych i wyjaśnia, kto z nich nie jest, a następnie kto jest sprawcą. Stevie nigdy nie pojmowała, dlaczego podejrzani się na to godzą. „Chyba z nudów, bo akcja tych książek toczy się w przeszłości”. Dzisiaj to zrozumiała. „Ludzie przychodzą, bo każdy chce poznać odpowiedź – zwłaszcza w małym miasteczku, gdzie wszyscy się znają, a zbrodnia kładzie się długim cieniem na ich życiu”.

By się dowiedzieć, kto zabił, warto opuścić film na Netflixie.

Zwołanie podejrzanych nie wymagało większego wysiłku. Stevie musiała tylko wejść na Nextdoor i napisać post na stronie społeczności Barlow Corners. Brzmiał: „Dowiedz się, co się zdarzyło w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku. Dziś o dwudziestej trzydzięci”. Podała też adres stodoły Carsona. Na dokładkę wysłała do miasteczka Carsona, żeby to nagłośnił, gdzie należy. Resztę załatwili miejscowi. Pół do dziewiątej tego wieczoru niesamowite oranżowe wnętrza Domu Natchnień wypełnił donośny gwar. Tłumek mieszkańców Barlow Corners wszedł do środka i zajął miejsca na niezliczonych pufach. Aż takiej frekwencji Stevie się nie spodziewała. Zjawili się najważniejsi: Paul Penhale, Susan Marks, Patty Horne, Shawn Greenvale i sierżant Graves (ją zawiadomili telefonicznie).

Stevie spędziła większość dnia nad pożyczonym laptopem, korygując pokaz slajdów Carsona. Po przyszykowaniu go i załadowaniu czekała w kącie na jeszcze jeden tylko niezbędny element prezentacji. Wreszcie w drzwiach stanął David i podszedł do niej.

– Gotowe – rzekł. – Wniosą od tyłu.

– Okej – odparła w zasadzie sobie. – Już czas.

Carson ze swą ekipą porozstawiał kamery i sprzęt – i na znak Stevie przygasił światła.

Stevie wyszła przed audytorium. Zebrało się około trzydziestu osób. Dla jej potrzeb za dużo, chociaż nie aż tak bardzo. W każdym razie – stresująco.

Nate i Janelle wśliznęli się cicho i usiedli pod ścianą bliżej przodu. Przełknąwszy ślinę, Stevie zaczęła mówić.

– Dziękuję państwu za przybycie – rzekła. – Jak państwo wiedzą, przyjechaliśmy zrobić podkast o sprawie skrzyni w lesie, by opowiedzieć o tym szerszej publiczności i przyczynić się do zamknięcia sprawy. Ale to, o czym chcę z państwem dziś porozmawiać, jest historią, jaką opowiada o sobie samo miasteczko.

Pstryknęła przełącznik slajdów i na ekranie zamigotało – w całej krasie poliestrowych lat siedemdziesiątych – zdjęcie z odsłonięcia pomnika Johna Barłowa w dwusetną rocznicę powstania Stanów Zjednoczonych.

– Oto na jednym zdjęciu uwiecznione zostały dwie chwile sławy Barlow Corners – wyjaśniła. – W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku tutejsze władze wzniosły pomnik na cześć założyciela miasteczka, bohatera wojny o niepodległość, nazwiskiem John Barlow. Jego wielki akt heroizmu polegał, jak się okazuje, na kradzieży konia brytyjskiego generała i opóźnieniu bitwy o kilka godzin. A był właścicielem niewolników. To marne bohaterstwo. Ludzie jednakże tworzą mity, prawda? Historia opowiadana wielokrotnie staje się prawdą. John Barlow ma pomnik, więc musi być bohaterem. No i powstaje to zdjęcie, bo przecież miasteczko, które stawia pomnik bohaterowi rewolucji, to wzorzec amerykańskości, istny ideał. Z pierwszej legendy zrodziła się następna. Lecz w Barlow Corners coś było nie tak.

Powiodła wzrokiem po sali.

– Miejscowym uchodziło płazem niejedno – podjęła. – A potem pojawiła się kolejna straszna opowieść, jakby żywcem wzięta z jakiegoś slashera. Czwooro obozowych opiekunów wybrało się po narkotyki do lasu... i ani jedno nie wróciło z niego żywe. Policja z początku podejrzewała, że chodzi o deal narkotykowy, w czym zresztą nie ma nic dziwnego. Tyle że to chybiony trop. Marihuany było mało i pozostała na miejscu zbrodni. Okoliczności przypominały zbrodnie Drwała, lecz ani znaczące rysy zabójstwa, ani DNA z koszuli Erica nie pasowały do jego profilu. Dzisiaj te hipotezy się odrzuca. Ale kto byłby sprawcą? Czy to przypadkiem nie Todd Cooper? Niektórzy mieszkańcy mogli pragnąć jego śmierci – z „uzasadnionych” przesłanek. Todd Cooper przejechał niewinne dziecko – Michaela Penhale’a – i nie zareagował na to nikt. Na jego czyn przymknęto oko, bo był synem burmistrza. A przecież zawinił, o czym wiedzieli prawie wszyscy. Nikt nie zarzucił Penhale’om chęci zemsty...

Paulowi krew odpłynęła z twarzy, a jego mąż, Joe, omal nie zerwał się z miejsca. Stevie szybko przeszła na drugą stronę sali i stanęła obok Susan Marks.

– Coś w rozmowie z panią nie dawało mi spokoju – powiedziała. – Dopiero teraz uświadomiłam sobie, co to było.

Susan spojrzała na Stevie z błyskiem zaciekawienia w oczach.

– Gdy ludzie kłamią, czasami tak robią – ciągnęła Stevie. – Zmyślają szczegóły, konkrety. Paul opowiadał, że tamtej nocy on i Shawn byli w domu nad jeziorem, uczyli się grać na gitarze *Stairway to Heaven*. Miało to ręce i nogi. Ale później pani mówiła to samo. O całej reszcie bardzo mętnie. Że wrywkowo skontrolowała pani domki i położyła się spać. A jakoś pani nie zapomniała o gitarze i piosence. Po wyjściu od pani natknęłam się na ulicy na Shawna.

Popatrzyła na Shawna, który splótł ręce na piersi.

– Nie chciał ze mną rozmawiać – ciągnęła. – Tym bardziej kiedy usłyszał, że rozmawialiśmy. Wszystkim trojgu wyraźnie zależało na tym, by każdy wiedział, że Paul i Shawn grali *Stairway to Heaven* w domu nad jeziorem – jakby to było najważniejsze zdarzenie tamtej nocy. Jest tylko jeden powód, dla którego powtarzaliście tę samą historię i to ze szczegółami. To nieprawda.

Shawn spuścił głowę i spojrzał groźnie. Paul ukrył twarz w dłoniach i otarł łzę z oka, a jego mąż poklepał go po ramieniu. Susan patrzyła na Stevie z rosnącym

niepokojem.

Stevie zwróciła się do Paula.

– Pana tam wtedy nie było.

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał, więc odpowiedź Paula zabrzmiała jak huk.

– Istotnie – rzekł cicho. – Nie byłem wtedy w domu. Susan i Shawn chcieli dobrze. Pomagali.

– Wiem – odparła Stevie. – Shawn był tam wtedy sam, pilnował jeziora. Grał pewnie na gitarze, uczył się *Stairway to Heaven*. – Pani – zwróciła się do Susan – wstąpiła, żeby sprawdzić, czy ratownik dyżuruje, ale śmiem wątpić, czy rozpoznała piosenkę. Led Zeppelin chyba nie należeli do pani ulubionych zespołów.

Susan prychnęła.

– Pan... – Stevie skierowała wzrok na Paula – był wtedy gdzie indziej, ale nikogo nie mordował.

– Tak. – Złożył ręce na kolanach. – Ja nikogo nie zabiłem. Minęło tyle czasu. Śmieszne, że musieliśmy to tak długo podtrzymywać. Nie robiłem nic złego.

– Mhm – przytaknęła Stevie. – Spotkał się pan z pewnym chłopcem.

Paul kiwnął głową.

– Był z innej miejscowości. Przyjechał samochodem, mieliśmy schadzkę w lesie. Gdy doszło do morderstw, musiałem podać alibi. Nie mogłem być gejem. Wypędziliby mnie z miasteczka. Na pewno by mi nie pozwolono pracować w obozie; bo jako gej nie mógłbym opiekować się dziećmi, bo...

– ...był tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty ósmy – dokończyła. – Dlatego pani też musiała się kamuflować, mimo że poznała żonę i się w niej zakochała – skierowała to do Susan, która potaknęła, z drżącymi ustami.

– Więc co się stało? – spytała łagodnie Stevie.

Gdy Susan spojrzała na Shawna, westchnął i dał jej znak, by mówiła.

– Nazajutrz rano – odrzekła Susan – wypytywałam opiekunów w cztery oczy, co się konkretnie zdarzyło. Paul odpowiedział mętnie, że wyszedł się przejść... Z miejsca się domyśliłam. Wiedziałam, że jest gejem. Wiedziałam, którzy moi podopieczni są tej orientacji, więc dokładałam starań, żeby to się nie wydało. Jako lesbijka też żyłam w ukryciu, byłam jednak dorosła. Paul był jeszcze

nastolatkiem, a w tym roku wiele przeszedł. Wiedziałam, co go czeka, gdy zezna, że spotyka się z chłopcem. Kiedy by skłamał, wymyślił dziewczynę, policja zażądałaby pewnie jej personaliów. Przypomniałam sobie, że przecież Shawn był w tym domu całkiem sam. Paul i Shawn się przyjaźnili i nigdy nie dokazywali. Dotarło do mnie, że w tej sytuacji mogą wpaść w tarapaty – Shawn z powodu Sabriny, a Paul z powodu Todda. Więc przyszło mi do głowy, że zeznają, iż byli razem. Chciałam ich chronić, rozumiesz. Przyprowadziłam Shawna...

– Był nadzwyczajny – wtrącił Paul. – Musiałem wyjść, a on był niesamowity. Zachowałeś się nadzwyczajnie.

– To nic wielkiego – odparł Shawn. – Nie przesadzaj.

– Więc poprosiłam Shawna, by mi opowiedział, co robił – ciągnęła Susan. – Ze szczegółami. Kazałam im to od razu przyswoić i przeciwzyć. Siedzieli w domu nad jeziorem i grali na gitarze. Musieli podać tę samą piosenkę. A ja – zeznać to, co oni. Wierz mi, nie planowaliśmy podtrzymać tej historii. Sądziłam, że gdy policja przesłucha wszystkich, ustali sprawcę i na tym się skończy. Czułam, że ci dwaj chłopcy nie są w to zamieszani i powinnam nad nimi czuwać.

– Ale sprawy nie rozwiązano – rzekł Paul. – Gdybym, jak chciałem, wyznał prawdę, zaszkodziłbym Shawnowi i Susan. Im bardziej sprawa stawała się głośnie, tym mocniej musieliśmy się trzymać swojej wersji. W obawie przed konsekwencjami – wiadomo: byłyby poważne – opowiadaliśmy tę samą bajkę bez końca. – Westchnął głęboko. – Cieszę się. Mój Boże, jak ja się cieszę. Dziękuję. Dziękuję wam obojgu.

Zgromadzeni w Domu Natchnień zaczęli wstawać, wyraźnie przypuszczając, że prezentacja dobiegła końca.

– Nie ujawniłam jeszcze najważniejszego. – Stevie podniosła sprawną rękę. – To nie jest całość sprawy, a jedynie jej część. Zatrzymajmy się przy podawanym przez miejscowych opisie zdarzeń tamtego tygodnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku. Cztery ofiary zbrodni... – Stevie popatrzyła na wiszący u sufitu trapez. „Czas wznieść się na wyżyny – albo przynajmniej do okna”. – Tyle że to nie tak. Nie było czterech ofiar. Gdy się to weźmie pod uwagę, cała historia nabiera sensu.

Zapadło długie milczenie.

– Co? – spytała wreszcie Susan.

Zdawała się wyrażać emocje zebranych. Stevie liczyła, że ktoś przerwie ciszę, w przeciwnym razie ta pauza by nie wybrzmiała.

– Nie było czterech ofiar – powtórzyła. – Było sześć. Jedna przed zbrodnią w lesie, druga – po. Czworo opiekunów nie zginęło z ręki seryjnego zabójcy ani też z powodu odrobiny trawki. Zginęli, ponieważ jedno z nich widziało coś, czego nie powinno było zobaczyć. Osoba ta wiedziała, że w Barlow Corners zdarzył się koszmar, i próbowała coś z tym zrobić.

– Sabrina – rzekł Shawn. – Nie mam pojęcia, o czym mówisz, ale na pewno chodzi o Sabrinę.

– Sabrina. – Stevie przytaknęła. – Była inteligentna, była wytrwała. I... opisała to wszystko w dzienniku.

– Czekaj! – zdumiał się Shawn. – Czy to ma znaczyć, że masz dziennik Sabriny? Ten, którego Allison szukała przez lata?

Stevie wściekle zaswędziało ramię w gipsie.

– To znaczy, że... odnalazłam dziennik – odrzekła. – Ktoś nie chciał, żebyśmy go odnaleźli. Ktoś nas gonił i do nas strzelał, i chcąc go nam odebrać, zapędził nas na skraj Szczytu Dwudziestu Trzech. Ponieważ wiedział, że Sabrina to jedyny świadek.

Stevie spojrzała na twarze przyjaciół. W oczach Nate'a malowało się błaganie, by przestała.

Ale Stevie nie miała takiego zamiaru.

Skupiła uwagę na jednej osobie w sali – potrzebowała utrzymać z nią kontakt wzrokowy.

– Osoba ta słusznie obawiała się Sabriny – podjęła. – I Allison. I mnie. Chciała nam wszystkim zamknąć usta. Lecz nie wyszło.

Stevie spostrzegła kątem oka, że Nate jest bliski załamania. Janelle patrzyła na nią z troską, ale i ciekawością. Jak przystało na mistrza chaosu, David wydawał się gotowy potwierdzić każde kłamstwo Stevie.

„Teraz albo nigdy”.

Stevie wsunęła sprawną dłoń pod temblak i wyciągnęła dziennik Sabriny.

– Kto chciałby posłuchać, co ma do powiedzenia Sabrina Abbott? – spytała.



XXVIII

Po południu, dogłębnie zapoznając się z dziennikiem, Stevie znaczyła strony dziesiątkami karteczek samoprzylepnych. Nadszedł już czas, by go odczytać, więc zaczęła:

3 stycznia 1978 roku

Witaj, tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty ósmy roku. Miło mi cię poznać. Czas otworzyć ten nowiutki dziennik, który dostałam na gwiazdkę. Podoba mi się, że ma prostą czerwoną okładkę. Dziennik ze Snoopym z zeszłego roku podobał mi się, bo uwielbiam Snoopy'ego i to się nigdy nie zmieni, ale ten jest bliższy moich oczekiwań na przyszłość.

Dzisiaj wróciliśmy do szkoły po feriach świątecznych. Z powodu Michaela Penhale'a mówiono o przesunięciu otwarcia, ale byłoby to chyba zbyt skomplikowane, więc wróciliśmy tego dnia, co zwykle. Nie mogę uwierzyć, że to już dwa tygodnie od śmierci Michaela. Dzisiaj nie rozmawiano w szkole o niczym innym. Nawet gdy nie słyszało się rozmów, temat był wszechobecny. Ludzie ścisiali głosy, więc się po prostu wiedziało. Chyba dwadzieścia razy widziałam Todda Coopera. Spacerował jakby nigdy nic, jakby połowa miasteczka nie posądzała go o zabicie Michaela.

Moi rodzice mówili, że sprawdzała to policja i ustaliła, że kiedy Michael zginął, Todd siedział w domu. Myślą, że sprawcą jest ktoś spoza miasteczka, kto nie znał drogi. Dana widziała brązowy jeep, ale brązowych jeepów jest pełno.

Chyba się z nimi zgadzam?

Fortepian: 45 minut

Historia: 35 minut

Niemiecki: 20 minut

Eseje kandydata: 3 godziny

7 stycznia 1978 roku

Może jestem dziwna, ale bardzo się ucieszyłam z powrotu do szkoły. Ferie są miłe i zwykle nie mogę ich się doczekać, ale Shawn ciągle był w pobliżu. Kiedyś to było fajne, ale zaczyna mnie wnerwiać. Pewnie dlatego, że w tym tygodniu muszę rozstać podania na studia, a nie jestem gotowa z esejami. Mam wszystkie cztery w notesie i prawie już kończę poprawę. Potem muszę je przepisać na maszynie, co mi zajmie całą noc. (Bezwzględnie powinnam nauczyć się pisać na maszynie. Skoro gram na fortepianie, czemu bym nie miała opanować klawiatury maszyny? Cel na rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty ósmy: nauczyć się pisać na maszynie). Tak czy siak, nawet gdy jest w pracy, czuję w pokoju jego obecność. Chcąc to dokończyć, muszę być sama.

Irytuje mnie też wiecznym dopytywaniem o uczelnię. Czy aby na pewno chcę się dostać na Columbię, czy aby na pewno to najlepszy wybór? Czy aby nie lepiej próbować na Cornell? A Nowojorski? Nie czuje, że pragnę czegoś całkiem innego, całkiem nowego. Chcę się otoczyć kulturą, sztuką, życiem. Życiem we wszelkich aspektach.

Fortepian: 25 minut

Algebra: 45 minut

Niemiecki: 35 minut

Fizyka: 30 minut

Historia: 25 minut

Eseje kandydata: 2 godziny 15 minut

9 stycznia 1978 roku

Dzisiaj zostałam w szkole po lekcjach, by w pracowni technicznej przepisać podania. Miałam nadzieję, że załatwię to w spokoju, ale Shawn mnie znalazł. Nawet mu nie

wspomniałam, że zostaję. Czyżby nie miał nic innego do roboty, że tak się snuje po korytarzach i mnie szuka?

Zaproponował, że odwiezie mnie do domu, więc chociaż tyle dobrego. Może wystali go rodzice, żebym nie brała roweru. Po tym, co spotkało Michaela, każdy się trochę boi wsiadać na rower po zmroku.

Tak czy inaczej mogliby mnie zapytać.

Algebra: 20 minut

Niemiecki: 50 minut

Eseje kandydata i podania na studia: 3 godziny

5 kwietnia 1978 roku

Jest trzecia rano. Dłużej nie dam rady. Muszę iść spać.

Udało mi się wrócić ze szkoły na szesnastą, więc myślałam, że uwinę się wcześniej. Ćwiczyłam fortepian, a później przyszedł Shawn. Rodzice zatrzymali go na kolację, choć mnie to nie pasowało. Mam sporo do zrobienia. Został w salonie, by się ze mną „pouczyć”, choć mu się nie chciało, a ja się uczyłam. Siedziałam na pufie, a on się dąsał na sofie, udawał, że czyta „Buszującego w zbożu”. W końcu, koło dwudziestej, zaczęłam go wypraszać, bo czułam, że na mnie patrzy i nie mogłam się skupić. Grymasił. Mama przyniosła pepsi, więc się to przeciągnęło. Pił przez godzinę, jak z czary bez dna. Wyniósł się dopiero po dwudziestej pierwszej, wtedy zajęłam się zadaniem z fizyki.

Kiedy je skończyłam, założyłam słuchawki, siadłam na podłodze i słuchałam Fleetwood Mac po ciemku. Ta płyta, „Rumours”, opowiada, jak wszyscy w zespole się rozstawali, mimo że musieli pracować razem. Stevie i Lindsey ewidentnie się sprzeczą. To słychać. Kiedy Stevie śpiewała „Pojmiesz, gdy cię obmyje deszcz”, akurat się rozpadało. I w tym momencie zrozumiałam.

Już nie chcę chodzić z Shawnem. Chcę z nim zerwać. Tak. Nie mam co do tego cienia wątpliwości. Deszcz mnie obmywa, więc wiem.

Naprawdę z nim zerwę, o Boże.

Czuję się wspaniale. Już się tak dawno nie czułam.

Teraz śpiewają: „Rób, czego dusza zapragnie”.

Czy to do mnie?

Dzięki, Lindseyu. Dzięki, Stevie.

Ostatni raz notuję godziny spędzone na nauce, bo odtąd mój czas będzie wyłącznie mój.

Fortepian: 1 godzina

Algebra: 25 minut

Niemiecki: 45 minut

Angielski: 45 minut (czytanie)

Historia: 1 godzina (czytanie)

Fizyka: 3 godziny

Shawn: załatwione

6 kwietnia 1978 roku

Postanowiłam zakończyć to w ten weekend. W jakimś neutralnym miejscu. Takim, z którego można wyjść. Zastanawiam się nad Mleczną Księżną.

8 kwietnia 1978 roku

Co za cholerny koszmar.

9 kwietnia 1978 roku

Wczoraj nie mogłam o tym pisać. Było tego za dużo.

Spotkaliśmy się w Mlecznej Księżnej. Bałam się, że mi to zajmie Bóg wie ile, więc bez ceregieli powiedziałam: „Chyba powinniśmy się rozstać”.

Wgapił się we mnie. Najwyraźniej nie miał pojęcia, że się na to zanosি. Może mu się wydawało, że żartuję. Zaczęłam jeszcze raz. Odpowiedział: „Nie”. Ani złośliwie. Ani gniewnie. Tylko jakby w konsternacji. Miał taką zdumioną i smutną minę, że wpadłam w popłoch.

Nie chcę się wdawać w szczegóły tego, co działo się przez następną godzinę. Było dużo łez. Płakał on, ja zwyczajnie siedziałam. Błagał. Przy ludziach.

Zostawiłam go tam i pojechałam do domu.

Potem musiałam powiedzieć rodzicom, co zrobiłam. Nie przypuszczałam, że będą tak wariować. Niby nie krzyczeli, ale mnie maglowali, czy jestem co do tego pewna. Czy nie działałam pochopnie. Słowo daję, zadawali więcej pytań niż o uczelnię, na które

chcę składać podania. Wspomniałam o tym bardzo spokojnie, a mama na to: „Studiować można gdziekolwiek, ale męża ma się jednego”.

Żeby to chociaż miało sens.

Odpowiedziałam, że nie jestem taka jak oni. Nie chcę wychodzić za szkolnego kolegę i siedzieć tu do końca życia. Wtedy zaczęli udawać, że są za mną, rozumieją – ale Shawn jest taki cudowny, bla, bla, bla, a do tego bal maturalny itepe.

Rozmowa była w toku, gdy wróciła z wrotek Allison i spytała, co się dzieje. Kiedy się dowiedziała, wybuchnęła rykiem. Tak jakby ktoś umarł. Rozumiem dlaczego. Ma dwanaście lat, a Shawn był w pobliżu, odkąd skończyła dziewięć. Jest dla niej jak starszy brat. No więc co mam zrobić? Wyjść za niego, bo moja młodsza siostra go uwielbia?

Tak czy siak przez parę godzin w domu panowało zamieszanie. Nawet Cookie się rozszczękała i nie chciała przestać. Poszłam do siebie i słuchałam płyt przez słuchawki. Puściłam „Rumours”. Piosenkę „Never Going Back Again”^[12]. przestuchałam pięć razy. Następna to „Don’t Stop”^[13]. Mam wrażenie, jakby mnie one prowadziły. „Nie przestawaj myśleć o jutrze, nie przestawaj, wkrótce nadejdzie”.

Oby.

22.00, z ostatniej chwili

W domu jest spokojnie. Myślę, że do rodziców dotarło, że o swoich potrzebach mówiłam poważnie, no i mi ufają. Allison zapukała i spytała, czy się z nią wybiorę na kolację do Sizzlera^[14]. Między nami już zgoda.

Allison to rozumie. Jest najlepsza.

12 kwietnia 1978 roku

Nie wierzę! Dostałam się na Columbię. Przyznali mi stypendium.

Nie przestawaj myśleć o jutrze.

Nie przestawaj, wkrótce nadejdzie.

14 kwietnia 1978 roku

Ciekawostka na dzisiejszym obiedzie.

Shawn i ja jadamy obiad o różnych porach. On chodzi na czwartą. A dziś – nie wiadomo dlaczego – przyszedł na piąty obiad. Pierwszy raz od tamtego wieczoru na jego widok puściły mi nerwy. Kiedy zmierzałam do kolejki, poczułam, że podchodzi do mnie z tyłu. Zapytał: „Możemy porozmawiać?”

Odparłam, że chcę zjeść obiad. W tym momencie zebrało mi się na wymioty. W takich okolicznościach każdemu odechciewa się hamburgera z keczupem.

Spytał jeszcze raz, więc chwyciłam się lady i wtedy coś się wydarzyło. Diane McClure, która stała kilka osób przede mną, cofnęła się i dołączyła do mnie w kolejce.

Powiedziała: „Sabrina mówi, że chce zjeść obiad”.

Shawn coś odbąknął, ale Diane go zignorowała. Więc Shawn się wycofał. Słowo daję: z wdzięczności omal się nie rozplakałam.

Diane kelnerowała w Księżnej w dniu mojego zerwania z Shawnem. Widziała, co tam zaszło, więc się pewnie domyśliła, co się dzieje w kolejce. Zaproponowała: „Może się do nas dosiądziesz?”

Diane często spędza czas z Erikiem, Patty, Gregiem i Toddem. Nie wiem, czy chcę się z nimi zadawać. Eric jest okej, no i znam Todda, ale nie mam wielkiej ochoty spędzać z nimi czasu. Patty i Greg ciągle się liżą, wszędzie, od rana do nocy.

Ale na bezrybiu i rak ryba. Siedzieli na dworze przy stole piknikowym i, prawdę mówiąc, było okej.

Diane powiedziała, że jak chcę, to mogę z nimi jadać codziennie, więc może będę.

2 maja 1978 roku

Następny obiad z moją nową paczką.

W towarzystwie Todda Coopera czuję się trochę nieswojo. Nadal nie wiem, co mam myśleć o tym, co spotkało Michaela. Przedtem byłam skłonna wierzyć policji, że Todd nie miał nic wspólnego z wypadkiem. Ale odkąd spotykam się z nim częściej, widzę, że to palant. Nie żeby kogoś straszyl albo był złośliwy, ale łatwo mógłby zrobić komuś krzywdę przez przypadek. Jakby nie zauważał, że inni żyją i czują. Czy to ma sens? Gdyby, na przykład, kogoś potrącił i o tym wiedział, pewno by się usprawiedliwił, że to wcale nie jego wina. Tak go odbieram. Nie wiem, jak naprawdę było, i choć się to wydaje straszne i niemożliwe...

Diane patrzy w niego jak w obraz. Chyba nawet by dla niego skłamała.

Eric jest...

Tak, Eric jest inny. Czy Eric jest okej? A może Eric jest bardziej niż okej?

31 maja 1978 roku

Już po egzaminach końcowych. Koniec. Koniec z ogólniakiem.

6 czerwca 1978 roku

Przedziwnie jest nie mieć nic do roboty. Nie wiem, czy kiedykolwiek nie miałam nic do zrobienia. Obozowe spotkania zapoznawcze i szkolenie zaczynają się dopiero w przyszły piątek, więc przez półtora tygodnia mogę robić co dusza zapragnie. Jak się wypełnia wolny czas?

Sprzątałam pokój, bo na nic innego nie wpadłam, gdy zadzwoniła Diane.

Powiedziała, że robią prywatkę u Patty. Jest tam duży basen. Zapytała, czy może bym wpadła? Odparłam, że pewnie. Więc przyjechała po mnie z Toddem.

Wiedziałam, że Horne'owie mają duży dom, ale jeszcze w nim nie byłam. Stoi przy końcu Sparrow Road.

Jest ogromny. Taras z basenem na tyłach ciągnie się prawie do granicy lasu. Pan Horne ma lodówkę z piwem, z której pozwala nam korzystać, i nawet wyszedł usmażyć na grillu kielbaski.

Czy to frajda? Mam z tego frajdę?

Możliwe.

8 czerwca 1978 roku

Dziś zdarzyły się dwie rzeczy. Nie wiem, co począć.

Po obiedzie wpadł Greg i spytał, czy chcę się przejechać do Patty. Odparłam, że pewnie. Gdyśmy dotarli do Sparrow Road, nie parkował na podjeździe. Zaparkował na końcu ulicy i szliśmy. Zapytałam, dlaczego. Odpowiedział, że Patty pozwala mu korzystać z basenu, nawet kiedy jej nie ma. Ale to denerwuje jej ojca, więc ma parkować na ulicy i wchodzić tylną bramą. Wtedy sąsiedzi nie kapują panu Horne'owi, że pod ich nieobecność ktoś wchodzi i wychodzi z domu.

Kiedy spytałam, gdzie jest Patty, odparł, że na zakupach. Mówił, że Eric i Diane będą wkrótce. Diane miała zmianę w Księżnej, a Eric załatwiał „aptekarskie sprawy”. (Zaczynam rozumieć, że gdy Eric kupuje trawkę i dostarcza, jest, jak sam to określa, „aptekarzem”. Kilka miesięcy wstecz nie dawałoby mi to spokoju. Dorośleje).

Tak czy siak pływaliśmy, gadaliśmy. Greg jest chłopakiem Patty, więc nie było w tym niczego złego. Wtem w domu rozległ się hałas.

Greg do mnie: „Kurde!!! Bierz rzeczy!!!”.

Śmiał się, ale poznałam, że mówi poważnie. Chwyciłam torbę i ręcznik i poszłam za nim do altany.

Wtedy zrobiło się bardzo, ale to bardzo niesamowicie.

Z domu wyszli pan Horne i jakiś nieznajomy. Usiedli nad basenem nieopodal altany i zaczęli rozmawiać. Tamten nazywa się Wendel Cośtam. Powiedział do pana Horne'a, że się nie widzieli od czasów Harvardu. Pan Horne zazartował, spytał: „Jak mnie znalazłeś?”.

Nieznajomy odparł, że przeglądając w poczekalni u dentysty numer specjalny „Life” z okazji Dwusetlecia, natknął się na zdjęcie pana Horne'a i nasze.

Pan Horne zaczął mówić po niemiecku. Na pytanie tamtego, czemu, odpowiedział, że o wojnie woli mówić po niemiecku, żeby, wzięwszy pod uwagę charakter ich działań, nie dotarło to przypadkiem do sąsiadów. Mężczyzna najwyraźniej to rozumiał.

Mój niemiecki nie jest doskonały – jest dobry na tyle, że rozumiem zdania z grubsza, a część ich wypowiedzi zawierała o wiele dla mnie za trudne pojęcia i idiomy. Zapisuję to, co rozumiałam. Nie rozumiałam wszystkiego.

Brzmiało to mniej więcej tak:

Mężczyzna: Nie odzywasz się od Berlina. Myślałem, że zabili cię Rosjanie.

Pan Horne: Niewiele brakowało.

Mężczyzna: Jak długo tam siedziałeś w więzieniu?

Pan Horne: Osiem miesięcy.

Mężczyzna: Nieźle się urządziłeś.

Pan Horne: Daję radę.

Później przez jakiś czas rozmawiali o domu i o wojskowych sprawach, czego nie rozumiałam. Ponadto Greg mnie rozpraszał, więc go musiałam upominać, żeby przestał. Potem udało mi się trochę nadgonić i wylapałam, że tamten ma na nazwisko Ralph czy jakoś tak.

Mężczyzna: Kogo śledziłeś? Von Hessena? (Coś w tym stylu).

Pan Horne: Tak.

Mężczyzna: Chyba go nigdy nie znaleźli, prawda?

Pan Horne: Sądziłem, że w końcu znaleźli zwłoki.

Mężczyzna: Nie. Nie znaleźli go wcale.

Pan Horne: Jesteś z tym na bieżąco.

Mężczyzna: Tak.

Pan Horne: Kiedy mnie wypuścili, nie chciałem patrzeć w przeszłość.

Mężczyzna: Zadziwiająco.

Pan Horne: Dlaczego?

Mężczyzna: Zawsze byłeś taki... cóż, upłynął szmat czasu.

Później wróciła Patty i przeszkodziła im. Pan Horne poprosił mężczyznę, by wrócił około siódmej wieczorem, to usmaży na grillu steki. Mężczyzna odparł, że przyjdzie. Kiedy pan Horne spytał go, gdzie się zatrzymał, odpowiedział, że w motelu Holiday House.

My wciąż tkwiliśmy w altanie jak głupki. Zrobiło się strasznie duszno. Czułam się dziwnie – byłam rozpalona, miałam zawroty głowy i się denerwowałam.

Usłyszeliśmy, jak pan Horne mówi do Patty, że będzie mogła jechać na koncert Stonesów do Nowego Jorku. Patty krzyczała z radości. Greg się do mnie przysunął i nawet nie wiem, kiedy zaczęliśmy się pieścić. Nie mam pojęcia, od czego się zaczęło. Nie tylko z jego inicjatywy. Mojej też.

Potem wpadłam w popłoch. Przeraziłam się jak nigdy. Uspokajał mnie, że jest okej, bo on i Patty robią to również z innymi.

Wydało mi się to... niespójne z tym ich wiecznym całowaniem, ale dobra. Spytałam, czemu się chował, skoro to wszystko okej, a on mi na to, że choć okej, to w domu Patty byłoby trochę niezręczne.

W końcu wyszliśmy z altany, przeskoczyliśmy płot – i do domu. Dziwna rozmowa, którą słyszałam, na chwilę wypadła mi z głowy. Ale się przypomniała i gdy to notuję, nie daje mi spokoju.

Niesamowite, co to się dziś wydarzyło.

9 czerwca 1978 roku

Czuję się dziwnie, już to nawet zapisując.

Dziś znowu byłam u Patty na zwykłej prywatce nad basenem. Denerwowałam się z wielu powodów. Jeśli chodzi o Grega i Patty, to wszystko w normie, tak jak zazwyczaj. Szepnął mi, że jej powiedział i w ogóle nie ma sprawy. Ale dodał, że mam tego nie poruszać, bo wyszłoby niefajnie. Uznałam to za dziwactwo, ale puściłam mimo uszu.

Poprzesztawiali meble nad basenem. Niezupelnie, przesunęli jednak kilka krzesel, które zawsze stały w jednym miejscu. A na dnie basenu leżały drobne – kilka jednocentówek, trzy pięciocentówki, dziesięciocentówka i ćwierćdolarówka.

Wczoraj na pewno ich tam nie było. Ponadto, co ciekawe, nie leżały na płyciźnie. Leżały między głębiną a środkiem basenu.

Pan Horne zauważył, że wpatruję się w basen. Gdy spytał, na co patrzę, odbąknęłam, że na monety. Patty zaczęła głądzić, jaka to jestem bystra, najbystrzejsza w całym Liberty itepe. Całkiem bez sensu, bo do zobaczenia drobnych w basenie inteligencja jest zbędna.

Pan Horne przyglądał mi się chwilę i powiedział: „Będę się musiał ciebie strzec”.

Później zawołał: „Kto mi wyłowi te drobniaki? W nagrodę stawiam piwo!”.

Na co towarzystwo oprócz mnie dało nura do basenu. Kiedy spojrzałam na pana Horne'a, który się uśmiechał, już się ochlapywali i przytapiali, starając się dobić do monet na dnie.

Pan Horne ogłosił: „Remis! Piwo dla każdego!”.

Przyniósł piwo z lodówki w garażu i wszyscy wzięli po jednym. Ja też, choć piwa nie lubię. Później rozpalił grilla i smażył kielbaski. Dopiero gdy zapachniało, poczułam się jak na normalnej prywatce nad basenem.

Ale coś było nie tak. Nie mam pojęcia co.

10 czerwca 1978 roku

Dzisiaj zadzwoniłam do Erica i wybraliśmy się na krótką przejażdżkę rowerową. Musiałam mieć strapioną minę, bo gdy przystanęliśmy pod szkołą, zapytał, co u mnie słychać. Opowiedziałam mu, co zaszło między mną a Gregiem, i że Greg mówił „jest okej”, i że powiedział Patty, i że wiedziałam, że robią to z innymi, ale mimo wszystko

czuję się nieswojo. O reszcie nie wspomniałam, no bo, kurde, o czym tu mówić? Nawet nie wiem, dlaczego mnie to tak dręczy.

Śmiał się, ale niezłośliwie.

„No to się Patty ucieszy” – powiedział. – „Kocham Grega jak brata, ale to skunks”.

Dostałam cykora, ale mnie natychmiast uspokoił.

„Nie wiń się” – powiedział. – „Skoro Greg cię uprzedził, to nie myślałaś, że robisz coś złego. Nic się nie stało. A Greg to palant. Musi się zawsze ze wszystkiego wymigać”.

Koniec końców strasznie się uśmiełam. Eric ma poczucie humoru.

Eric byłby dobrym opiekunem. Nie obozowym, tylko psychologiem.

Poczęstował mnie skretem. Zawstydzona, odparłam, że tego nie palę, więc go odłożył. Wiem, że chyba jako jedyna osoba w ogólniaku nigdy nie paliłam trawki (no dobra, z tego, co mi wiadomo, jedna z trzech). Wiem też, że palenie trawki to nic wielkiego, bo, jak pisałam, palą wszyscy i nikomu nie szkodzi. Nie palę, bo jestem sztywną ciapą.

Powiedziałam to wtedy Ericowi: „Jestem sztywną ciapą”.

Padł, zataczając się ze śmiechu. Shawn nie śmieje się tak nigdy. Fajnie побыć z kimś, kto się lubi pośmiać.

12 czerwca 1978 roku

Obudziłam się dziś wczesnie. Śniła mi się ta podsłuchana rozmowa między panem Hornem a mężczyzną, który odwiedził go w domu. Wciąż o tym myślę. To była przedziwna rozmowa.

Więc skoro mam czas i nie mam nic innego do roboty, pójdę do motelu Holiday House. Równie dobrze mogę się tam przejechać i w drodze powrotnej kupić w Mlecznej Księżnej lody. Równie dobrze mogę opanować podświadomość.

16.00, z ostatniej chwili

To nie przebiegło tak, jak się spodziewałam. Nie wiem, co mam myśleć o tym, co się stało. Roztrzęsiona, siedzę w nogach łózkach.

W motelu powiedziałam, że znajomy ojca, który zatrzymał się tam na kilka dni, zostawił coś u nas w domu, no i się niepokoję, bo nie wrócił po to coś. Gdy

wymamlałam „Ralph”, recepcjonistka odszukała go w sekundę. Odparła, że taki człowiek się u nich zatrzymał i dotąd się nie wymeldował, a klucz zostawił w pokoju.

Nie mam pojęcia, jak na to wpadłam, ale poprosiłam o ksero jego rachunku. Powiedziałam, że mógłby go pokryć mój ojciec. Po chwili wahania podeszła do szafki i wyciągnęła rachunek. On nie nazywa się Ralph – nazywa się Wendel Rolf. Całego adresu nie mogłam odcyfrować, ale odczytałam, że jest z Albany w stanie Nowy Jork. Rachunek – za dwie doby – opiewał na sześćdziesiąt cztery dolary.

A więc ten facet nie wymeldował się z motelu.

Co się, według mnie, stało? Czyżby pan Horne utopił go w basenie? I wtedy wysypały mu się z kieszeni drobne i poszły na dno?

Jak w filmie Alfreda Hitchcocka^[15].

To musi się skończyć. Muszę wyrzucić to z głowy. Niech to przeniknę, zrozumiem. Co ja właściwie słyszałam i widziałam?

Ponownie czytam zapisaną wtedy rozmowę:

Wendel Rolf: Nie odzywasz się od Berlina. Myślałem, że zabili cię Rosjanie.

I dalej:

WR: Kogo to śledziłeś? Von Hessena? (Coś w tym stylu).

Pan Horne: Tak.

WR: Chyba go nigdy nie znaleźli, prawda?

Pan Horne: Sądziłem, że w końcu znaleźli zwłoki.

WR: Nie. Nie znaleźli go.

Pan Horne: Jesteś z tym na bieżąco.

WR: Tak.

Co z tego wynika?

Przychodzi mi do głowy tylko jedno.

Pana Horne'a odwiedził jakiś człowiek. Poznali się w czasie wojny. Doszło między nimi do tarć i stało się coś niedobrego. Nazajutrz meble były poprzesztawiane. Na dnie

basenu leżały drobniaki. Pan Horne zachowywał się dziwnie. A tamten nie wrócił do motelu.

Ciągle się czyta o zbiegłych nazistach. Są poszukiwani. Kryją się z dala od Niemiec pod zmienioną tożsamością.

O co tu, do diabła, chodzi?

14 czerwca 1978 roku

Dziś czytałam dzieciom w bibliotece w ramach kółka czytelniczego. Kiedy skończyłam, przejrzałam cały dział historyczny, szukając książek o nazistach i upadku Berlina. Same ogólne informacje. Znalazłam kilka tytułów, które mogą zawierać coś więcej. Złożyłam na nie zamówienie międzybiblioteczne. Trochę to potrwa, nim je dostarczą.

Po powrocie do domu zadzwoniłam na informację i dostałam numer Wendela Rolfa. Zadzwoniłam. Prawdę mówiąc, dzwoniłam cztery razy. Nikt nie odbierał.

Mój esej o tym, jak spędziłam letnie wakacje, będzie wyjątkowy.

15 czerwca 1978 roku

Dziś rano znów dzwoniłam pod ten numer. Nikt nie odebrał.

Co ja wyrabiam? Co ja wyrabiam?

23.00, z ostatniej chwili

Odpowiedź nasuwa się sama: facet jest na wakacjach. Po prostu nie ma go w domu. Muszę wziąć się w garść. Jutro idę do obozu na orientację.

16 czerwca 1978 roku

Nie do wiary! Shawn zatrudnił się w obozie.

18 czerwca 1978 roku

Minęły dwa marne dni, ale stopniowo się poprawia. Shawn zachowuje dystans, więc jest nie najgorzej.

Ponadto ubóstwiam dzieciaki. Są rozkoszne. Tylko grzebią mi po rzeczach. Zaczęłam chować ten dziennik w obozowej bibliotece, bo poza mną – kujonką – nie

chodzi tam prawie nikt. Tak czy inaczej przydałaby się lepsza kryjówka.

27 czerwca 1978 roku

Jestem zbyt zajęta, żeby się rozpisywać, a dzieciaki nie dają mi spokoju. W namiocie sztuki zrobiłam ochraniacz na ten dziennik, więc mam z głowy przynajmniej to.

Tej nocy śnił mi się facet od pana Horne'a, Wendel Rolf, więc myślałam o tym cały dzień. Temat uczeplił się mnie jak rzep psiego ogona. Muszę go sobie odpuścić. Może pójdę w Nowym Jorku na terapię.

A dopóki jestem tutaj, może mogłabym o tym pogadać z Erikiem? Spotykamy się cały czas. Jeszcze się nie całowaliśmy, ale czuję, że wkrótce do tego dojdzie.

28 czerwca 1978 roku

Opowiedziałam wszystko Ericowi.

Mówi, że sama wywieram na siebie zbyt wielką presję. Czuję się winna w związku z Patty i Gregiem, no i się stresuję, że w obozie jest Shawn. Jesienią zaczynam studia na Columbi, więc już niedługo przenoszę się do Nowego Jorku. Trochę tego jest. Może konfabuluję, bo to wszystko mnie przytłacza.

No, a co z tym całowaniem? Mhm.

1 lipca 1978 roku

Ciekawostka: Zawsze sobie znajdę powód do zmartwienia. A najnowszy? Sprawa z Gregiem. Podejrzewam, że jeśli to zatają, poczucie winy mnie wykończy. Z drugiej strony nie chcę zranić Patty. Ale chyba powinna się dowiedzieć. Ja bym chciała.

2 lipca 1978 roku

Mija północ. Właśnie wróciłam do domku i się kładę. Cała jestem pogryziona przez komary.

Po ognisku, gdy już dzieci były w łóżkach, poszłam do Patty, zastukałam w ścianę i poprosiłam, żeby wyszła na dwór. Powiedziałam, że Greg mówił, że gdy jest poza domem, wolno nam korzystać basenu, i że gdy tam byliśmy, jej ojciec wrócił na obiad ze znajomym. O dziwnej rozmowie nie wspomniałam. To było nieważne. Wyznałam, żeśmy się obściskiwali. Że Greg mi mówił, że sobie pozwalają randkować z innymi.

Nie zezłościła się na mnie, ale była bardzo przybita. Aż z płaczu puściła pawia. O Jezusie.

Coś okropnego.

3 lipca 1978 roku

Patty była tak przybita, że tego dnia zwolniła się do domu. Czuję się nędznie, ale przynajmniej się przyznałam.

4 lipca 1978 roku

Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Niepodległości!

Dziś wróciła Patty Horne. Na wielkim ognisku ona i Greg siedzieli razem. Oglądaliśmy fajerwerki. Zaczęli się migdalić, więc odwróciłam głowę. Czyżby mu wybaczyła?

Eric powiedział: „Nie przejmuj się, Sabrino. Tatusz znów jej kupi konia, żeby ją rozweselić”.

Według mnie to strasznie dziwne. Smuciła się tak, że musiała pójść do domu. I niby teraz już wszystko jest w porządku?

Siedziałam z Erikiem, który mnie przytulił. Shawn się w nas wgapił jak sroka w kość.

Muszę się wynieść z Barlow Corners. To miasteczko jest za małe.

5 lipca 1978 roku

Dziś przyszły zamówione książki. Pani Wilde dzwoniła do obozu, żeby mnie o tym powiadomić. Teraz mi wstyd, że zamówiłam książki o nazistach. Tak czy owak wsiadłam na rower i pojechałam do miasteczka. Maluchy miały czas wolny od zajęć, więc je zostawiłam pod opieką Katie. Wychodząc z książkami, natknęłam się na pana Horne'a. Akurat zmierzał do biblioteki. Nie niosłam ich w torbie, miałam je włożyć do rowerowego koszyka. Spostrzegł tytuły.

„Poważna lektura na lato”.

Odpowiedziałam: „To zadanie z Columbii. Przyjęci muszą w ciągu lata przeczytać kilka książek. Coś z beletrystyki, no i coś z historii”.

Odparł, że to imponujące, więc zachował się normalnie, ale serce waliło mi jak młot. Bo... sama nie wiem. Może zadrzała mu powieka?

Nie mam pojęcia, po co spytałam: „Gdy pan szedł na Harvard, też panu to zadali?”.

Odparł, że nie pamięta. Może. Minęło tyle czasu. A później spytał, skąd wiem, że studiował na Harvardzie.

Odpowiedziałam, że od Patty.

Szkopuł w tym, że się zawahałam, bo mnie zupełnie zmroziło. Przyglądał mi się chwilę z uśmiechem. A potem się pożegnał. „Miło cię spotkać, baw się dobrze na obozie”.

Zaczynam wariować, a tu się okazuje, że te książki nic mi nie dadzą. Wróciłam do biblioteki i powiedziałam pani Wilde, że jednak nie spełniają moich oczekiwań. Zwróciłam je i szybko pojechałam z powrotem do obozu.

Pan Horne nie jest nazistą.

Powinnam się zrelaksować, wziąć tydzień urlopu i starać się bawić na całego. Pracuję tak ciężko, że chyba mam prawo zaszaleć jak inni.

Jutro wybieram się z nimi do lasu. Wiem, co to znaczy. Odbierają tam trawkę. Ale też balangują.

Zrobię to. Muszę choć raz złamać jakieś zasady, bo inaczej wybuchnę. Tego lata chcę wreszcie pożyć.

Słyszysz, Sabrino Abbott? Tego lata masz ŻYĆ!

No i właśnie tak zrobię.



XXIX

– Ten wpis jest ostatni – powiedziała Stevie, ostrożnie zamykając pamiętnik.

Czytała go na głos niemal godzinę. Zaszło jej w gardle, więc trochę ochrypła. Spostrzegłszy to, Janelle podała jej puszkę wody gazowanej. Stevie nie lubiła wody gazowanej, ale ją pochłonęła – i musiała się odwrócić, by ukryć potężne beknięcie. Nie udało się to jednak.

„Poirot nigdy nie beknął, identyfikując mordercę”.

Patty Horne przybrała kolor pięciodniowego indyka. Zastygła w bezruchu, z zadartą głową i takim uśmiechem, jakby dostała mdłości. Reszta zebranych milczała.

Stevie zerknęła w stronę Shawna Greenvale’a, który siedział z brodą wciśniętą w pierś. Chyba niełatwo było mu tego słuchać, mimo że wszystko się stało przed laty. Ale wytrzymał, tak jak wspierał Paula. „Sabrina wprawdzie rzuciła Shawna, ale się z nim związała, bo to z gruntu porządny facet. Zwyczajnie im nie wyszło”.

– A więc – podjęła Stevie, z wysiłkiem tłumiąc kolejne beknięcie – zacznijmy od następującej kwestii: kim jest Wendel Rolf i co się z nim stało po wizycie u pana Horne’a tego dnia? Chcąc to rozwikłać, potrzebowałam pomocy...

Sięgnęła po laptop i włączyła okna. Na ekranie wyświetliła się osoba w dużych okularach, z prostymi długimi włosami.

– Cześć – przywitała się Stevie. – Opowiedz nam, czego się dowiedziałas.

– Hej – odrzekła Germaine. – Jestem Germaine Batt z *Raportu Batt*.

Germaine, koleżanka Stevie ze szkoły Ellinghama, prowadziła kanał informacyjny online. Znajomość dziewcząt miała charakter interesowny. Stevie swego czasu przysłużyła się Germaine, zatem nadeszła pora na rewanż. „Było warto”.

– Okej – nie bawiąc się w uprzejmości, Germaine przystąpiła do rzeczy. – Zaczęłam od Harvardu, bo to wyszło w rozmowie, którą mi pokazałaś. Dziś po południu skontaktowałam się z ludźmi stamtąd – i na moją prośbę wyciągnęli kilka almanachów. Wendel Rolf studiował razem z Arnoldem Horne’em. Historię służby wojskowej obu znalazłam na stronie genealogii. Wendel Rolf został zwolniony – z honorami – w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym, a Arnold Horne w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku.

Jak na razie jest normalnie. A potem Wendel Rolf przepada bez wieści. Przekopanie archiwum lokalnej gazety i Facebooka zajęło mi cały dzień, ale odszukałam kogoś z jego rodziny. Udałam, że prowadzę dla Harvardu badania o absolwentach, więc się zgodził na rozmowę. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym Wendel Rolf pojechał na ryby – i już nie wrócił do domu. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim uznano go za zmarłego. Czy miał wypadek, nie wiadomo, ale, jak rozumiem, krewni przypuszczają, że popełnił samobójstwo, bo chciał ich od siebie uwolnić i zasilić gotówką z odszkodowania. Wystarczy się podać za kogoś z Harvardu, a informacje płyną same.

– Wendel Rolf – rzekła Stevie – zauważyła w czasopiśmie zdjęcie kolegi z roku i z wojska, Arnolda Horne’a. To na sto procent on. W podpisie widnieje jego nazwisko, więc postanawia złożyć mu wizytę. Szybko się orientuje, że coś nie gra – że to przecież nie Arnold. W rozmowie podsłuchanej przez Sabrinę wspomina o jakimś von Hesse.

– Tego nie szukałam długo – powiedziała Germaine. – Otto von Hessen był wysokim rangą oficerem Abwehry, stacjonującym w Berlinie. W sieci jest o nim pełno wzmianek. Ostatnio widziano go w kwietniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, tuż przed upadkiem Berlina. A później zniknął. Mam otworzyć te zdjęcia?

Gdy Stevie przytaknęła, Germaine podzieliła ekran i obok zdjęcia Horne’a z Harvardu umieściła oficjalne von Hessa.

Byli niezaprzeczalnie podobni.

– Arnold Horne studiował na Harvardzie, a podczas drugiej wojny światowej był szpiegiem – wskazała Stevie. – Przebywał w Berlinie. Z rozmowy wiemy, że coś go łączyło z von Hessenem. Kiedy Berlin upadał i naziści uciekali, najlepiej było się podawać za oficera wywiadu USA... Horne i von Hessen nie są co prawda identyczni, dość jednak podobni, gdy się patrzy troszeczkę z oddali. Z Ameryki do Niemiec wyjechał Arnold Horne, a z Niemiec do Ameryki powrócił już Otto von Hessen. By się nie rzucać w oczy, zamieszkał w nudnym miasteczku, kierował bankiem, unikając obiektywów. I całe lata miał spokój. Aż Barlow Corners postawiło pomnik, a tutejszy fotograf zrobił zdjęcie, które trafiło do pisma o ogólnokrajowym zasięgu. Wendel Rolf zobaczył na zdjęciu dawnego kolegę, złożył mu wizytę i uprzytomnił sobie, że nie gości u Arnolda Horne'a. Od tego czasu słuch po Rolfie zaginął. Pierwszą ofiarą jest Wendel Rolf. Tutaj się wszystko zaczyna. I pewnie by się skończyło, gdyby Sabrina nie weszła z Gregiem do altany. Gdyby była mniej wnikliwa i zdecydowana. A teraz...

Stevie skinęła do Germaine, zamknęła okno w laptopie i zwróciła się do Patty.

– ...wchodzi pani. Rozdanie świadectw, lato tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku. Jak sama pani mówiła, raptem straciła pani cel. Nie miała pomysłu, co robić, kiedy lato się skończy. Greg, przyjaciele, prywatki – tylko tym pani żyła. Greg siedział z Sabriną w altanie, ojciec gawędził z Wendelem Rolfem, a pani nie miała pojęcia, co się dzieje. Żadne z tych trojga nie chciało, by się pani dowiedziało, co u was zaszło tego popołudnia. Wieczorem Rolf wraca i pani ojciec go zabija. Nazajutrz wraca Sabrina i widzi przestawione meble. To, co podsłuchiwała, już ją ciekawi. Wciąż pani o tym nie wie, podobnie jak ojciec. Ale, dręczona wyrzutami sumienia, Sabrina oznajmia pani, że była z Gregiem w altanie. Opuszcza pani obóz i opowiada o tym ojcu. Pani znajomi – którymi gardzi – zrujnują pani życie, tak myśli. Przypuszczam, że tamtej nocy wiele się u was rozstrzygnęło. Ojciec pewnie wyznał prawdę albo jakiś jej wariant, bo panią przekonał, że przyjaciele muszą umrzeć, a pani – pomóc mu ich zabić. Trzeba działać szybko, ale on nie może wkraść się do obozu i załatwić sprawy ot tak. To się musiało stać gdzie indziej, gdzie w pobliżu nie ma ludzi. Pani akurat znała takie miejsce – cotygodniowych dostaw narkotyków. Była tam Sabrina oraz Eric, Todd i Diane – mieli pecha. Kto wie, co usłyszeli przedtem? Musieli zginąć wszyscy. – Stevie znowu wyświetliła slajd z czterema

ofiarami, żeby Patty musiała na nie patrzeć. – Nie chcąc wzbudzać podejrzeń, nazajutrz wróciła pani do obozu i nagle ułożyło się pani z Gregiem – do tego stopnia, że was przyłapano i dostała pani areszt domowy. Co zapewniło pani żelazne alibi. Miejskowa gazeta publikowała pewne szczegóły zbrodni Drwala. Dar od losu. Jeszcze nie było internetu, więc jeśli pani ojciec chciał je poznać, musiał zdobyć kopie tych artykułów. Nic więc dziwnego, że piątego lipca Sabrina wpadła na niego, kiedy wchodził do biblioteki. Tamto spotkanie przypieczętowało jej los.

Stevie odegnała zabłąkaną muchę, która wpadła do Domu Natchnień. Mówiła tak długo, że rozboleły ją mięśnie. Miała ochotę klapnąć na puf i odpocząć choć chwilę, ale jeszcze nie skończyła opowieści. Nadszedł czas otwarcia skrzyni w lesie, czas zepsucia niespodzianki.

– Pamiętnej nocy – podjęła – pani ojciec poszedł do lasu. Prosto do miejsca wskazanego przez panią. Kiedyś był oficerem niemieckiego wywiadu. Trzydzieści trzy lata udawał kogoś innego. Przyparcie do muru czworga zjaranych nastolatków w lesie było pewnie nietrudne. Dowody wskazują, co się tam zdarzyło. Todd i Diane najpewniej leżeli w śpiworze. Ani jedno, ani drugie nie miało obrażeń obronnych, więc najpewniej nie widzieli, że pani ojciec nadchodzi. Zostali zabici tam, gdzie się znajdowali, i przeniesieni w śpiworze. Sabrinę i Erica zaatakowano inaczej. Sabrina się broniła – miała rany na rękach. Eric dostał w głowę, ale udało mu się uciec. Zrobiło się nieciekawie, bo gdyby Eric ocalał, byłoby po was. Ale ojciec go schwytał – i zamordował na granicy obozu. Postarał się, by to przypominało zabójstwo z rąk Drwala, i gotowe. Tyle że... – Stevie wyświetliła zdjęcie Grega. – ...Sabrina nie była w altanie sama. Towarzyszył jej Greg. Problemu nie można było załatwić częściowo. Musieli zginąć wszyscy. Jak się pani zachowała, słysząc od ojca, że pani chłopak musi umrzeć? Przybiło to panią, czy może ucieszyło, że się pani na nim odegra?

Patty spuściła głowę – Stevie trafiła w jej czuły punkt.

– Wczoraj znalazłam się w szpitalu po pani gonitwie za nami z rewolwerem. Spędziła pani mnie i Nate'a ze Szczytu Dwudziestu Trzech, dlatego mam... – Uniosła rękę w gipsie. – W nocy czułam się nieswojo. Starłam się zasnąć, ale nie mogłam, bo rozpraszało mnie odbicie migającego światelka. Wtedy mi się przypomniało, co opowiadała pani, Susan. Co pani widziała na boisku, gdy się zebrali wszyscy uczniowie?

– W wieczór pamięci? – spytała Susan.

Stevie potaknęła.

– Widziałam Patty płaczącą na końcu szkolnego podjazdu, no a potem ten wypadek.

– Nie – odparła Stevie. – Niezupełnie.

– Racja, mhm. Kiedy się rozbił, rozbił za zakrętem, widziałam błysk światła.

– Co, według pani, wtedy błysnęło?

– Przedni reflektor? Gdy zarzuciło motocyklem? Nie mam pojęcia.

– Czy błysk był jasny?

– O tak – odrzekła Susan w zadumie. – Do tego stopnia, że zapamiętałam tylko to. Pewnie zbyt jasny jak na reflektor. Może błysnęło coś innego.

Stevie zwróciła się do Janelle.

– Mogłabyś ją przynieść? – poprosiła.

Janelle kiwnęła głową i szarpnęła za ramię Nate'a. Zniknęli w jednym z bocznych pomieszczeń i chwilę później wrócili z dużą makietą z kartonu i innych materiałów. Pudełko wyobrażało szkołę średnią. Do prostokątnej podstawy przyklejono krętą szmacianą drogę, na której zakręcie wznosiły się skały z modeliny. Drzewa były zrobione z drucików i strzępków tworzywa podobnego do mchu. Billboard Liberty odtworzono z tektury.

– Zabrakło mi czasu, by ją dopracować – rzekła Janelle. – Ale proporcje są właściwe. Trzymaj...

Podążyła Stevie kilka solniczek z piaskiem – każda innego koloru.

– Okej. – Stevie umieściła różową solniczkę na końcu podjazdu. – To będzie Patty Horne, a to... – na drodze przy Patty postawiła zieloną – ...to będzie pani. Czy ten błysk światła widziała pani mniej więcej tu?

– Tak – odparła Susan. – Właśnie miałam skręcić na podjazd.

– A co robiła pani Horne?

– Zalewała się łzami.

– Coś jeszcze? Co mi pani powiedziała?

Wahając się moment, zaskoczona pytaniem, Susan przechyliła głowę w zamyśleniu.

– Zanosiła się płaczem – odrzekła. – Krzyczała. Była strasznie przygnębiona. Wymachiwała latarką.

Stevie wyciągnęła ku niej palec, wskazując „Otóż to”.

– Wymachiwała latarką – powtórzyła.

– Ale ja nie mówię o tym świetle – zniecierpliwiła się Susan. – Widziałam coś w oddali.

– Ależ naturalnie. – Stevie usiłowała zachować powagę. – Wyjęła telefon i przystawiła do różowej solniczki. – A teraz prosimy o zgaszenie na chwilę świateł.

Carson nacisnął guzik i w stodole zrobiło się ciemno. Stevie włączyła latarkę w telefonie. Przed prezentacją zwęziła promień kawałkiem taśmy maskującej. Gdy go nakierowała na ciemnoniebieski billboard liceum, w odbiciu rozbłysła plamka światła.

– Patty świeci latarką tu – pokazała. – Janelle, już.

Janelle oparła swój telefon po drugiej stronie drogi, na gipsowych skałach i drzewach z drucików. Włączyła nieoklejoną latarkę, której promień był jaśniejszy i obejmował więcej niż promień latarki Stevie. Tak jak to sobie zaplanowała wcześniej, Stevie od razu się obróciła – i zobaczyła, że wiele osób odwraca głowę albo zasłania oczy.

– To pani widziała – rzekła Stevie. – Proszę zapalić światło.

Zrobiło się jasno, więc kilka osób zmrużyło oczy.

– Niezła rekonstrukcja – podsumowała Susan. – Tylko dlaczego musiałaś to demonstrować?

– Dlatego, że to, co pani widziała, było reakcją na sygnał. Patty oświetlała latarką billboard, który wyraźnie widać z przeciwnego końca drogi. Oznacza to, że po opuszczeniu parkingu Greg mógł pojechać tylko w jedną stronę – ponieważ jest to droga jednokierunkowa. Na drugim końcu czekał ojciec pani Patty z latarką o dużej mocy. Kiedy Greg się zbliżał, błysnął latarką. Zaświeciła tak mocno, że zobaczyła ją pani aż na przeciwległym krańcu. Greg był o wiele, wiele bliżej, więc potężne światło musiało go porazić. Lekko zawiany albo na haju, w dodatku oślepiiony, traci kontrolę na zakręcie. Wypadek pewny i jednoznaczny. Czysty. Skuteczny. Ot, najzwyczajniejszy wypadek.

– Aby to zrobić, nawet nie trzeba tam stawać – zauważyła Janelle. – Wystarczy dać tam coś odblaskowego i oświetlić z boku, żeby się nie rzucać w oczy. Banalne.

– Nie da się ukryć – zawtórowała Stevie. – Pomysł tak prosty, że wręcz trywialny. Zwłaszcza dla kogoś, kto zgłębiał sztukę szpiegowską. Światła. Lustra. Sygnały. Sprawa nie do wykrycia. Inteligentnie i bezbłędnie. Sądzę, że nauczyła się pani tego od ojca, bo kiedy była pani zmuszona zabić Allison, zrobiła to pani tak, jak zrobiłby to on. Allison zależało na dzienniku siostry. Policja go nie miała. Nie znaleziono go w obozie. Gdyby ktoś go odnalazł, wpadłaby pani w tarapaty. Ale że nikt go nie ujawnił od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku, nie było prawdopodobne, że kiedykolwiek się znajdzie. Miała pani być bezpieczna do śmierci. Aż, gdy przed pięcioma dniami podarowałam Allison papier, który znalazłyśmy w składzie przyborów plastycznych – Allison się dowiedziała, że pracując w obozie, Sabrina zamówiła ceramiczny słoik na ciasteczka w kształcie żółwia, aby go pomalować. Był jej potrzebny do ukrycia dziennika. Porządnie, ciasno go zakręciła, by maluchy nie dostały się do środka. Allison uzmysłowiła sobie, że ceramiczny żółw, którego ma w domu, nie jest figurką, tylko słoikiem. Na pewno bardzo się ucieszyła. Poszła do domu i chciała go otworzyć. Na darmo podważała wieko; widocznie się zacięło. Musiała się zastanowić, jak otworzyć go, nie uszkadzając. Allison nie zniszczyłaby niczego, co należało do Sabriny. Czy wtedy zadzwoniła do pani, przyjaciółki, z wieścią, że chyba wie, co stało się z dziennikiem? Przepadłby cały pani świat, wszystko, co pani stworzyła, kim była. Zostałaby pani córką znanego mordercy, nie córką bohatera wojennego. I może ktoś zbadałby wypadek Grega dokładniej. Nie. To absolutnie nie do pomyślenia. Już pani dopuściła do śmierci pięciorga bliskich osób. Wraz z tajemnicą musiała pogrzebać jeszcze jedną.

Susan odwróciła się do Patty i spojrzała na nią, załamana.

– Co w życiu Allison było niepodważalne? Harmonogram. Co rano biegała i przystawała na Czubku. Istne marzenie! Spaść z takiej skały to najprostsza rzecz pod słońcem, a więc świadkowie przysięgną, że nikt jej tam nie towarzyszył. Niestety to chyba ja poddałam pani tę myśl. Gdy w pierwszym dniu pobytu tutaj wstąpiliśmy do pani sklepu i podziwialiśmy torty, Janelle zapytała o technikę ich ozdabiania. Odpowiedziała pani, że zwykle zmierza od zewnątrz do środka. A ja dodałam: „To tak jak z miejscami zbrodni”. Nikt mnie nie słucha, kiedy mówię takie rzeczy, ale wydaje mi się, że pani to usłyszała. Po „wypadku”

Allison teren zostanie zagrodzony i będą go badać od zewnątrz do środka. Wymaga to czasu. To czas na zniknięcie. Co znika ze skały nagrzanej od słońca?

Nastąpiła pauza; zebrani dociekali, czy to aby nie pytanie retoryczne. W końcu ktoś przerwał ciszę nieśmiałym „Lód?”.

– Lód. – Stevie się postarała, by zabrzmiało to pewnie. – Na nic wymyślnego nie starczyłoby czasu. Ale mogła pani spokojnie przygotować tafle lodu. Ułożyć na czubku, żeby Allison się pośliznęła. Dowód ten stopniał, gdy wzeszło słońce, lub jego część spadła razem z Allison. Gdy policjanci badali skałę, nie znaleźli żadnych tropów. Miała pani wszystko, czego potrzebowała – duże blachy do pieczenia, przemysłową zamrażarkę, obszerne pojemniki do transportu wyszukanych potraw – i jeszcze coś, co zostawiło jedyny ślad. – Stevie ponownie sięgnęła do torby i wyciągnęła szczątki tiszertu z logo Słonecznych Sosen. – Poszłam na Czubek, gdy go znów otworzyli. Polałam go wodą, by zobaczyć, jak jest stromo, i położyłam się na ziemi. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałam, ale zwilżyłam coś, co zaschło na skale, a później nie chciało zejść. Był to mianowicie barwnik – barwnik spożywczy. Płaskie kawały lodu przyciemniła pani barwnikiem. Nikt by go nie spostrzegł, a z czasem zmyłby go deszcz. Dobrze się złożyło, że byłam tam przed burzą. Bo będzie można go... – Podniosła tiszert wyżej dla efektu. – ...podać gruntownej analizie. Da się ustalić wszystko, łącznie z marką i typem barwnika.

Patty otwierała i zamykała usta jak ryba wyrzucona na brzeg.

– To śmieszne...

– Szkopuł w tym – rzekła Stevie – że Sabrina jest świadkiem. Zeznaje z zaświatów. Wszyscy to słyszeli. – Wskazała zgromadzonych. – Więc kto wysłucha tego podkastu...

– Będzie i program w telewizji – wciął się Carson. – Na pewno.

– ...albo obejrzy program... oceni panią taką, jaka pani jest teraz, w tej chwili. Ma pani szansę przedstawić swoją wersję prawdy. W przeciwnym razie zostanie pani wyręczona. Będą panią osądzali. Nie zdoła pani przed tym uciec. Ma więc pani teraz możliwość powiedzieć, co tylko chce...

– Drobną radą – wtrącił David, splatając ręce na piersi. – Na pani miejscu wyjawilibym jej wszystko. Ostatnio też zaprzeczała osoba o pani pozycji, no i, zapewniam, nie wyszło jej to na dobre.

– Ojciec był dobrym człowiekiem – rzekła Patty. – Robił dla mnie wszystko. Poświęcił mi życie.

Głos jej drżał, odzwierciedlając emocje, jakie musiały nią targać – dźwigane przez lata brzemień głęboko skrywanej okrutnej prawdy.

– Pani ojciec był nazistą – poprawił ją David. – I zamordował pięcioro pani przyjaciół.

Patty zeszywniała, usłyszawszy te słowa, i umilkła.

– Teraz pewnie panią nurtuje – podjęła Stevie – jak to się stało, że mam dziennik. Gonila nas pani. Widziała, jak skaczymy do jeziora. Słyszała mój krzyk, że przepadł. Z pewnością go pani szukała. Siedziała tam pani całą noc? Idę o zakład, że sprawdzała pani ścieżkę, by się przekonać, czy przypadkiem mi nie wypadł. Rozglądała się wszędzie, by nie mieć cienia wątpliwości. Wróciła pani o świcie sprawdzać, czy nie wypłynął na powierzchnię? Weszła do wody, żeby go tam poszukać?

Gniewny błysk w oczach Patty wskazywał, że tak właśnie było.

– Zastanawia się pani, jakim cudem nie zamókł.

– Sam się nad tym zastanawiam – mruknął z podziwem Nate.

Pełna wyczekiwania cisza dodała Stevie skrzydeł.

– Dziennik wcale nie wpadł do jeziora – oznajmiła Stevie.

– Chwileczkę, jak to? – zdumiał się Nate. – Przecież tam byłem. Mówiłaś...

– Owszem: że wpadł do jeziora – Stevie na próżno tłumiała uśmiech. – Postarałam się, żebyś usłyszał, jak krzyczę. O ile się nie mylę, nie zrobiłam nic więcej, no bo... runęłam z tego klifu do wody. Ale tego dopilnowałam. Chciałam, byś pomyślał, że przepadł.

Patty poruszyła się na pufie, rozeźlona.

– Chcesz powiedzieć, że go schowałaś? – spytał Nate. – Ciekawe, kiedy. Przecież cały czas biegliśmy.

– Muszę za to podziękować Carsonowi – odparła Stevie.

– Cooo? – zdziwił się Carson. – Mnieeee?

– Nie miałam dużo czasu, ale miałam... – Stevie wyjęła torbę Zapakuj w drewniany deseń, uszytą z tego materiału, co ta ze sztuczki na ścianie. – ...tę śmieszna torbę, która wygląda jak kawałek drewna. Świetny wzór, prawda?

Fotorealistyczny. Też się nabrałam, więc rozumiem państwa zaskoczenie. Odszukanie jej dziś rano zajęło mi trochę czasu, bo, jak widzicie, jest niemal niezauważalna. Nim skoczyliśmy do wody, wetknęłam do niej dziennik i ją odrzuciłam. Stwierdziłam, że ktoś go znajdzie, nawet gdybyśmy nie przeżyli. Musiałam go zabezpieczyć.

Wtem stało się coś dziwnego. Patty wybuchnęła śmiechem.

Paul Penhale wstał.

– Patty... – wychrypiął cicho. – Patty... coś ty zrobiła? Spójrz na mnie, Patty. Coś ty zrobiła?

Patty obróciła się ku niemu szybko, oczy ze śmiechu nabiegły jej krwią. Twarz miała wykrzywioną z wściekłości, ulgi, a może czegoś jeszcze. Sprawiała wrażenie, jakby coś w niej puściło.

– Powinieneś być mi wdzięczny – odrzekła. – To ty powinieneś dziękować. Todd Cooper? Wiesz, co zrobił z twoim bratem. Wszyscy wiedzieli. Całe miasteczko puściło mu to płazem. Sam nam mówił, co zrobił. Mówił, że potrafił Michaela. Diane go kryła. Eric na pewno miał podejrzenia, ale nie przestał się z nim zadawać. To samo Greg. To samo ja. Wszyscy byliśmy zamieszani. Co by robili, gdyby przeżyli, jak myślisz? Todd był potworem. Eric dilerem. Diane beznadziejną ćpunką. Greg śmieciem. Ojciec mnie przestrzegał, ale nie chciałam go słuchać. Uczciwie mówiąc, żalowaliśmy tylko Sabriny. Idealnej Sabriny. No, ale kto spędzał czas z Toddem tamtej nocy? Idealna Sabrina. Kto gził się u mnie z moim chłopakiem, kiedy wyszłam? Nie udawajcie świętoszków. Czymkolwiek to było... – Machnęła ręką na ekran, Stevie, Dom Natchnień, zebranych. – To... banialuki. Ta mała z bzikiem na punkcie zbrodni fantazjuje.

Do Patty Horne podeszła w tej chwili sierżant Graves.

– Chciałabym pomówić z panią na zewnątrz – powiedziała.

– Nigdzie z panią nie wyjdę.

– Jak pani woli – odparła spokojnie śledcza. – Równie dobrze może pani usłyszeć to tutaj. Na dworze pewnie byłoby lepiej z uwagi na pani prywatność. Przed kilkoma godzinami miałam spotkanie z panną Bell. Zeznała wszystko, co jej wiadomo. Tuż po południu przysłano mi nakaz. Jest pani w posiadaniu broni palnej. – Nie było to pytanie. – Nakaz dotyczy tego i zbadania pani DNA w celu porównania go z próbką pobraną z koszuli Erica Wilde'a. Mam ze sobą pałeczkę

do wymazu. Pobranie zajmie tylko chwilę. – Kiwnęła głową w stronę końca stodoły. – Są ze mną dwaj funkcjonariusze – wskazała. – Gdyby zechciała pani dołączyć, to podejmiemy rozmowę na osobności. Przedtem chciałabym jeszcze zamienić słowo z panną Bell.

Śledcza przywołała Stevie do holu wiodącego na patio na tyłach.

– Nie wspominałaś, że odzyskałaś dziennik – powiedziała.

– Niespodzianka?

Śledcza wyjęła z kieszeni rękawiczkę, włożyła ją i wzięła od Stevie dziennik.

– Ani o tiszercie.

Stevie podała jej to, co zostało z tiszertu.

– Trzeba też będzie pomówić o strzelaninie, o której zapomniałaś wspomnieć. Więc ty i twoi przyjaciele zostanieie w budynku w celu złożenia zeznań i dopełnienia formalności.

Wróciły do środka i Graves wyprosiła większość zebranych. Stevie spostrzegła, że wiele osób wrzuca do sieci nagrania z prezentacji. Mimo że Carson ganiał po sali, próbując temu zapobiec, wiadomość już poszła w świat.

Podbiegł do Stevie i westchnął głęboko.

– Torby Zapakuj pójdą jak woda – rzekł nieco głośniej niż powinien.



XXX

Księżyc wisiał wysoko nad jeziorem. Nad wodą szalały niezliczone roje komarów, ale siedząca na brzegu ramię w ramię czwórka przyjaciół nie dbała o nie w najmniejszym stopniu. Odpędzanie i zabijanie bestii było zupełnie bezcelowe. Ekologiczny środek owadobójczy Janelle tylko dodawał im animuszu.

– Nie wiem, jak wy – przerwał po chwili ciszę David – ale ja się już nudzę.

Sięgnął po buteleczkę i znów się spryskał lepkiem o woni cytronelli.

Minęła godzina, odkąd zostali zwolnieni przez śledczą. Składanie zeznań, rozmowy i wypełnianie formularzy dopiero się dla nich zaczęło. Miało potrwać wiele dni. Na dzisiaj jednak skończyli, więc wystawili się na żer komarom.

– Okej – rzekł w końcu Nate. – Dlaczego?

– Dlaczego co? – spytała Stevie.

– Nie powiedziałaś, że masz dziennik.

– Przepraszam – odparła, wzdychając. – Inaczej nie mogłam. Cała ta sprawa z Allison Abbott – poza barwnikiem – to były domysły. Dziennik to ogniwo między jej śmiercią a Patty. Przekonana, że go nie mam, Patty była bardzo ciekawa tego wielkiego zebrania. Chciałam mieć pewność, że przyjdzie – i naprawdę dozna szoku. Musiałam ją tak przerazić, żeby się rozgadała przed kamerą, przed ludźmi. Zależało mi na tym, by się czuła bezpiecznie, dopóki nie wyjmę dziennika.

– Jak sądzisz, co się z nią stanie? – zapytała Janelle.

– Wielu rzeczy trudno będzie dowieść – odrzekła Stevie. – Ale też pewne dowody są niezbite. Przemysłowe kamery na światłach zarejestrowały, jak o świcie wychodzi z piekarni. W lesie są łuski, więc będą sprawdzać, czy pasują do jej rewolweru. Chyba najwięcej dostanie za to, że do nas strzelała.

– Dokument nic nie da – orzekł Nate. – Kiedy świat zobaczy jej reakcję, jeszcze zostanie celebrytką.

– Złoczyńcom nieraz uchodzi na sucho – dorzucił David. – Ale jej nie odpuszczają, tak czuję. Barlow Corners wpadło w szal.

Coś im świsnęło nad głowami. Stevie wzdrygnęła się.

– Nietoperz – uspokoiła Janelle. – Żywią się owadami.

– Potraktuję to jako znak. – Nate wstał i się przeciągnął. – Idę pisać.

Reszta podniosła na niego wzrok.

– No co? – zapytał.

– Sam wiesz, co – odpowiedziała Stevie.

– Mam kilka pomysłów i tyle. Bo laził za mną ten mały i głądził, że nie znam własnej książki. W każdym razie – na razie.

Ruszył w stronę obozu.

– Ten mały wiedział, co robi – rzekła Stevie. – Obiecał zachęcić Nate’a do powrotu do książki, no i mu się udało. Wykończył chłopaka.

– A ja... – Teraz podniosła się Janelle. – ...idę pogadać z Vi. Widzimy się w domku.

Stevie i David zostali sami.

– Więc – zaczął David po dłuższej chwili.

– Więc... – Stevie spuściła oczy.



Nadszedł czas porozmawiać, a to nie było jej mocną stroną. Zwłaszcza rozmowy tego typu, gdzie trzeba okazać serce, empatię i czułość. O ile o śledztwie mogłaby mówić godzinami, o tyle takie dialogi wpędzały ją w dziki popłoch.

– Wybacz mi – wykrztusiła, byle już mieć to za sobą.

– Wiedziałem, na co się piszę. My nie jesteśmy jak oni.

Podrapała się w łokieć nad gipsem.

– Mhm... – Gdy zaczynała mówić o zbrodni, nie brakowało jej słów. „A teraz znowu mnie zatyka”. – Co chcesz zrobić? Z tą Anglią.

– Będziesz w Akademii. Zajęta. Nie miałabyś dla mnie czasu.

– Przestań.

– Poważnie – odrzekł. – No bo znów jesteś sławna. Rozwiązałaś sprawę morderstwa w Barlow Corners.

– Tak, ale...

– Daj spokój, Stevie. Przecież i tak będziesz w szkole. Nie chcę udawać, że to, iż studia fundowałby wróg ojca, mnie nie kręci. Na pewno byłoby fajnie... – Między jeziorem a księżycem zawisło „ale”. – ...dzień, dwa. Ale w tym jestem do niego podobny... Lubię się ścigać, wygrywać i wierzgać. Skończyłoby się na braniu kasy od kogoś, kto poniekąd mnie kupuje. Gość nie wymaga niczego w zamian – jest miły. Tyle że w ten sposób odgrywałby się na moim starym. A takie życie już mnie nie bawi. Więc... nie skorzystam z tej oferty ani forsy.

Stevie zadarła głowę i popatrzyła na niego, przejęta.

– Trochę zaoszczędziłem – ciągnął – i mogę wziąć kredyt. Na rok nie starczy, ale semestr przeżyję. Złożyłem już wniosek o przyjęcie na pewien kurs. Nie jakiś superdługi. Chybabyś mogła przyjechać do Anglii na ferie. Tam też są morderstwa – i to ile. Wciąż ktoś kogoś zabija. Kuba Rozpruwacz – a jego sprawę rozwiązano?

– Nie – odpowiedziała Stevie. – Niby się tam kogoś podejrzewa, ale Kuba Rozpruwacz to raczej wytwór zbiorowej wyobraźni...

Przysunął się i przytulił ją, uważając na jej złamaną rękę.

– Dlatego cię kocham – szepnął. – Maleńka z bzikiem na punkcie zbrodni.

„Kochasz?”

– Tak – odparł na niewypowiedziane pytanie. – Właśnie ci to wyznałem i jestem gotów za to zapłacić.

Ciszę mąciło tylko bzyczenie komarów i subtelny trzepot skrzydeł nietoperzy. Z obozu dobiegał śmiech dzieci, a w oddali śpiewano przy ognisku. Ale Stevie

nic nie słyszała. Zajęta całowaniem Davida, zapomniała o bożym świecie. I nie spostrzegła nawet węża wodnego, który wślizgnął się do nieruchomego jeziora.

Czasami lepiej nie wiedzieć.

Słowo od autorki

Frances Glessner Lee to postać autentyczna, więc wszystko, co tu napisałam o jej *Badaniach w pigułce*, jest prawdą. Badania te wykorzystuje się w szkoleniach śledczych do dziś. Ośrodek Smithsonian publikuje je online; stworzył nawet przestrzeń wirtualną, umożliwiającą poruszanie się po małych pomieszczeniach i dokładne obejrzenie szczegółów. Posiłkowałam się tym źródłem, jak również pracą Corinne May Botz *The Nutshell Studies of Unexplained Death*, zawierającą fotograficzne zbliżenia badań i objaśnienia niektórych scen. Nie są to bynajmniej rozwiązania; badania mają uczyć obserwacji. Jak mówi cytata, który umieściłam na początku książki: „Śledczy musi pamiętać, że jego obowiązek jest dwojaki – uwolnić niewinnego od podejrzeń i ujawnić winnego. Dochodzi on jedynie faktów – prawdy w pigułce”. Badania służą wykryciu prawdy, która bywa skomplikowana.

Jeśli interesują cię prawdziwe zbrodnie i rozwiązywanie spraw kryminalnych – warto poświęcić *Badaniom w pigułce* trochę czasu. Jednak pamiętaj, że są to szczegółowe obrazy śmierci, więc mimo że zachwycają kunsztem wykonania, poprzez swą sugestywność mogą działać przygnębiająco.

Podziękowania

Znaczną część tej książki napisałam w czasie pandemii w 2020 roku, gdy na Nowy Jork spadła choroba. Życie w tych warunkach nie byłoby możliwe bez ofiarnej pracy osób z pierwszej linii frontu, którzy leczyli, karmili, wozili, dzwoniли i kierowali miastem. Pisałam książkę, słuchając zawodzenia syren i nocnych oklasków dla personelu medycznego jadącego do szpitali. Podziękowania kieruję przede wszystkim do tych, którzy o nas dbają. Jest was tak wielu. Wszędzie.

Dziękuję mojej agentce i przyjaciółce, Kate Schafer Testerman z KT Literary. Co ja bym bez Ciebie zrobiła?

Nad pracą i odkryciami Stevie czuwało w wydawnictwie HarperCollins bardzo wiele osób. Chciałabym podziękować wszystkim. Dziękuję cudownej, pełnej pasji redaktorce Katherine Tegen oraz znakomitemu zespołowi redakcyjnemu: Sarze Schonfeld, Alexandrze Rakaczki i Christine Corcoran Cox. Dziękuję osobom, za sprawą których książka wygląda pięknie i zachęcająco: Vanessie Nuttry, Davidowi DeWitt, Joelowi Tippie, Katie Fitch, Leo Nickollsowi i Charlotte Tegen. Książka nie trafiłaby do czytelników na świecie bez olbrzymiego wysiłku zespołów marketingu i reklamy, składam więc podziękowania Michaelowi D'Angelo, Audrey Diestelkamp, Jacquelynn Burke i Anny Bernard.

Ja i mąż wyjechaliśmy latem na wieś tylko raz. Moja przyjaciółka Cassandra Clare ma stodołę, w której pisze, więc nas tam zaprosiła, żebyśmy odetchnęli od miasta. I tak po raz pierwszy w tamtym roku spędziliśmy czas na świeżym powietrzu. Dzięki Cassandrze spacerowałam po lesie, pływałam w jeziorze, wygrzewałam się na słońcu. Liczyłam ważki. Piłam poranną kawę pod drzewami, z moim psem Dexy. Z przyjaciółkami, Holly Black i Kelly Link, przebrnęłam przez kilka blokad w pracy nad książką. Tydzień pośród zieleni niósł mnie przez resztę roku. Im – jak i wszystkim znajomym – serdecznie dziękuję.

Na koniec dziękuję mężowi, Oscarowi, który dobrze wie, za co.

Przypisy

[1] *Rumours (Plotki)*, uważany za wybitny, bestsellerowy album brytyjsko-amerykańskiej grupy rockowej Fleetwood Mac z 1977 roku. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] Cracker Barrel Old Country Store, Inc. – amerykańska sieć sklepów z pamiątkami połączonych z restauracjami z jadłospisem opartym na tradycyjnej kuchni Południa USA.

[3] *J'accuse (fr.)* – oskarżam.

[4] *Uśpiony obóz (Sleepaway Camp)* – niskobudżetowy amerykański film grozy z 1983 roku.

[5] Slasher (ang. slash – ciąć, kiereszować, ciachać) – podgatunek filmowego horroru, w którym liczba bohaterów szybko się zmniejsza.

[6] Zodiak – pseudonim seryjnego mordercy, który pod koniec lat 60. zabił w San Francisco i okolicach pięć osób. Atakował głównie pary. Nigdy nie został ujęty.

[7] Jason Voorhees – bohater filmowych horrorów z serii *Piątek, trzynastego*.

[8] *Relish (ang.)* – gęsty, słodko-kwaśny sos ze świeżych warzyw.

[9] Syndrom oszusta – zjawisko psychologiczne powodujące brak wiary we własne osiągnięcia. Mimo zewnętrznych dowodów świadczących o ich zdolnościach, osoby dotknięte tym syndromem mają się za oszustów i sądzą, że nie zasługują na sukces, który osiągnęły.

[10] *Misery* – powieść Stephena Kinga (1987) o powieściopisarzu, którego w sadystyczny sposób zmusza do pisania fanka psychopatka.

[11] *Blair Witch Project* – niskobudżetowy amerykański horror filmowy z 1999 roku o trójce studentów, która usiłuje nakręcić dokument o legendarnej wiedźmie z Black Hills.

[12] *Never Going Back Again* – Nigdy już nie wrócę.

[13] *Don't Stop* – Nie przestawaj.

[14] Sizzler USA Restaurants, Inc. – powstała w 1958 roku amerykańska sieć restauracji.

[15] Alfred Hitchcock (1899–1980) – wybitny angielski reżyser i scenarzysta, zdobył światową sławę jako twórca mrożących krew w żyłach dreszczowców.